

DONNA DAVIDSON

RYWAL

OD AUTORA

Za Regencji (w Anglii lata 1811 - 1820) działo się wiele interesujących historii, między innymi za sprawą Duńczyków, którzy jako jedyni Europejczycy prowadzili handel z Japonią, wykorzystując do tego przez jakiś czas statki amerykańskie. Kupcom wolno było zawijać do Zatoki Nagasaki, czyli poza główną wyspą. Dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego wieku rozpoczął się właściwy handel Japonii ze światem zewnętrznym.

Każdy szczegół historii Asady jest prawdopodobny, natomiast przyjaciel, z którym uciekł, w rzeczywistości nie mógłby być zesłany na wyspę; jako rybak, który niebezpiecznie zdryfował i został wyratowany przez obcych, po powrocie do Japonii zostałby stracony za kontakt z obcokrajowcami.

Japońskie przysłowia, występujące w książce, są autentyczne. Autorka zebrała je w trakcie pobytu w Japonii, można jednakże podejrzewać, że filozofia Asady została przystosowana do potrzeb opisaney historii.

Handel z Indiami Wschodnimi rzeczywiście rozpoczął się w czerwcu 1813 roku. Dla wielu przedsiębiorstw i osób indywidualnych stał się źródłem ogromnych fortun.

Na zakończenie tej historii warto dodać, że przewidywania ojca Taryn sprawdziły się. Obszar prehistorycznego górnictwa ołowiu, przez który płynęła rzeka Terenig, rozkwitł ponownie. W kopalni Plynlimon, otwartej w roku 1866, w 1874 wydobyto 404 tony rudy.

1801, Kingsford, Anglia

Woolf Burnham cofnął się w cień żywopłotu z bżów, oddzielającego Dwór Kingsford od stajen. Niespełna dwunastoletni chłopiec, o spojrzeniu nad wiek dojrzałym, przyglądał się, jak przez dziedziniec, na palcach, w białych pantofelkach, unosząc nad zakurzonym brukiem wytworną wieczorową suknię, kipiąc złością brnie wyperfumowana Klaudia Chlastam.

Na widok męża wyłaniającego się ze stajni przystanęła; uniosła pytająco brwi. Oliver uśmiechnął się i odwrócił, obserwując wejście. Klaudia także patrzyła wyczekująco w tamtą stronę.

Woolf, zachowując śmiertelną ciszę, wyteżał wzrok.

Po chwili ze stajni wynurzył się Quinn, zausznik Olivera, Poruszając bezgłośnie grubymi wargami włókł za sobą małe dziecko - jeniec walczył z jego silnym uściskiem. Zwisająca z tyczki brudna latarnia rzucała na kamienny dziedziniec długie, złowieszczo cienie.

Na znak Olivera Quinn puścił dziecko i cofnął się w mrok podwórca stajni. To Taryn, pomyślał Woolf, niedawno osierocona siostrzenica Klaudii, dziewczynka wesoła i rezolutna. Przybyła do Dworu w zeszłym tygodniu i od razu zaskarbiła sobie sympatię służących. Wieś huczała od nowin. Co ona tu robi?

Taryn, bosa, z brudnymi stopami, w nocnej koszulce z rękawami zsuniętymi do łokci, podniosła się z trudem i obrzuciła wszystkich buńczucznym spojrzeniem; wyglądała jak mały żołnierz przystrojony w białe koronki. Na widok żony Olivera twarz dziecka zmarszczyła się i łzy pociekły mokrymi jeszcze śladami po okrągłych policzkach.

- Ciociu Klaudio, on... on powiesił mojego pieska!

Podbiegła do ciotki z wyciągniętymi rękoma.

Klaudia schwyciła ją za nadgarstek; długimi, szczupłymi palcami drugiej dłoni złapała małą za rozczochrane włosy, odsunęła od siebie na odległość ramienia i uniosła zdziwioną twarz dziewczynki do światła:

- Mówiłam ci, żebyś przestała się ze mną spierać? - spytała.

W parnym, nocnym powietrzu zabrzmiał szept przepelnięny strachem i niedowierzaniem:

- Ty mu kazałaś to zrobić?

- Moja wspaniała siostra rozpuściła cię, Taryn, a twój bogaty ojciec spełniał wszystkie

twoje zachcianki. Musisz zrozumieć: te czasy się skończyły. Od ustanawiania reguł jestem teraz ja, a ty masz mi być we wszystkim posłuszna.

Podbródek Taryn zadrżał, ale zaraz uniósł się z uporem.

- Ciociu Klaudio, tego pieska dostałam od ojca. Nie miałaś prawa go zabić.

Ciotka pochyliła się; na chwilę w blasku latarni jej twarz rozbliły uderzającym, egzotycznym pięknem, po czym skrzywiła się i czar przysł.

- Gdybyś była posłuszna, nie doszłoby do tego. Sama sobie jesteś winna.

Taryn okręciła się, chcąc się uwolnić z bolesnego uścisku i wczepiła małe palce w wymyślną fryzurę ciotki, która wrzasnęła i uderzyła dziewczynkę wierzchem dłoni, rubinowym pierścieniem rozcinając jej górną wargę.

Z klejnotu na satynowy pantofel kapnęła kropla krwi i Klaudia cofnęła się gwałtownie. Mrużąc oczy z wściekłości, wpatrywała się w zniszczony trzewik. Z pięknych ust popłynęły słowa żrące niczym kwas.

- Quinn, naucz manier tę małą z piekła rodem.

Taryn spojrzała dziko na wychodzącego z cienia mężczyznę, poruszył od niechcenia ręką i ciasno spleciony bicz zsunął się z jego ramienia na bruk.

Chłopiec wzdrygnął się na ten aż nadto znajomy obrazek. Spojrzał na Klaudie, chcąc ocenić, jak bardzo jest wściekła. Na widok jej twarzy serce zabiło mu mocniej. Przeniósł teraz wzrok na Olivera; Quinn, służący, nie mógł nic zrobić bez jego pozwolenia.

Zimne oczy Olivera błysnęły złowieszczo. Gdy potwierdził skinieniem rozkaz żony, Quinn zrobił krok do przodu, a Woolf poczuł, że na ten widok robi mu się niedobrze. Chociaż od lat żył na łasce Olivera, nie mógł uwierzyć, by mógł on skrzywdzić delikatną, niespełna dziesięcioletnią siostrzenicę żony.

Palilo go poczucie winy. Zrobił źle, trzymając się od małej z daleka. Powinien był z nią porozmawiać, ostrzec, że niemądra prowokacja będzie dla przewrotnej, brutalnej pary wyzwaniem, które nieuchronnie zakończy się batami. W ciągu tygodnia, jaki minął od czasu jej przybycia do Kingsford, nieraz miał okazję poradzić Taryn, by zachowała spokój, niezależnie od tego, co się będzie działo. Nawet teraz mogła się uratować - na przykład osunąć na ziemię, udać pokora, ubłagać swoich dręczycieli. Ach, gdybyż...

Taryn uniosła buntowniczo brodę. Woolf wstrzymał oddech.

- Powiem lordowi Fortesque, ciociu Klaudio, on weźmie mnie do siebie. Powiem mu, że powiesiłaś mojego psa i zamkną cię w więzieniu Newgate. - Dziewczynka próbowała się bronić.

- Twoi rodzice nie żyją - drwiącym tonem zauważyła Klaudia. - Lord Fortesque nie

usłyszy twoich skamleli. Nigdy go nie zobaczysz.

- Jest moim opiekunem i przyjedzie, żeby przekonać się, jak mi się wiedzie, albo ja sama wyślę mu wiadomość.

- Jesteś dzieckiem, Taryn. Nikt nie da ci wiary, a co do wysłania wiadomości, wuj Oliver nie ofrankuje listu do tego starego londyńskiego zrzędy.

Taryn oblizwała wargę dotykając językiem rany tuż nad lekko skośnym przednim zębem.

- Powiedział, że tu przyjedzie, ciociu Klaudio. Wtedy zobaczy, co mi zrobiliście A kiedy weźmie mnie ze sobą, już nie będziecie mogli wydawać pieniędzy mojego ojca. - Z twarzy dziewczynki bito poczucie satysfakcji.

Triumfowała. Woolfem wstrząsnął nieoczekiwany śmiech; jego cynizm nieco przygasł. Zdumiał się, że Taryn radzi sobie w trudnej sytuacji niczym dorosły człowiek. Odetchnął głęboko i rozluźnił się, zaciekawiony, jak Klaudia zareaguje na żelazną logikę dziecka.

W odpowiedzi dała znak ozdobioną klejnotami dłonią. Bicz przeszyj powietrze i rozciął koszulę na barku dziewczynki. Mała. osunęła się na kolana, piszcząc z bólu. Zdawała się nie dowierzać temu, co się dzieje.

Quinn ponownie wzniosł wijący się harap i zamierzył się energicznie. W głowie Woolfa eksplodowała wściekłość.

Rzucił się do przodu, chcąc uchronić drobne, niewinne dziecko przed kolejnym uderzeniem. Objął małą, wzdragając się w oczekiwaniu na cios.

Słyszając trzask bata Taryn skuliła się, krzyknęła i znieruchomiła. W jej wypełnionych łzami oczach zaświtało zrozumienie. Wyrwała się i spojrzała na swojego wybawcę.

- Odgoń chłopca! - wrzasnęła Klaudia, wiórując wściekłemu pomrukowi Oliviera.

W powietrzu ponownie rozległ się świst, Woolf starał się nie myśleć o bólu; jego ciało cierpiało samotnie. Patrzył na dziecko, zawzięcie skupiając uwagę na każdym szczególe. Zaczerwienione oczy wpatrywały się w mego ze zdziwieniem. Są jak fiołki, zauważył, kiedy dosięgło go trzecie smagnięcie. Włosy niemal białe, czarujący mały ząbek, lekko przekrzywiony tuż pod rozciętą wargą, jakby tulił się do sąsiedniego.

Taryn wybuchła niczym kufa ognista, krzycząc i próbując odepchnąć go od siebie.

- Zostawcie go w spokoju! Zrobię, co mi każecie!

Woolf wpatrywał się w nią zdumiony. Ta młoda osóbka błyskawicznie znalazła rozwiązanie.

Oliver dał znak.

- Wystarczy, Quinn.

Zatrzymany w powietrzu bat strzelił niczym pistolet Chłopiec wzdrygnął się. Taryn łkała przez ściśnięte gardło.

Oliver przekrzywił na bok głowę. Przystojny, jasnowłosy. stał Z przymkniętymi powiekami, zasłuchany we własne myśli.

- Mam wrażenie, że dzieciak podpowiedział nam rozwiązanie.

- Oliver, to ona miała dostać baty. a nie chłopiec parsknęła rozzłoszczona Klaudia.

Przez obojętną zwykle twarz mężczyzny przemknął błysk zniecierpliwienia, ale kontynuował tym samym tonem:

- Pomyśl, Klaudio. Ta mała ma rację. Jako wyznaczony jej opiekun Fortesque z pewnością będzie wsadzał nos w misze sprawy i może jej Uwierzyć.

- Ta harda smarkuła zawsze była ciężarem, Chcę ją złamać.

- Patrz w przyszłość. - Oliver ruszył w stronę przytulonych do siebie dzieci. Taryn wydostała się z opiekuńczego uścisku Woolfa i próbowała zdjąć postrzępioną koszulę z obolałych pleców chłopca. Po policzkach ciekły jej łzy. Chciała mu ulżyć, zmniejszyć jego ból.

- Taryn - powiedział cicho Oliver. Jego oczy zmętniały. kiedy dziecko uniosło ku niemu wymęczoną twarzyczkę; - Oczywiście masz rację. Nie możemy cię męczyć, żeby Fortesque nie miał powodu do podejrzeń. Jednak Woolf nic dla twojego opiekuna nie znaczy ani też nikt nie będzie zdziwiony, że ten nicpoń uczony jest dyscypliny. Zapamiętaj więc sobie, że za twoje nieposłuszeństwa będzie karany Woolf.

Oczy Taryn stały się okrągłe ze strachu, kiedy uprzytomniła sobie znaczenie tych słów.

- Nie, nie możecie... - powiedziała bez namysłu.

Woolf otworzył usta, żeby ją ostrzec, ale mimo że Taryn zamilkła, gdy tylko pojęła, że palnęła głupstwo, Oliver natychmiast skwitował jej bunt skinieniem na Quinna. Harap zatańczył jeszcze raz, o włos od jej palców, zostawiając kolejny krwawy ślad na białej koszuli. Oliver podał żonie ramię.

- Musisz zmienić pantofle i poprawić fryzurę, moja droga. Lada chwila zjawią się goście - przypomniał. - Idziemy.

- Co powie wuj Woolfa, Ryszard, kiedy odkryje, jak go potraktowaliśmy? - spytała idąc u boku męża.

- To, co zwykle, moja droga. Zapyta o moje raporty, a nigdy ich nie czyta. Zapyta o pieniądze, które mu obiecałem, a które zaraz przegra. I powie, żebyśmy robili wszystko, co

trzeba, żeby ten mały dzikus stał się człowiekiem.

Klaudia obejrzała się na dwoje przytulonych do siebie dzieci.

- Zabierz ją natychmiast od tego chłopca - syknęła. - To hańba. Nie chcę, żeby trzymała z nim, skoro ma zostać żoną naszego syna.

- Nonsens, moja droga. Niech właśnie trzymają się razem, będzie się nim opiekować tak, jak on nią. To lepsze, niż najmowanie opiekunki czy zamykanie jej w pokoju. Na dodatek - powiedział strzepując źdźbła siana z rękawa - nic nas to nie kosztuje.

Wiosna 1803, Kingsford

Geoffrey, idziemy na ryby? - zapytał od niechcienia Woolf, wzrokiem znawcy patrząc na molo. Rześka bryza lekko burzyła zielonkawą taflę wody; luźna koszula Woolfa trzepotała na wietrze. Spojrzał na kuzyna. Wolałby, by wuj Ryszard zostawił Geoffreya w Kingsford, zamiast brać go z powrotem do Londynu; gdzie miał wyrosnąć na marnotrawnego sobiepanka. Osiemnastoletni Geoffrey. choć uważany za dorosłego, zbyt był łagodny i prostoduszny, by przeciwstawić się pokusom takiego życia.

- N... nie mogę - odrzekł Geoffrey. - Ojciec chce jechać przed południem. - Patrząc z zazdrością na niedbałe ubranie Woolfa. przeciągnął dłonią po własnym wymyślnym stroju. - Z... zajrzę do ciebie, zanim jego służący g... go ubierze i wleje weń butlę piwa.

Woolf spojrzał bystro na kuzyna.

- Zjechaliście tu raptem wczoraj. Po co w ogóle przyjeżdżaliście?

- Ojciec chadza własnymi diabelskimi ścieżkami. Przyjechał wymusić na Oliverze pieniądze. Oliver udaje biedaka, ale ojciec jest przekonany, że to łajdak, który trzyma forszę dla siebie.

- Latami ostrzegałem wuja przed Oliverem, nie zważając na to, że twoja matka była jego siostrą. Ten człowiek rujnuje Kingsford. a ludzie kłaniają mu się w pas, byle tylko ciągnąć z niego forszę. Czasami mam wrażenie, że traktuje Kingsford tak, jakby należało do niego.

- Mówisz poważnie?

- Posłuchaj. Geoffrey - mówił Woolf, zachęcony niedowierzającym spojrzeniem kuzyna. - Jak myślisz, czy on wysłucha mnie teraz, kiedy jest zły na Olivera?

Geoffrey zerknął szybko na kuzyna, po czym wbił oczy w ziemię i powiedział:

- Przykro mi, Woolf. Jak tytko Oliver wyjmie pieniądze, ojciec zapomni o wszystkim i Oliver pozostanie dlań dobrym kompanem. W każdym razie nikt nie może mu nic powiedzieć ani o tobie, ani o Taryn. Nawet kiedy jest trzeźwy, nie chce słuchać o cudzych problemach. - Zamyślił się. - Z... zabija siebie alkoholem i traci pieniądze na hazard. Na razie nie musi

zastawiać majątku, ale to tylko kwestia czasu.

Woolf kiwał głową, czując odrazę do samego siebie za to, że w ogóle podjął temat. Ruszył w kierunku trójkątnego cienia rybackiego szafasu.

- Siadaj tutaj, Geoffrey, upieczesz się w tym ubraniu.

Geoffrey wahał się, więc pchnął go łokciem i kuzyn posłuchał, jak bojaźliwy piesek, który chce wszystkim dogodzić.

Kiedy ułożyli się w cieniu. Geoffrey westchnął.

- Nie mieliśmy wielkiego szczęścia do ojców, co?

Wuj Ryszard przynajmniej chce cię mieć przy sobie. Mój ojciec nawet nie raczył mi pomachać na pożegnanie.

- Wuj Justin - mówił powoli Geoffrey - twój ojciec, jest piratem. N - nie mogłem uwierzyć, kiedy usłyszałem tę historię. - Tracił Woolfa łokciem i zmienił ton rozmowy: - Mógłby wpaść tu i zostawić nam trochę zagrabionego złota. M - miałbyś coś przeciwko temu?

Woolf próbował się uśmiechnąć; wiedział, że Geoffrey fatalnie się czuje, jeśli ktoś w jego towarzystwie jest choć trochę nie w sosie, a nie miał powodu zarażać go swoim ponurym nastrojem.

Ośmielony Geoffrey mówił dalej:

- To były naprawdę dobre lata, kiedy zarządcą był wuj Justin. Mój ojciec nigdy mu nie wybaczył, że zniknął w taki sposób. Oliver zaofiarował się, że go zastąpi. Jego pomysły na dobre zarządzanie polegały na laniu strumieni brandy i kapaniu kropli gotówki, żeby udobruchać ojca. Zwykle to wystarczało, ale ojciec w głębi duszy zdaje sobie sprawę, że Kingsford powoli obraca się w ruinę. - Uniósł twarz w stronę chłodnego powiewu. - Być może mój ojciec dlatego cię tu zostawił, że nadał jest wściekły na wuja Justina, że odszedł.

Ze ściśniętego gardła Woolfa wyrwał się gorzki śmiech.

- Wuj Ryszard powiada raczej, że oddał mnie do Olivera na nauki. Podobno harap Quinna ma sprawić, że nie zostanę dzikusiem, jak mój stary.

Geoffrey westchnął.

- Trudno kochać tych naszych ojców, co?

- Kochaj swojego, Geoffrey. Ją mojego nienawidzę. Jeśli w ogóle go jeszcze zobaczę, pokażę mu, jak smakuje bat.

Jesień 1805, Kingsford

Woolf zamknął książkę i wyciągnął się przy kominku. Leniwie obserwował, jak Taryn, wpatrzona w widelec z tostem, przesuwając różowym językiem po skośnym przednim

zębie. Odgarnął niesforny kosmyk grożący zajęciem się od płomieni i lekko pogładził ją po włosach. Jej bliskość przepelniała go serdecznym wzruszeniem. Była wesołą towarzyszką, wdzięczną za drobne przyjemności, jakie jej sprawiał: odkrycie ptasiego gniazda, zorganizowanie wyprawy na jagody lub wizyty u dzierzawców, gdzie rozdawała skromne datki grając rolę dobrodziejki.

Zadumał się.

- Myślę, że skoro wuj Ryszard jest tak chory, Geoffrey powinien pomyśleć o przyszłości i zainteresować się posiadłością. On jednak powiada, że żyć na wsi to jakby dać pogrzebać się żywcem. Gdyby Kingsford należało do mnie...

Giles zachnął się.

- Nigdy nie będzie twoje i nikt nie życzy sobie wysłuchiwać twoich nie kończących się teorii gospodarowania. – Odwrócił się od zalanego deszczem okna i skrzyżował ręce na piersi, Koronki jego mankietów spłynęły w dół pięknymi fałdami.

- Ja sobie życzę, Giles - powiedziała miękko Taryn.

Woolf milczał, wiedząc, że w jego obecności zwykle pogodny i układny Giles tracił humor. Bezgranicznie rozpieszczany przez Klaudię, otoczony serdecznością Taryn, nigdy nie wydorosłeje. Zamiast tego będzie brnął przed siebie, ograniczony - niczym koń klapkami na oczy - - uwielbieniem matki i troską Taryn. I zazdrosny o Woolfa.

- Ktoś musi zadbać o to, by Kingsford nie popadło w trwałą ruinę - odpowiedział spokojnie, nie dając za wygraną.

Giles zrobił krok w jego kierunku. Był wyraźnie znudzony tematem.

- Krytykujesz mojego ojca?

- Oczywiście, że nie - wtrąciła szybko Taryn. Rzuciła Woolfowi ostrzegawcze spojrzenie i dodała: - On czyta te wszystkie książki, żeby dowiedzieć się, jak postępują ludzie w innych regionach kraju.

Woolf zignorował gniew Gilesa i znowu skupił uwagę na Taryn. podciągnął kolana pod brodę.

- Taryn, przypuśćmy, że miałabyś staw taki jak nasz, zaopatrujący Kingsford w ryby. Jeśli ktoś jednego roku wyłowiłby wszystkie ryby, nie zostawiając żadnej, co by było, gdybyśmy mieli ochotę na ryby?

- A kogo to obchodzi? Tuż za progiem mamy rzekę i ocean - odrzekł Giles siadając na dywaniku obok Taryn.

Poklepała go po dłoni, zastanawiając się nad pytaniem Woolfa.

- Ryb już nie będzie - powiedziała.

Woolf pokiwał głową, zadowolony z odpowiedzi.

- I tak jest ze wszystkim, Taryn. Gnuśny farmer sieje rok w rok to samo zboże i nawet owcy nie przegoni przez pole, bo jest za leniwy, by dbać o regenerację gruntów. Nie próbowaliśmy niczego innego poza rozsiewaniem ziarna, które i tak wiatr od morza zwiewa w chaszczę. Czy nie można spróbować siać w dołkach albo stosować płodozmian... albo - pytał zirytowany - sadzić rzepę?

- Rzepa? - zachichotała Taryn. - A co rzepa ma z tym wspólnego? - Podniosła grzanekę do nosa i powąchała. - Mniam, mniam.

Giles zdjął tost z widelca.

- Woolf, co cię obchodzi Kingsford? - Ze słoja stojącego na tacy leżącej między nim a Taryn wziął łyżkę dżemu. Trzonkiem rozsmarował dżem na grzance, po czym upuścił lepka, pokrytą okruszynami łyżkę na dywan. Odgryzał kęs za kęsem, aż całkowicie wypełnił usta.

Taryn podniosła łyżkę i wytarła serwetką zabrudzony dywan. Woolf odpowiedział na pytanie Gilesa:

- Jasne, że osobiście nic mnie nie obchodzi. Zdobędę własny majątek.

Taryn spojrzała na niego przestraszona.

- Opuścisz Kingsford?

- Oczywiście, że tak - powiedział Giles kładąc dłoń na dłoni Taryn. - Nic tu po nim. Nie mam pojęcia, co go tu tak długo trzyma.

Woolf zmrużył oczy; przyjrzał się profilowi Gilesa, po czym wbił wzrok w dłoń Taryn przykrytą ręką kuzyna.

- Wiesz, Taryn, chcę zostać bogaty. Ludzie wszędzie dorabiają się fortun, a ja jestem równie mądry jak oni.

- Woolf, a czy wtedy wrócisz?

- Być może - mruknął. - - Być może kupię Kingsford. Do tego czasu cena zaniedbanego majątku pójdzie znacznie w dół.

Giles spochmurniał, ale Taryn uśmiechnęła się.

- Wrócisz, żeby nas uratować - powiedziała ufnie.

Woolf zamilkł. Myślał o tym, że opuszczając Kingsford powinien być szczęśliwy. Z jednej strony męczył się patrząc bezsilnie, jak opiekunowie Taryn dławią jej niepokornego ducha, z drugiej - jak Giles wykorzystuje jej dobre serce. Ojciec Taryn na łożu śmierci pobłogosławił ich ewentualny związek, zostawiając ją całkowicie pod kontrolą Klaudii. Burnham musi teraz smażyć się w piekle, pomyślał Woolf ze złośliwą satysfakcją.

Niezależnie od tego. w jaki sposób miał zamiar przeciwdziałać egoistycznym

poczynaniom jej rodziny, prawda była taka, że nie miał środków dla uratowania dziewczyny i znikąd nie mógł oczekiwać pomocy.

Kiedy umarł londyński opiekun Taryn, zastąpił go człowiek, który „uwielbiał” Olivera za to, że zajął się sierotą. Wuj Ryszard był już schorowany i Geoffrey, chociaż rozumiał troskę Woolfa o Taryn nie mógł w niczym pomóc. Wiódł leniwe, przyjemne życie, co kwartał wyczekując na wypłatę należnej mu renty.

Giles ma racje, myślał Woolf. Musi liczyć tylko na siebie, przeczytać wszystkie książki z kingsfordzkiej biblioteki, przygotować się do radzenia sobie w życiu, przyjąć oferty rybaków, nauczyć się żeglarstwa, przyłączyć do przemysłowców, którzy pływali przez kanał do Francji, nauczyć się osiągać zysk.

Zdoła jej pomóc tylko wtedy, jeśli będzie bogaty i silny. Oczywiście, jeżeli będzie tej pomocy jeszcze chciała.

Lato 1807, Kingsford

Przez otwarte drzwi wpadały do kuchni tańczące promyki słońca, niby weseli goście, prześlizgując się po czystej kamiennej posadzce, migocąc w promiennym zachwycie na nowym piecu Rumforda i błogosławiąc zapachy bijące z jego czeluści.

Marta, młodsza córka Kucharci, klęcząc na krześle patrzyła łakomie, jak matka przykrywa serwetą duży kosz.

- To dla Rose Simpson, panno Turyn. Piernik dla starszej dziewczynki i prowiant na parę dni - zwróciła się Kucharcia do wysokiej, stojącej obok młodej damy.

- Mogę pójść z nią i zobaczyć dzieciątko? - poprosiła Marta. Zeskoczyła z krzesła i czarne loki opadły dokoła jej zaróżowionej, pucołowatej bud. Schwyciła kosz, żeby pokazać swoją gotowość do pomocy.

- Może? - spytała Taryn, wymieniając z Kucharcia spojrzenie zdradzające, że obie nie potrafią odmówić małej.

- Jak sobie życzysz - odrzekła Kucharcia. - Alicja i ja wstałyśmy dziś wcześniej i godzinę możemy się obyć bez tego małego urwisa. - Pochyliła się, ujęła Martę pod brodę i otarła z kącików ust okruszynę piernika. - Bądź grzeczna. - Sama przypominała dziecko: rumiane policzki, śmiejące się błękitne oczy, błyszczące czarne warkocze.

Alicja, starsza córka Kucharci, pośpieszyła, by przytrzymać drzwi przed dźwigającą kosz Taryn. Marta minęła Taryn w podskokach, zbyt niecierpliwa, by iść, zbyt podniecona perspektywą ujrzenia najmłodszej mieszkanki małej wioski przy Kingsford. Taryn oparła kosz na biodrze i zaśmiała się.

- Biegnij przodem, Marto. Jeśli chcesz, możesz im powiedzieć, że idę. - Wydając

okrzyk radości dziewczynka pobiegła skrótem przez las.

Taryn nuciła idąc ocienioną ścieżką. Cieszyła się wspaniałym dniem. Przestrzeń między potężnymi pniami drzew zarastało gęste poszycie. Kiedy szła, milkły spłoszone głosy mieszkańców leśnej krainy.

Nie bacząc na bojaźliwych koleżków, dzięcioł spokojnie stukał w drzewo. Taryn przystanęła i spojrzała w górę chcąc dojrzeć kolorowego ptaka. Odchrząknęła i zdumiała się, gdy ptaszek pokręcił łebkiem słuchając Swojego imienia, jak to miał w zwyczaju. Jego ubarwienie przyćmiewało nawet strojnisia Gilesa, szykującego się do wymarszu w miasto. Błękitny, subtelny płaszczyk z żółtymi i czarnymi wzorami, żółty krawat, biała, brokatowa kamizelka i niebieskie spodnie, No i błękitne piórka w ogonie, zauważyła Taryn.

Przełożyła kosz na drugie biodro i ruszyła w dalszą drogę. Po chwili do pracowitego stukania dzięcioła dołączył inny rytmiczny odgłos.

Zwolniła, serce zabiło jej mocniej; poznała chód Woolfa. Na jej dwa kroki jego długim nogom wystarczał jeden. Odwróciła się, czekając, aż się zbliży; przeszedł ją dreszcz. Poczula coś, co zdarzyło się już kiedyś, gdy go poznała. Dojrzały, jak na swoje osiemnaście lat, podczas ostatniego roku zmienił się radykalnie. Samotnik, całymi dniami stronił od ludzi. Nadal był jej bardzo drogi, ale znajomy obrońca z lat dzieciństwa zaczynał stawać się kimś obcym.

- Witaj - odezwała się. Zdziwił ją jego poważny wygląd.

- Taryn - powiedział podchodząc. Wziął kosz do jednej ręki, a drugą otoczył jej ramiona, Szli obok siebie. Ten zwykły gest speszył ją. Jej ciało ostatniego roku nabrało kobiecych kształtów. Urosła, zaokrągliła się i wolałaby, żeby nikt na nią nie patrzył. Jego dotyk wydał się teraz niemiły; czuła się niezręcznie, jakby była zupełnie kimś innym.

Wyszli pomiędzy drzew na nasłonecznioną polanę. Spojrzała na swego towarzysza.

- Co się stało z twoją twarzą, Woolf? - Aż przystanęła, z trudem łapiąc oddech.

Zdjął rękę z jej ramion, stał i patrzył na nią.

- Quinn - odrzekł szorstko, niedbale. Był spięty, czujny jak jeleń pełen zuchwałej siły, gotów w każdej chwili pobiec długimi susami W głąb lasu.

Przyglądała się jego twarzy - Krwawa pręga, od włosów na czole do zniekształconego ucha. Granatowe siniaki pokrywały pół brody. Warga rozcięta i nabrzmiała.

- Nie widziałam, żeby Quinn bił kogokolwiek pięściami - powiedziała zdziwiona faktem, że prześladowca zrezygnował z użycia bata.

- Nikt wcześniej nie śmiał mu się przeciwstawić – odparł gwałtownie. W jego odpowiedzi pobrzmiwało uczucie satysfakcji.

Przeraziła się. Nigdy tak się nie bała. Całe jej ciało dygotało za strachu.

- Co się stało? - szepnęła, wiedząc, że nie ma to już żadnego znaczenia, ponieważ los Woolfa został przesadzony.

Ruszył przed siebie. Podążyła za nim do następnego zagajnika, starając się nie uрониć ani słowa.

- Popisując się przed kamratami, zdzielił mnie batem po twarzy - Straciłem panowanie nad sobą. Niewiele myśląc chwyciłem za ramię i przewróciłem go na ziemię. Jego przyjaciele wybuchnęli śmiechem, więc rzucił się na mnie.

- I zbił cię.

- Próbował. Zostawiłem go na trawie nieprzytomnego. - Mówił obojętnym tonem, jakby opowiadał o najbanalniejszym w świecie zdarzeniu.

- On cię zabije - wybuchnęła. - Nie będzie walczył uczciwie. Zajdzie cię od tyłu i nie da ci żadnych szans. - Wiedziała, że tak się stanie. Gardło ścisnęło jej się tak silnie, że nic już nie mogła powiedzieć. Zatrzymała się sparaliżowana bólem. Łzy, nieproszone i niechciane, spływały jej po twarzy.

Woolf odwrócił się. Ostrożnie postawił kosz na ziemi i wziął ją w swoje silne ramiona. Objęła go i trzymała tak mocno, jakby chciała nie pozwolić, żeby go od niej oderwali.

Nawet kiedy po latach rozmyślała o tym, nie umiała przypomnieć sobie, jak długo tak stali. Po chwili odsunął się i ujął jej twarz w swoje wielkie dłonie, powoli pochylił głowę i dotknął jej warg. Był to moment magiczny, połączenie żegnających się dusz. Oboje rozumieli, że Woolf musi uciekać.

Jego wargi były spuchnięte i poranione, ale wiedziała, że nie czuł bólu. Oderwał się od niej. popatrzył i znowu ją pocałował tak delikatnie, że wzbudził w niej uczucia, jakich wcześniej nie zaznała - słodycz i ciepło.

Umysł i serce buntowały się; nie chciała pozwolić mu odejść. Jeżeli Woolf ją opuści, życie Straci sens. Był nadzieją... To dla niego układała swoje dni tak, by sprawiać innym radość. Był siłą nadającą jej życiu sens. Rozświetlał jej dni chwilami prawdziwego szczęścia, spotkania z nim stanowiły skarb, dzięki któremu umiała znieść resztę.

Kochała go.

Ale czy on ją kochał?

Wstrzymując oddech, bacznie się w niego wpatrywała. Zwykle zamknięta i czujna, teraz jaśniała miłością i zdecydowaniem.

- Możemy opuścić Kingsford razem, teraz, albo poczekać, aż będziesz gotowa -

powiedział.

Oddychała ciężko, waząc tę śmiałą myśl. Woolf głaskał ją po policzku.

- Nie martw się Quinnem, Taryn. Ja się go nie boję - uspokajał ją.

Mogła prosić, by został, albo pójść z nim.. Lecz co by się stało z jego planarni zdobycia majątku, fortuny?

Jeżeli Woolf zostanie, zginie. Albo z ręki Quinna, albo powieszony za zabicie go. Oliver już by o to zadbał. Gdyby poszła z nim, Oliver tropiłby ich bez litości, żeby położyć łapę na jej majątku. A nawet gdyby ich nie znalazł, to jak Woolf zdoła zdobyć majątek mając ją pod opieką? Była pewna, że nie posiadał nawet wystarczającej ilości pieniędzy, żeby dostać się na kontynent, a tym bardziej, by zapewnić utrzymanie dla dwóch osób.

Jak wiele lat cierpiał dla niej? Mogłaby prosić o więcej, o całe życie, o to, by zrezygnował ze swoich marzeń. Jasne światło dopiero co odkrytej miłości rośnie w niej, aż połączyło się z szaloną iskrą postanowienia: musi go uratować.

Nie umiałaby powiedzieć, że kocha Gilesa ani wyprzeć się miłości do Woolfa. takie słowa nie przeszłyby jej przez gardło. Teraz jednak nie musiała uciekać się do podobnych argumentów. Wiedziała, że on zaakceptuje wszystkie, nawet niejasne powody, dla których go odrzuci.

Zaakceptuje.

Musi tylko zdobyć się na odwagę i powiedzieć mu prawdę.

- Woolf, wiesz, że mam wyjść za Gilesa. Tak postanowił ojciec w swojej ostatniej woli.

Nigdy nie zapomni jego spojrzenia i tej, zdawało się, nie mającej końca chwili wiarołomstwa. Odsunął ją od siebie zdecydowanie, bez wahania. Odchodzi, pomyślała, może już nigdy go nie zobaczy. Przeraziła się.

- Wrócisz tu kiedyś?

- Dokonałaś wyboru, Taryn. Nic tu po mnie. Nie wrócę.

Ogarnęła ją panika. Jak mogła to zrobić? Jemu i sobie.

Przygryzła wargi, powstrzymując się przed wykrzyknięciem prawdy na cały głos. Woolf odchodził – szybko. dużymi krokami, nie oglądając się ZA siebie.

Patrzyła za nim, póki nie zniknął. Dygocąc podniosła kosz i powoli poszła przed siebie, choć prawie nie zdawała sobie sprawy, gdzie i po co idzie. Jej serce łkało w milczeniu przez cały bezbarwny dzień. Wieczorem wypłakiwała w poduszkę wielkie łyzy żalu za miłością, jakiej zaznała ledwie przez chwilę od mężczyzny, którego już więcej nie zobaczy.

Rankiem znalazła pod drzwiami sypialni upominek, który Woolf zostawił dla niej

poprzedniego dnia, zanim podążył za nią do lasu. Miękka, lawendowa wstążka, taki sam prezent, jaki ofiarowywał jej każdego roku. Powiadał, że jej oczy mają taki właśnie kolor. Owinął wstążkę w chustkę z monogramem - była to pamiątka po ojcu. Nie miał nic cenniejszego.

Przycisnęła wstążkę do piersi i przypomniała sobie, że to jej urodziny. Woolf zawsze wypełniał je śmiechem i małymi niespodziankami. W ponurym nastroju zastanawiała się, czy kiedykolwiek znowu będą one radosne. Przyjaciela, którego istnienie uważała za największy dar boży, odszedł z jej życia na zawsze.

Luty 1813, Kingsford

Zimny, porywisty wiatr targał opończami i chustami żałobników żegnających Ryszarda Burnhama, poprzedniego hrabiego Kingsford. Nad grobem stał Geoffrey, nowy hrabia, nieświadomy niespokojnych spojrzeń obecnych, wahających się, czy nie odejść gromadnie, skoro wikary polecił już dusze zmarłego boskiemu miłosierdziu.

- Giles - zamruczała Taryn znikając głos. Gdyby Oliver i Klaudia domyślali się, co ona zamierza... Bała się nawet myśleć, co mogliby zrobić, żeby nie dopuścić' do takiej jak ta okazji. - Chciałabym chwilę porozmawiać z Geoffreyem na osobności. Jeśli poproszę Klaudię, żeby mogła zostać, ona...

- Wiem - odrzekł Giles. - Dostanie napadu i oskarży cię Bóg wie o co. Nie mam pojęcia, dlaczego tak postępuje.

- Czy mógłbyś...

Machnął dłonią w skórzanej rękawiczce.

- Kiedy zniknie w swoim saloniku z filiżanką herbaty, niczego nie zauważy. -
Podszedł beztrąsko do rodziców.

Drogi Giles, jak tylko umiał, chronił Taryn przed humorami matki. Od wyjazdu Woolfa był dla niej wielką pociechą. Patrzyła na niego przygnębiona tym, że musi go okłamać.

Gdy Giles dołączył do Olivera i Klaudii w rodzinnym powozie, Taryn przesunęła się wolno do Geoffreya, widząc z ulgą, że wieśniacy zaczynają się rozchodzić i wracają do palenisk, żeby ogrzać zziębnięte kości. Westchnęła i mruknęła do Geoffreya.

- Zostań przez chwilę, chce z tobą porozmawiać. Obrócił powoli głowę, jakby budząc się ze snu.

- O, Taryn, to ty. Przepraszam, wprost nie mogę uwierzyć, że on naprawdę odszedł.

- Współczuję ci, Geoffrey...

Pokiwał bezwiednie głową i podał jej ramię. Skinął wikaremu na znak, że posługa go

zadowolona, i ruszył pełną ścieżką.

- Chciałaś ze mną porozmawiać. O Woolfie?

Serce Taryn podskoczyło w piersi.

- Woolf? Widziałeś go?

Geoffrey zmarszczył brwi.

- Nie widziałem i to mnie martwi. Już długo go nie ma, a zawsze, kiedy milczy, widzę go martwego i pogrzebanego, dopóki nie pojawi się znowu. - Postąpił krok do przodu i poczuł szarpnięcie. Spojrzał na Taryn. - O co chodzi? Słabo ci?

Droga wirowała jej przed oczami; próbowała odzyskać głos.

- Nie, w porządku. To tylko...

- Co za głupiec ze mnie, przestraszyłem cię tą gadką o jego nieobecności. Nie zwracaj na mnie uwagi i mów. Chociaż - dodał - chyba wiem, o czym chcesz porozmawiać.

Uśmiechnął się strapiony i pociągnął ją dalej pokrytą lodem ścieżką.

- Obiecałem mu, że jeśli tylko będę mógł, dopilnuję, byś się uwolniła od wujostwa.

- On cię o to prosił...?

- Za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, nawet kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, ale mój ojciec nie chciał o niczym słyszeć. A co teraz o tym myślisz? Chcesz zostać tutaj i wyjść za Gilesa?

- Och - zaczęła wzburzona, zachrypniętym głosem, usiłując nie myśleć o Woolfie. - Nie mogę powiedzieć, że nie lubię Gilesa. Lubię go, ale chociaż zdaje się, że oni folgują każdej jego zachciance, nie sądzę, żeby Oliver pozwolił mu dysponować moimi pieniędzmi nawet gdyby Giles tego chciał. Oliver nigdy nie zgodzi się, by ktoś Sprzątnął mu sprzed nosa fortunę, - Kreśląc portrety swoich krewnych, czuła się jak bohaterka melodramatu, jednak łagodniejsze słowa mogłyby go nie przekonać, że mówi poważnie. - Oliver mnie przeraża, a ze względu na Klaudię moja sytuacja jest nie do zniesienia. Czasami mam wrażenie, że nie wytrzymam z nimi ani minuty dłużej, a co tu mówić o reszcie życia. Gdyby tylko mój ojciec nie kazał mi poślubić Gilesa...

- Ja w to nie wierzę - odpowiedział Geoffrey potrząsając głową.

- Słucham? - Taryn zatrzymała się gwałtownie.

Geoffrey odwrócił się do niej:

- Nie wierzę, żeby w testamencie zmuszał cię do wyjścia za Gilesa. Zostawił ci tylko zezwolenie, na wypadek gdybyś tego chciała, bo widział, że jako dzieci bardzo się lubiliście.

- Przecież widziałam na własne oczy. Oliver ma kopie.

- Cóż, on jest do tego zdolny - mówił wolno Geoffrey. - Ale to t - tylko kopia,

ewidentne fałszerstwo. - Zmarszczył brwi i przyglądał się skonfundowanej Taryn. - Widziałem oryginał i, jak pamiętam, stało tam tylko tyle, że możesz poślubić swojego kuzyna. Możesz! Nie jest to jednak narzeczeńska umowa. W rzeczywistości, kiedy osiągniesz pełnoletność, będziesz mogła swobodnie dysponować fortuną zdeponowaną u powiernika. Jeśli zapragniesz, będziesz mogła się usamodzielnić, ale będzie ci potrzebny właściwy opiekun. Czyste szaleństwo, jak na niezamężną dziewczynę, ale twój ojciec nie należał do ludzi zwyczajnych. Myślę, że dzięki temu stał się tak bogaty.

- Jesteś pewien? - spytała nieśmiało. - Och, Geoffrey, pomożesz mi? Pomożesz mi uwolnić się od nich? Sama nie dam sobie rady, oni mogą mnie po prostu zamknąć i zmusić do małżeństwa. Dopiero następnego lata stanę się pełnoletnia. Do tego czasu Oliver i Klaudia sprawują nade mną opiekę.

- Dobrze. Zlecę sprawę mojemu doradcy prawnemu. Jeśli Oliver posunął się tak daleko, że pokazał ci sfałszowany testament, zobaczymy, czy ustanowi powiernikiem swojego człowieka. Nie powinno t - tak się stać, ale zapewne poczynił już jakieś zakulisowe posunięcia. Być może jako krewny mógłbym zastąpić twojego opiekuna po to tylko, by trzymać wujostwo w szachu. Do tego czasu musisz uniknąć ślubu. Z dnia na dzień niczego się nie załatwi, sama wiesz.

- Ale zrobisz to? To moja jedyna nadzieja.

- Hmm - zamyślił się Geoffrey. - Zajmę się tym po powrocie do miasta.

- Bądź ostrożny i nikomu nic nie mów, dobrze? Na jakikolwiek sygnał, że nie chcę wyjść za Gilesa, Oliver natychmiast ruszy do akcji.

Geoffrey przyglądał się jej uważnie.

- Jak sobie życzysz, moja droga - powiedział cicho. - Zajmę się tym, o co prosisz, a potem znowu porozmawiamy. Do tego czasu będzie to nasz sekret.

Wczesne lato 1813, Kingsford

Oliver przeglądał wniesione przez przemytników w ostatniej skrzyni francuskie koronki i sztuki jedwabiu, które złożyli na stos pośrodku magazynu.

- Dam wam znać, kiedy będziemy potrzebowali wysłać ładunek - powiedział. - Spotkamy się tutaj we Dworze, jak zwykle.

Mężczyźni wyszli szybko i cicho, żeby nie obudzić kilku służących śpiących w opuszczonym Dworze. Oliver szedł za runu, zamykając po drodze drzwi do pomieszczenia beczułkami brandy i do drugiego, wypełnionego egzotycznymi smakołykami, obrazami, meblami i innymi skarbami. Kiedy przekręcił klucz w ostatnich drzwiach, oparł się o nie i stał tak samotnie, z zamkniętymi oczami, z wyrazem uniesienia na twarzy - liczył w myślach

pieniądze. W końcu westchnął czując, że już może udać się do domu. Przy tylnym wejściu czekał Quinn z zapaloną pochodnią.

Nie był sam.

Obok stał niski mężczyzna w trzepocącej na wietrze pelerynie. Jaskrawo haftowany goździk na kamizelce i błyszcząca biała satyna opinająca uda zdradzały fircyka.

- Chastain, mam złe wieści.

Oliver skinieniem dłoni odesłał Quinna i rzucił przybyłemu wściekłe spojrzenie.

- Postradałeś zmysły, Fletcher? Co pomyślą sobie ludzie widząc, że doradca prawny Kingsfordów przyjechał na wieś w taką noc?

- Właśnie wróciłem do Londynu z mojego domku myśliwskiego w Szkocji i usłyszałem niemiłe nowiny. Mogłem poczekać, aż przeczytasz o tym w gazetach, jak wszyscy, ale sprawa jest poważna. Jako zarządca posiadłości Kingsford możesz mieć mnóstwo kłopotów. Jeśli raporty zostaną dokładnie przejrzane, moja kariera jest skończona.

- Niech to diabli, przejdź do rzeczy.

- Geoffrey, lord Kingsford nie żyje. Zamordował go zdrajca Korony. - Fletcher wzdrygnął się na widok wykrzywionej twarzy Olivera. - Ale to nie wszystko. Żyje jego kuzyn, Woolf Burnham, nowy lord Kingsford. Kilka dni temu pojawił się na balu u lady Crowper. Obecny był także książę regent...

- Dlaczego nie powiadomiono mnie o tym wcześniej? Klaudia i Giles są w Londynie. Dlaczego mnie nie zawiadomili?

- Odwiedziłem ich. Pani Chastain nie chciała opuścić? twojego chłopaka. Giles leży w łóżku z gorączką. O niczym nie słyszała, chociaż pogrzeb Geoffreya odbył się dzisiaj.

Oliver zacisnął pięści.

- Pojadę do Londynu i zajmę się Woolfem. Jeśli znowu zniknie, nikt niczego nie będzie podejrzewał. W tym czasie zrób coś z przeklętymi dokumentami.

- A jeśli on już tu zmierza?

- Ustawię ludzi na drodze, żeby mieć go na oku. Teraz wynoś się stąd, do diabła.

Fletcher potrząsał głową i chrząkał, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale pomyślał, że lepiej będzie zniknąć. Wgramolił się do zakurzonego powozu czekającego na podjeździe. Woźnica strzelił z bicia i konie ruszyły.

Oliver odprowadził powóz wzrokiem i zaciskając pięści, prawie na oślep; wrócił do domu. Otworzył frontowe drzwi. Chuda, skrzywiona kobieta wybiegła zirytowana, ale gdy rozpoznała nadchodzącego, kwaśna mina ustąpiła miejsca przymilnym uśmiechom.

- Milordzie - , - powiedziała, używając niezastużonego tytułu.

Skinął z aprobatą.

- Parsons, jutro jadę do Londynu. Jak zwykle przed wyjazdem chcę sprawdzić, czy we Dworze wszystko w porządku.

Przeszedł do salonu i sięgnął do kredensu po karafkę z brandy.

- Naturalnie, sir. Znajdzie pan, wszystko w najlepszym porządku. Młoda Marta kończy sprzątać sypialnie i za kilka chwil zejdzie ci z drogi.

Zatrzymał się, przechylił głowę na bok. Jego przystojna twarz rozluźniła się. Z uśmiechem wypił brandy i ruszył na górę.

Taryn wstała dając znak wikaremu, że jego przedłużająca się wizyta dobiegła końca. W odpowiedzi ów zacny dżentelmen uniósł potężne ciało i kanapy, wywołując dźwięczny protest kryształowych pryzmatów zdobiących ręcznie malowaną lampę stojącą na stole. Modulowany głos Taryn uniósł się lekko, taktownie tłumiąc skrzywienie gorsetu gościa.

- Dzięki za przybycie, wielbny Seftonie, za kondolencje z powodu odejścia Geoffreya i mądre wersety z Pisma. Będę - czekać na rozmowy o nich, jak co tydzień.

Posyłając uczennicy promienny uśmiech, wikary zdjął okulary i pracowicie czyścił grube szkła za pomocą wielkiej chustki ozdobionej koronką.

- Uroczą z pani młoda dama. Cóż za przyjemność napotkać tak elegancka osobę na tym zadu...hmm, na prowincji, - Nasadził okulary na garbaty nos i ostrożnie zaczepił za uszami. Kiedy zakończył ów rytuał, otrząsnął się. Jak wielkie zwierzę po ablucji, pomyślała Taryn. Gdy wygniecione od siedzenia ubranie opadło wreszcie jak należy, zwrócił się do niej raz jeszcze:

- Widziałem, że rano wyjeżdżał stąd powóz, panno Burnham. Czy to wuj panienki wyjechał w sprawach posiadłości?

Taryn pochyliła głowę ozdobioną koroną z grubego warkocza; było to delikatne, potwierdzające skinienie: eleganckie, acz skromnej.

- Mój wuj, na wieść o śmierci Geoffreya. udał się rankiem do Londynu. Przypuszczam, że wie już o tym cała wieś.

Wikary skinął głową; chrząknął. Kiedy się odezwał, W jego głosie zabrzmiał zrozumiały niepokój.

- A czy Woolf Burnham, nowy lord Kingsford, zechce Odwiedzić swoją posiadłość i poczynić zmiany? Nowa miotła... Jak panienka przypuszcza?

Taryn splótła dłonie i uśmiechnęła się niepewnie. Słodki; miły Geoffrey zmarł, a Woolf został nowym hrabią Kingsford. W jej piersi tańczyły motyle, w mózgu gotowało się od chaotycznych myśli. Trwał jeszcze żal po odejściu Geoffreya, a poza rym bała się, że straciła kogoś, kto mógł ją wyratować.

Wikary zakaszłał, przypominając jej, że przerwana rozmowa jest dla niego niezmiernie ważna. Przestała rozmyślać o własnych zmartwieniach i obdarzyła gościa niezdecydowanym uśmiechem.

- Proszę o wybaczenie, wielbny Seftonie, zamyśliłam się. To takie skomplikowane...

Machnął grubą dłoń, przebacząc jej natychmiast i zachęcając, by dokończyła zdanie.

Pragnąc pozbyć się go jak najszybciej, kontynuowała:

- Wielebny został wybrany przez mojego wuja, więc jeśli pozostanie on zarządcą, nie się, oczywiście, nie zmieni. - To powinno było uspokoić wikarego.

Zdawał się być chwilowo usatysfakcjonowany, jednak na jego pulchnej twarzy pojawiły się chmurne zmarszczki.

- A jeżeli lord Kingsford zastąpi wuja panienki innym zarządcą?

Jęknęła w duchu i przymknęła oczy. Pocierając czoło spoglądała na strapioną twarz gościa, zła na siebie za to, że w ogóle podjęła ten temat.

- Jeśli lord Kingsford zechce, wyrzuci nas wszystkich.

- To nie do pojęcia, droga panna Burnham! Dlaczego tak nikczemnie... pomyśleć, że panienka... - Zabrakło mu stów i Taryn spostrzegła, że ta wieść kompletnie odebrała mu mowę. Spróbował jeszcze raz: - Przecież to jej własny dom! - Jego umysł zdołał w końcu przemóc bezwład języka. - Czy to nie wuj panienki zbudował tę śliczną chatkę we włościach Kingsford?

„Śliczna chatka”, rezydencja o ośmiu sypialniach stała rzeczywiście na terenach należących do Kingsford. tak jak wieś, mały port morski, grunty za przełęczą i wzgórze. Kilka domów wynajmowano każdego roku letnikom, co powiększało liczbę mieszkańców, ale nawet oni pozostawali pod kontrolą Kingsfordu. Chociaż była pewna, że Oliver zabezpieczył jak należy sprawy ich domu, nie była w stanie odgadnąć zamierzeń Woolfa, nie wiedziała nawet, czy w ogóle dowiedział się o swoim dziedzictwie.

Gdy coraz bardziej rozdrażniona mięła rąbek sukni, wikary sprowadził ją na ziemię.

- Jesteś, panno Burnham, spokrewniona z lordem Kingston! Zechciej wybaczyć, że ośmielę się zapytać, ale czy aby na pewno nie wyrzeknie się krewnej?

Westchnęła.

- Nie ma potrzeby, by wielebny tak się o mnie troszczył. Nasi ojcowie byli dalekimi kuzynami, ja jestem jego jedyną krewną. - To z pewnością powinno uspokoić wikarego. Podeszła do drzwi z nadzieją, że ruszy za nią. Szedł jak owieczka, ale na nieszczęście nie przestawał snuć swoich domysłów:

- A wuj i ciotka panienki? Są spokrewnieni?

Odwróciła się w progu.

- Jak to się zdarza w niejednej rodzinie, są między nimi pewne związki. Ciotka Klaudia jako siostra mojej matki nie jest spokrewniona z rodziną Burnhamów. Wuj Oliver

także nie jest krewnym. Jako brat matki Geoffreya miał sposobność zajęcia stanowiska zarządcy posiadłości Kingsford.

Wikary potakiwał, chcąc usłyszeć to, co napawałoby większą otuchą.

- Zatem panienka jest spadkobierczynią Kingsfordu... jeśli by nie było potomka płci męskiej. Załóżmy, że by nie było? Zdesperowana pokręciła głową. Czy to się nigdy nie skończy?

Uśmiechnął się.

- W takim razie, gdyby ford Kingsford zmarł...

W ich chaotyczną rozmowę wdarł się krzyk od strony kuchni. Taryn miała ochotę natychmiast tam pójść, ale zatrzymała się i powiedziała łagodnie:

- Wielebny powinien chyba już pójść, muszę zająć się domem. - Wyciągnęła dłoń. Odwzajemnił jej gest z niejakim ociąganiem i oczywistym żalem.

- Moją powinnością jest... - zaprotestował czując przelotne muśnięcie jej palców.

Nie słuchając odwróciła się i czym prędzej wybiegła z salonu, potem bezgłośnie zbiegała do holu wyłożonymi dywanem schodami. Tuż za nią pod grubasem trzeszczały deski. Pognała na tył domu, w stronę rozpaczliwych krzyków Kucharci. Mijając drzwi do kuchni łudziła się, że zamknięcie ich powstrzyma natręta.

Zatrzymała się, rozglądając za ofiarą skaleczenia nożem kuchennym lub oparzenia. Na długim drewnianym stole leżała sterta świeżo nakrojonego chleba. Z garnka na piecu unosił się zapach baraniny duszonej w warzywach - aż ciekła ślinka. Pogodny nastrój, jakim zwykle promieniowała kuchnia, znikł natychmiast, gdy zobaczyła Kucharcię ciężko wspartą o drzwi; zasłaniała dłonią usta, z przerażonych oczu płynęły łzy.

Mała dziewczynka oderwała się od kucharki i pobiegła na spotkanie Taryn. Jolie, sierota najęta do pomocy, ścisnęła jej ręką i pociągnęła ją za sobą w stronę wyjścia. Palcem wskazała dziwny orszak, który sunął zwirową alejką.

Przeczuwając coś złego Taryn stanęła obok Kucharci. Patrzyła, jak posępni służący wnoszą do kuchni niezgrabny toból, owinięty byle jak w końską, derkę. Szybko złożyli go na kamiennej posadzce i niespokojnie cofnęli się do drzwi.

Wyższy z nich spojrzał na Kucharcię i wymamrota!:

- Panienczka Marta.

Przerażona Taryn przyglądała się, jak Kucharcia rozwija pled. Nie, tylko nie Marta, w milczącym proteście krzyczało w niej wszystko.

- Targnęła się na swoje życie. Skoczyła przez okno - dodał służący. - Znaleźliśmy ją dziś rano.

Kucharcia osunęła się na kolana, przytuliła do piersi ukochaną córkę i zatkała boleśnie.

Taryn dygotała na całym ciele. Czując, że musi coś zrobić, ocknęła się. Nieszczęsna kobieta może potrzebować drugiej córki.

- Zawołaj Alicję - szepnęła do Jolie. Dziewczynka stała z szeroko rozwartymi oczami.
- Jest w szwalni. - Uklękła i uniosła w ramionach głowę Kucharci, biorąc na siebie część brzemienia. Biedna Marta. Czarne pukle wybrudzone ziemią, szkłem i krwią. Sukienka podarta na plecach.

Kołysząc się w przód i w tył Kucharcia wypłakiwała swój żal, jednocześnie delikatnie usuwając z włosów córki kawałki szkła.

- To nie tak, prawda, panienko? Nasza Marta nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego, nie skoczyłaby przez okno.

Taryn zwróciła się do jednego ze służących - był bardzo wysoki.

- Długi Janie, kiedy to się stało? Widziałeś, jak wypadła?

Długi Jan zamrugwał gwałtownie powiekami i przełknął ślinę.

- Nie, panienko. Samuel znalazł ją dzisiaj rano. To musiało stać się w nocy.

W głowie Taryn zrodziły się dziwne podejrzenia. Była pewna, że Marta, wesoła, roześmiana dziewczynka, nie zrobiłaby tego. Co się stało?

Na dodatek, kto lepiej niż Taryn wiedział, jak zwodnicze mogą być pozory? Czy to możliwe, żeby Marta była tak przygnębiona, a nikt z nich w ogóle by się w tym nie zorientował? Próbowała sobie przypomnieć, czy w niedzielę dziewczynka wyglądała na nieszczęśliwą; miała wtedy po raz pierwszy pół dnia wolnego od czasu przyjęcia na pokojówkę we Dworze Kingsford.

Przeciwnie, przypomniawszy sobie Martę wesoło zabawiającą służbę lekko złośliwym naśladowaniem pani Parsons. kłótlivej gospodyni z Kingsford. To zła pani, opowiadała Marta. Siebie tylko lubi. bez ceremonii ciska się na każdego, kto na swoje nieszczęście nawinie się pod jej ciężką rękę. Marta, jak wszyscy domowi służący przed nią, w ciągu tygodnia służby we Dworze nabrała zwinności w nogach. Śmiała się opowiadając tę historię.

Pomimo charakteru gospodyni praca w Kingsford nie była trudna. Kilku służących, chętnych do pracy w wilgotnym, zaniedbanym Dworze, toczyło powolną batalię z odpadającą farbą, zgnilizną i dymiącymi paleniskami. Może Marta wypadła, zastanawiała się Taryn, przez zbutwiałe okno?

Wzdrygnęła się w poczuciu winy. Jej zadumę przerwał głos wikarego. Zupełnie o nim zapomniała.

- Droga panno Burnham. to nie jest miejsce dla damy. Gdyby Kingsford miało sędziego, zajęłyby się nieprzyjemnymi detalami. Przecież panienska nie powinna nawet przebywać w tej kuchni, niewątpliwie...

Taryn zalała fala złości, jak niegdyś w dzieciństwie, kiedy jej lub Woolfowi działa się krzywda. Jak on śmie wtrącać się tak obcesowo w jej ból, zakładać, że wolałaby być gdzie indziej, niż razem z Kucharcią, która przez wszystkie te lata zastępowała jej matkę? Chciała oplakiwać Martę, mała była dla niej jak młodsza siostra. Jak on może być taki zimny, taki tępy?

I dlaczego nie próbował pocieszyć biednej matki? Brakło tu starego wikarego. Ukląkłby na posadzce i otoczył Kucharcią ramionami; mówiłby, jak cudowne było utracone dziecko. Dałby zrozpaczonej matce nadzieję na niebiański, szczęśliwy raj dla córki.

W holu rozległy się szybkie kroki Alicji, starszej córki Kucharci. Pierwsza pojawiła się mała Jolie i przytrzymała jej drzwi. Taryn wstała, uścisnęła przerażoną przyjaciółkę i patrzyła bezradnie, jak uklękała, by pocieszać matkę.

Wikary buczał z tyłu pompatyczne frazesy. Na koniec do Taryn dotarło jedno zdanie.

- Samobójczyni nie może być pochowana w poświęconej ziemi.

W kuchni zapadła cisza.

Taryn odwróciła się do niego ze słodkim, acz groźnym wyrazem twarzy, gotowa zrobić mu coś złego. Ten człowiek wyjdzie natychmiast przysięgła .sobie, nawet jeśli będzie musiała przegnać go miotłą. Nauczona doświadczeniem, przyjęła pozę pustej lalki, jakiej ten głupek oczekiwał.

- Jesteś pan dobrym, poczciwym człowiekiem. Jak mogłabym narażać cię na tak dotkliwe przeżycia? Pozwól mi odprowadzić cię, tak jak zamierzałam, zanim przeszkodziło nam owo wydarzenie. - Wyprowadziła go z kuchni do drzwi frontowych.

Tu, patrząc mu w oczy, wycodziła przez zęby:

- Drogi, wilebny Seftonie. Proszę nie unieszczęśliwiać rodziny Marty, zanim nie wyjaśnimy okoliczności jej śmierci. Nie mogę uwierzyć, że służący powiedział prawdę. - I wy pchnęła go za drzwi, jeszcze raz zapewniając go, jak bardzo podziwia spokój ducha, z jakim zniósł wydarzenia dnia.

Następne godziny były straszne dla wszystkich. Martę złożono w pustym pokoju. Służba czuwała przy niej na zmianę. Taryn zarządziła porcję mikstury na sen dla Kucharci i odprowadziła ją do pokoju na poddaszu, który dzieliła z Alicją.

Pod koniec dnia przygotowała sobie filiżankę herbaty. Już wychodziła z kuchni, zamierzając spędzić resztę wieczoru samotnie w swojej sypialni, gdy zastukała kołatka. Lokaj

Albert podskoczył do drzwi. Taryn zdrewniała, widząc pchającego się do środka wikarego. Ujrzał ofiarę i oczy mu rozbłysły; skinął głową, zrzucił szarobłękitną pelerynę i powoli zdjął dobrane z wyczuciem artysty rękawiczki, po czym podał je Albertowi.

- Droga panno Burnham, odwiedziłem gospodynię we Dworze Kingsford i wszystko ustaliłem.

Albert znieruchomiał, czekając, co powie wikary. Taryn, która przedtem trudem uspokoiła służbę, nie chciała, żeby wikary wypowiedział jakieś nieostrożne słowa w obecności Alberta, tłumiąc rozdrażnienie, które osłabiało jej i tak już nadwątlone siły, powiedziała z udaną obojętnością:

- Albercie, zobacz, czy ogień w salonie nie wygasł. Wielebny Seftonie, zechce mi pan towarzyszyć? - Idąc za Albertem na górę, starała się oddychać głęboko, by się uspokoić.

Kiedy lokaj zakończył krzątanie i wyszedł, Taryn usiadła w jedynym fotelu na zwykłych nogach, a nie lwich i krokodylich łapach, które rozpleliły się w projektach Hope'a i weszły w łaski wraz z modą na styl egipski. Ciotka Klaudia stwierdziła ostatnio, że styl ów wręcz się „przejadł” i planowała wyszukanie w sklepach londyńskich czegoś nowego. Taryn pomyślała, że jeśli los się do niej uśmiechnie, poszukiwania ciotki potrwać miesiąc.

Czekając, aż wikary usadowi cielsko na pierwszym lepszym siedzisku, jak to miał w zwyczaju, zdumiona patrzyła, że nieustannie krąży po pokoju. W rzadkim przyływie energii zapewne pojechał do Dworu, rozpytał o szczegóły i wrócił w zasłużonej glorii bijącej z całej jego postaci.

Przystanął przed kominkiem grzejąc obfite pośladki. Jego twarz, ciągle przemarznięta po szybkiej jeździe w zimnym morskim wietrze, promieniowała zdrowiem; zrozumiałe, skoro był w zgodzie z siłą wyższą. Różowe, wiewiórcze policzki wydymały się niczym miechy dla nadania rysom powagi. W końcu oparł jedną dłoń na wysokim gzymsie kominka; zachwiał się z trudem łapiąc równowagę. Napuszył się.

Taryn poczuła śmiech wzbierający w gardle, przedzierający się przez ciężkie pokłady żalu. Chociaż przysięgała sobie, że będzie traktować go z szacunkiem, jego głupota zaskoczyła ją. Zacisnęła mocno zęby powstrzymując lekceważące wydęcie warg i przybrała poważny wyraz twarzy. Kiedy wikary rozpoczął tyradę. Zwodnicza powaga przerodziła się w horror.

- To samobójczyni - oznajmił. - Była zbyt piękna, zbyt pobudliwa i przejmowała się drobiazgami - Pani Parsons zapewniła mnie, że tego dnia Marta histeryzowała przy najmniejszej reprimendzie i odcinała się, nie okazując jej cienia szacunku. Wspaniałomyślnie otrzymała jeszcze jedną szansę na utrzymanie pracy, ale nie mogła znieść wstydu i stało się.

Odebrała sobie życie. Wskoczyła przez okno. Pani Parsons, gospodyni, chętnie udzielała wyjaśnień. Rzeczywiście, wszystko się zgadza. Choć tej wrażliwej kobiecie z prawdziwym trudem przychodziło złe mówić o dziewczynie, nalegałem, by prawda zwyciężyła.

Słyszając, że Taryn ciężko westchnęła, spojrział na nią triumfalnie.

- A tak? Może pani oburzać się jak ja, że raka zniewaga spotkała dobrą chrześcijankę. Zapewniłem ją, że nic się nie ukryje pod płaszczykiem przyzwoitości. Uczynimy z tego przykładu.

Taryn wybuchnęła:

- Nic takiego pan nie uczyni! Nie ma pan ani prawa, ani władzy, żeby podejmować jakiegokolwiek decyzje!

Wielebny Sefton otworzył usta, jego twarz pokryła się szkarłatnymi plamami, oczy zwilgotniały; zamrugał gwałtownie.

- Drogie dziecko, co masz na myśli? Nie mogę dopuścić, by na kościelnym cmentarzu pochowano nieczystą duszę. To należy wszak do moich specjalnych obowiązków. Z pewnością potrafisz to pojąć.

- Nie może pan dopuścić do pogrzebania jej... pan... nie może podjąć takiej decyzji. Ona na pewno nie targnęła się na swoje życie! Był pan przy niej, kiedy umierała? Gdzie dowód, że popełniła samobójstwo? Będzie pan przedkładać słowa tej żmii ponad zdanie tych, których .szanowałam przez całe życie?

Ze zdumieniem zobaczyła, że podchodzi do niej; jeszcze nigdy nie wydawał się tak agresywny. Nie taił też gwałtownej niechęci.

- Przedkładam słowa kobiety rzetelnej, chodzącej do kościoła, a kiedy wróci wuj panny, bez wątpienia potwierdzi moją decyzję. - Uśmiechnął się słodko, nieprzyjemnie. - Ile można zwlekać z pogrzebaniem jej? Z każdym dniem robi się coraz cieplej. - Przerwał, myślał chwilę, po czym dodał: - Nie wierzę, by istniał powód, dla którego nie mielibyśmy postąpić w tym przypadku zgodnie ze starą tradycją i pogrzebać jej z kołkiem wbitym w ciało, żeby nie wstała i nie nawiedzała okolicy. Ja oczywiście nie wierzę w takie nawiedzanie, ale to uspokoi nieświadomych, przesądnych wieśniaków.

Dobry Boże, co zrobić, jak przeszkodzić mu w wydaniu polecenia komuś ze wsi i spełnieniu groźby? Nie śmiała zmierzyć się z nim ponownie w obawie, że wówczas zrobi wszystko, by postawić na swoim - Bała się, że zareaguje jak rozpuszczony, uparty nastolatek, jakim w istocie był.

Przez chwilę zbierała myśli, po czym obdarzyła go jednym z wyniosłych uśmiechów ciotki Klaudii. Zapominając całkiem o danej sobie obietnicy, że okaże temu człowiekowi

szacunek, przewidując wszystkie argumenty, jakimi mógłby się posłużyć, wystąpiła z serią nieprawdopodobnych kłamstw:

- Wielebny - zaczęła konfidencjonalnie. - Czy przypomina pan sobie pańskie poranne pytania dotyczące intencji nowego lorda Kingsford? Chciałeś wiedzieć, czy zamierza wrócić do domu, czy nie?

Twarz wikarego przybrała komiczny wygląd; był kompletnie zbity z tropu. Nie chcąc dopuścić do tego, by odzyskał zimną krew. Taryn kontynuowała dając mu ledwie czas na zamknięcie ust.

- Musiał pan dostrzec moje wahanie. Czy mam panu teraz odpowiedzieć?

Twarz wikarego złagodniała. Wyraźnie wdzięczny, twierdząco skinął głową. Taryn ciągnęła ściszym głosem:

- Niewiele osób o tym wie, ale myślę, że panu mogę zaufać.

Z przyklejonym do twarzy protekcjonalnym uśmiechem otworzył usta, żeby skomplementować samego siebie, lecz Taryn nie dała mu dojść do głosu.

- Wiele lat temu Woolf Burnham, zanim wyjechał, poprosił mnie o rękę.

Wikary zmarszczył brwi i jak zwykle, gdy stał przed jakimś dylematem, zwłaszcza jeśli dotyczył pozycji społecznej, umknął spojrzeniem w bok. Nie wiedział mianowicie, co począć z faktem, że wszyscy w Kingsford, choć nie było o tym mowy, widzieli w Taryn przyszłą żonę Gilesa.

Nie mógł się zdecydować, czy ma stanąć po stronie nieznanego Woolfa Burnhama, czy też być niewolniczo posłusznym Klaudii i Oliverowi, którzy nadal rządzą dobrami Kingsford.

Taryn z powrotem skierowała jego uwagę na siebie.

- Chciałam wyjść za Woolfa. ale on uznał, że jestem za młoda na podjęcie decyzji, a poza tym - kłamała - chciał zdobyć majątek by mi go ofiarować. Zjechał cały świat i zgromadził ogromną fortunę. Oczekiwałam go w zeszłym tygodniu, lecz zatrzymała go śmierć Geoffreya.

Wikary nie mógł powstrzymać się od wyrażenia wątpliwości.

- Myślałem, że pani i Giles...

- Och, to tylko mrzonki mego wuja i ciotki. Giles i ja nie mamy zamiaru się pobrać. Jesteśmy przecież kuzynami w pierwszej linii.

- Z pewnością nie ma w tym nic niezwykłego, gdy rodzina pragnie połączyć majątki, panno Burnham.

- Drogi wielebny Seftonie, mój kuzyn Giles nie posiada tytułu ani nie dziedziczy po

swoich rodzicach wielkiej fortuny, Ponieważ lubimy się jedynie jako kuzynostwo, nasze małżeństwo nie miałoby sensu. Najlepszym rozwiązaniem jest więc wyjść za Woolfa Burnhama. Wówczas zarówno jego włości, jak i moja fortuna, przejdą na nasze dzieci.

Wikary zakrztusił się. Zamrugał, zdjął okulary i strzepnął chustkę, żeby je przetrzeć. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że okulary upadły mu pod nogi - Podniósł je. Bał się, jego przestach był tak widoczny. Ze ośmielona spojrzała nań groźnie i ciągnęła dalej:

- Nic nie poradzę, ale martwię się jego powrotem.

Wikary wstrzymał oddech czekając na wyjaśnienia.

- Ma taki zły charakter, inny niż beztroski Geoffrey albo jego ojciec, Ryszard, przypomina bardziej swojego ojca.

Wikary oczywiście nie znał historii hańby rodzinnej. Taryn powściągnęła uśmiech.

- To młodszy syn, Justin.

Wikary zmieszał się jeszcze bardziej.

Zniżyła głos do szeptu.

- Justin jest piratem.

Oczy gościa znowu umknęły w bok. Kalkulował swoje szanse.

- Ale - zaprotestował, odzyskując w końcu głos - czy syn takiego człowieka może dziedziczyć?

- A kto się sprzeciwi? Ja nie. - Wzdrygnęła się w dramatycznym geście. - Kto oprze się porywczemu bogaczowi? Prawnicy będą go kochać, tym bardziej że innych dziedziców nie ma. Nawet księżę regent chemie przyjmie jakiś dar do królewskiej szkatuły i ułatwi starania bogatemu i szczodremu człowiekowi. - Nie miała pojęcia, czy to prawda, ale Woolf przysiągł, że nigdy nie wróci, więc nie miało znaczenia to, co mówiła.

- Jak powiedziałam, martwię się jego powrotem, wielebny Seftonie, tak jak i pan powinienes.

- Ja? - Wikary zakrztusił się.

- Z pewnością. Woolf zwykł był spędzać w kuchni Kucharci całe godziny, racząc się jej wyśmienitymi potrawami. Co powie, jeśli pogrzebie pan biedną Martę w tak okropny sposób? Przecież ona jest córką Kucharci i siostrą Alicji, przyjaciółki naszego dzieciństwa. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Wikary porzucił napuszczoną pozę. Opadł na najbliższą kanapę, zdobną krokodylami i sfinksami. Krople potu spływały mu po nosie, górnej wardze, kapały z okularów. Zdjął je z nosa i wyjął chustkę. Wypolerował szkła, otarł twarz. Starannie złożył chustkę i włożył na miejsce, po czym z powrotem założył okulary.

Wyglądał na kompletnie bezradnego. Do Taryn dotarło, że ten względnie młody człowiek prawdopodobnie tu, w Kingsford, po raz pierwszy w życiu sprawuje obowiązki duchownego. Jako młodszy syn zacnej rodziny nie miał żadnego doświadczenia, by stawić czoło życiu, do którego zapewne pchnęła go bieda i brak widoków na inną karierę. Zlitowała się nad nim i zakończyła rozmowę.

- Byłoby inaczej, gdybyśmy mieli pewność, że Marta odebrała sobie życie. Wielebny rozmawiał z nią przez kilka niedziel i wiem, że odczuł jej czystość duchową. Jestem pewna, że zaszło nieporozumienie i najważniejszą rzeczą będzie cicho pochować ją jutro na cmentarzu. Dla mojego wuja nie będzie to miało żadnego znaczenia, a dla nowego lorda Kingsford - ogromne.

Wstała jak zwykle, kiedy chciała dać do zrozumienia, że wizyta dobiegła końca. Podniósł się odruchowo.

- Dziękuję, drogi wikary. Przyjdę jutro i omówimy szczegóły pogrzebu.

Wyszedł bez słowa.

Z ulgą schroniła się w swoim pokoju. Kiedy wreszcie pograżała się w dobrze zasłużonej drzemce, usłyszała odgłos przejeżdżającego drogą wozu. Usiadła; serce łomotało jej ze strachu. Przez chwilę wydawało jej się, że to Oliver i Klaudia wracają do domu. Kiedy powóz przejechał i odgłos kół ucichł w oddali, uprzytomniła sobie potworność tego, co zrobiła.

Dlaczego była dziś tak beztrosko buńczuczna i wściekle przebiegła? Przypomniła sobie swoją dziecięcą dzikość, która ujarzmiła wiele lat temu.

Gdyby jej opiekunowie dowiedzieli się o zajściu, cała praca poszłaby na marne. Jeśli Klaudia usłyszy o jej interwencji, wywnioskuje, że Taryn zależy na wyniku tych zabiegów. Nic jej wtedy nie powstrzyma. Polecą ekshumować biedną dziewczynkę i wyrzucić poza teren cmentarza.

Usnęła z lękiem w sercu.

3

Powóz wlokł się wąską, nabrzeżną drogą. Woolf Burnham cicho podniósł długie nogi i ulokował je w przeciwnym rogu. ostrożnie, żeby nie obudzić Kyoichi Asady, kompana i - zgoła niekonwencjonalnego - nauczyciela. Przeciągając się wydał stłumione westchnienie, jako że zmiana pozycji była ledwie namiastką szybkiego marszu, którego potrzebowały jego mięśnie. Wepchnął stopy w poduszki. Przy luksusowej podróży obstawał jego przyjaciel i dawny pracodawca, zasłużony angielski szpieg, lord Hawksley.

Asada, nie otwierając skośnych oczu, zamruczał po swojemu, podchwytliwie, co nieraz doprowadzało Woolfa do szału.

- Zważywszy, że nie lubisz kobiet, na ironię zakrawa, że aż dwie tkwią w tej sprawie po uszy.

Woolf, złapany w niewygodny potrzask, zaprzeczył zdecydowanie.

- Nic podobnego. Teraz jestem dziedzicem. Tylko to się liczy.

- Jedziesz na spotkanie miłości dzieciństwa.

- Taryn? Byłem jej przyjacielem, nic więcej. Jadę, żeby obejrzeć posiadłość, sprzedać ją temu, kto da więcej, i odejść.

- Jedziesz też z powodu przeczuć tej wróżki.

- Elżbiety? - Kamienna twarz Woolfa złagodniała. Elżbieta odrzuciła jego niedawne oświadczenia, ponieważ zobaczyła - a jej sny i wizje zawsze się sprawdzały - że czeka ich oboje całkiem odmienna przyszłość. Rzeczywiście nastawała, by spieszył do Taryn, powtarzając, że jest w kłopotach i że jeśli on tego zechce, może być jego. Wiedział z doświadczenia, że Elżbieta w swoich wizjach widywała realne sceny, jednak jakim obłąkańczym zrzędzeniem losu mogła ujrzeć go z jedyną osobą, która nigdy nie będzie do niego należeć?

- Poza tym - dodał sennie Asada - wracasz do domu, ponieważ nie możesz powstrzymać się przed wyjaśnieniem tajemnicy.

- Zwykła ciekawość? Nonsens.

Asada otworzył oczy, całkiem już rozbudzony i gotów do Ożywionego sporu.

- Wiele razy twoja infantylna ciekawość wpędziła nas w poziomki, Woolfesane.

Woolf rozpogodził się.

- Masz na myśli maliny? - Widząc, że Asada patrzy spode łba i mruży oczy, aż zamieniły się w szparki, nie mógł powstrzymać się, żeby nie podbechtać przyjaciela. - Może

masz słuszość. Zawsze bawiło mnie wyobrażanie sobie, jakich spustoszeń bym dokonał, odwiedzając ciemniejszych z czasów dzieciństwa.

- Jeśli chcesz się zemścić, zrób to, albo porzuć rojenia. Mówiłem ci nie raz, Woolfesan: czcze myśli osłabiają ducha walki.

Ignorując znaną lekcję, Woolf dodał leniwie:

- Widzę rękę, w której Quinn trzymał bat; jest kaleka i bezwładna.

Asada zaszył się z dezaprobatą w kąt powozu; zmarszczona nagle skórą upodobniła jego twarz do maski Koloru oliwkowego.

Woolf ściągnął usta.

- A Klaudii powypadały wszystkie zęby - dodał.

Japończyk westchnął! ciężko. Ośmieliło to Woolfa.

- Oliver natomiast zgrzybiał i stał się impotentem - rozważał.

Asada nastawił uszu. Jego muskularne ciało budziło respekt wielu wyższych od niego mężczyzn.

- Woolfesan!

Woolf odwzajemnił zgryźliwy uśmiech.

- No dobrze, Klaudia może zachować kilka zębów - dodał uroczyście.

Asada zakrztusił się i opadł na oparcie trzęsąc się ze śmiechu. Po chwili powiedział poważnie.

- Blaknąca pamięć dziecka nie zapomina jednak o wyrządzonym mu złu, Woolfesan. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Fizyczna siła Olivera mogła z biegiem lat zmaleć, ale to tylko wzmogło jego przebiegłość. Nie lekceważ w nim przeciwnika. - Po czym wymamrotał: - Mekura hebi ni ojizu.

Powóz zakotłosał się gwałtownie i Woolf złapał za uchwyt.

- Ślepiec nie boi się węży?

Asada sieknął łapiąc za swój uchwyt; powóz chwiał się z boku na bok, z zewnątrz dobiegały wściekłe przekleństwa woźnicy i rzenie przerażonych koni.

Głośny zgrzyt był następnym ostrzeżeniem. Powóz przechylił się, jeszcze raz zachybotał i z trzaskiem runął na drogę. Wewnątrz, jak przy eksplozji, zakłębiło się od połamanego drewna, srebrnych butelek, butów i innych przedmiotów.

Asada jęknął, padając na drzwi, które teraz były podłogą. Woolf szukał oparcia dla długich, ślizgających się nóg; dłoń z wysiłkiem zacisnął na rzemieniu uchwytu wiszącego teraz nad nim. Zapach oleju z rozbitej lampy, na której leżał Asada, wypełnił wnętrze. Druga lampa, dyndająca nad głową Woolfa, płonęła wesoło.

W ciszy, która nastąpiła po chwili, wściekły głos protestującego woźnicy uciszył strzał z pistoletu. I tak już przerażone konie szarpnęły do przodu próbując wyzwolić* się od ciężaru.

- Woolfesan. niebezpieczeństwo! - wyszeptał Asada. próbując z zadziwiającą siłą podeprzeć Woolfa od dołu.

Woolfa ogarnął śmiertelny spokój - pozostałość po biczowaniach Quinna. Niejednokrotnie, podczas podróży z Asadą albo kiedy pracował u lorda Hawksleya, ten stan ratował mu życie. Chwytał ramię drugą ręką i podciągnął muskularne nogi. Pot wystąpił mu na czoło, gdy wbił stopy w siedzenie naprzeciw i głęboko wciągnął powietrze.

- W porządku, Asada?

- *Hai* - niemal bezgłośnie odparł Asada i poruszył się cicho.

Na zewnątrz ktoś warknął:

- Zabiłeś woźnicę, głupcze!

- Nie powinien być sięgać po broń - odpowiedział młody, podniecony głos. który zdaniem Woolfa musiał należeć do kogoś niedoświadczonego.

- Lubisz krew, Jimmy. Pewnego dnia ktoś odstrzeli ci ten twój bezmyślny łeb. - W ochryplej odpowiedzi starszego napastnika zabrzmiała odraza.

- Masz zamiar biadolić czy wziąć się do roboty?

Starszy mężczyzna odchrząknął i wrzasnął:

- Patrz na wóz!

- Panowie, już wychodzimy - jęczał głośnie Asada. - Proszę się uspokoić. - Błysnął zębami do Woolfa, który przytrzymał drzwi i podpierał gramolącego się, stękającego Japończyka. Ten kucnął na szczycie przewróconego powozu i podał rękę Woolfowi. - Jeszcze chwilę, panowie. Już się. prawie wydostaliśmy. - Do Woolfa zaś szepnął: - Udawaj rannego.

- Do diabła - mruknął jeden z opryszków, widząc, jak Asada powoli wyciąga Woolfa z powozu i przerzuca go przez krawędź otwartych drzwiczek, niczym śniętą rybę. Woolf zwinął się w kłębek, przeturlał, powoli wyprostował i zsunął na ziemię. Jęknął przeraźliwie i zatoczył się jak pijany. Grube, proste włosy zasłaniały mu twarz.

- Stój i ga...

- Stój - zaskrzeczał z góry Asada. - Spróbuj siać, kiedy cię stratowano! - Podpełznął do krawędzi wywróconego pojazdu i wybełkotał: - Przypuszczam, że chcecie moich pieniędzy! - Przekręcił się na brzuch i ześlizgnął na dół tak, by jego stopy oparty się na kole. Młodszy z rabusiów odruchowo wyciągnął rękę, ale cofnął się widząc, jak Asada niezgrabnie padł na koło, a jego pozorna niezręczność wprawiła je w ruch wahadłowy, tam i z powrotem. Rabuś obserwował to przez chwilę; skrzywił się, podszedł i zatrzymał koło.

Asada, najwyraźniej tracąc panowanie, wrzasnął.

- Przypuszczam, że chcecie klejnotów, które mój pan ma przy sobie, w kieszeni!

- Co ty na to, Willie... - Młodszy spojrzał w podnieceniu na starszego, który skinął głową i ruszył do Woolfa.

- Kropnij go - rzucił Jimmy. - Chcę mieć te klejnoty.

- Żadne klejnoty! - wrzasnął mu w ucho Asada. Zaskoczony napastnik odskoczył, a noga Asady z potężną siłą trafiła go w pierś. Padł jak kłoda; dusił się, nie mogąc złapać tchu.

- Jimmy... - Starszy odwrócił się i wymierzył pistolet w Asadę.

Nie zdążył. Dłoń Woolfa przecięła powietrze i trafiła opryszka w kark. Padł z szeroko rozwartymi oczami; puścił broń, nie wydawszy jejku.

Młodszy, z dzikim wzrokiem przekręcił się na plecy i sięgnął za cholewę po nóż. Asada przeszył w locie powietrze i jednym kopnięciem rzucił przeciwnika na ostre nabrzeżne kamienie.

Japończyk cofnął się; spojrzał triumfalnie na Woolfa.

- Ćwiczenie i dyscyplina.

Woolf wzruszył ramionami.

- Brudna walka.

- Bezwstydny barbarzyńca - mruknął Asada. Odciągnął martwego bandytę na skraj drogi i zakrył mu twarz jego złodziejską czapką. Zniecierpliwiony pouczył Woolfa:

- Zawahałeś się, Woolfesane. W następnej sekundzie pociągnąłbyś za spust.

- Nie lubię zabijać, Asada. Gdyby nie to, że on chciał zabić ciebie, byłbym go tylko ogłuszył.

Asada westchnął.

- Jesteś za wysoki i zbyt powolny. Musisz ciężiej pracować. Trenuje cię już tyle lat. nadal bez skutku.

Woolf klęknął przy ich odzianym w liberię woźnicy - leżał bez ruchu na zimnej ziemi. Potrząsając głową, okrywał go swoim długim płaszczem, podczas gdy Asada uwalniał konie ze splątanej uprzęży.

Woolf mocno trzymał cugle narowistego wierzchowca, chcąc, zmusić go do uległości. Rozdrażniony koń, przywykły do pracy w zaprzęgu obok trzech innych, nie miał najmniejszej ochoty tolerować na swym grzbiecie wielkiego pasażera..

Asada, dosiadający zwierzęcia spokojniejszego, wiódł za sobą uwiązane na linie pozostaje dwa konie; do jednego z nich przywiązany był woźnica.

- Znasz to miejsce? - zapytał, wskazując rozświetlone budynki wokół latarni morskiej na krańcu cypla, którym jechali.

- Nie - odrzekł ponuro Woolf. - I bardzo chcę się dowiedzieć, kto mieszka na terenie Kingsford.

- To twoja ziemia, Woolfesan? - sapnął Asada.

- Odkąd zjechaliśmy z głównej drogi.

- Wracasz zatem, by triumfalnie zażądać swego.

Cicha odpowiedź Woolfa, kiedy się w końcu odezwał, ledwie dotarła do uszu Asady.

- Asada, przywiodła mnie tutaj śmierć Geoffreya. mojego kuzyna i przyjaciela. - Jego twarz, omiatana długim włosami, nie przewiązanymi rzemieniem, co zazwyczaj robił, jaśniała w świetle księżyca granitowym blaskiem.

Asada pokiwał z szacunkiem głową.

- Nie można triumfować nad grobem przyjaciela.

Za stromymi skałami lśniła woda, dalej, w małej zatoczce chwiały się maszty kutrów, na plaży odpoczywały rybackie.

Wydawało się, że wystarczy sięgnąć i dotknąć ręką zwiewnego obrazu odległej o mile doliny.

Zdumiewający widok pociągał ich jak miraż, wprost na skałę, ku rozłożystej, rześście oświetlonej czteropiętrowej budowli, o korpusie centralnym wyższym o trzy piętra. Latarnia morska, z morza doskonale widoczne nieomyłne oznaczenie lądu. Po stronie zawietrznej stary stodoły, stajnie i inne zabudowania.

Kiedy zmęczeni podróżni dotarli na miejsce, wybiegło im naprzeciw dwu służących.

- Co się stało? - spytał siwobrody olbrzym, z łatwością zdejmując z konia ciało woźnicy.

- Zostaliśmy napadnięci na drodze nadbrzeżnej przez złodziei - odpowiedział krótko Woolf. Drugi służący odebrał od Asady lejce pozostałych koni. - Musimy przygotować ciało woźnicy, żeby jutro odtransportować je do Londynu.

- Tak, panie. - Olbrzym niósł zwłoki przez podwórzec bez wysiłku, jakby szedł na wieczorną przechadzkę.

- Co to za miejsce? - spytał Woolf.

- To Heritage. panie, zajazd.

Woolf w milczeniu zsiadł z konia, a równie nieskłonny do wynurzeń służący odprowadził zwierzę. Asada także zsunął się na ziemię.

- Woolfesan, przyjrzyj się tym ludziom. To marynarze, a pracują jako służba. Mam

wrażenie, że udają.

- To nie szczury lądowe, zwłaszcza ów olbrzym - zgodził się Woolf oglądając się za kutrem stojącym w oddali na kotwicy. - Cóż, niejeden marynarz osiadł na ładzie albo wrócił z morza na starość. Ci są czyści i usłudni.

Zimna morska bryza powiała przez dziedziniec przyginając do ziemi krzewy i sypiąc w oczy piaskiem, więc podejrzliwy Asada nic nie odpowiedział. W milczeniu pośpieszyli do zajazdu.

Wewnątrz powitało ich gorąco. Długa sień prowadziła do ogromnego, rzęsiście oświetlonego pomieszczenia w centralnej wieży, którą widzieli z daleka. Woolf zadrgał z przyjemności, gdy ciepło wniknęło w jego zziębnięte ciało. Zrobił kilka długich kroków i stanął zachwycony. Gdyby kiedykolwiek błogosławił swoje oczy za radość, jaką sprawiają mu tym, co widzą, zrobiłby to właśnie teraz.

Czyściutkie okna rozjaśniały fantazyjnie wygiętą ścianę dyskretnie wzmocnioną trzema wysokimi kolumnami. Za nimi roztaczała się tonąca w księżycowej poświacie panorama niespokojnego oceanu i zatoki. Woolf stał, jak przykuty do ziemi.

Co za geniusz wznosił ścianę zakrzywioną na kształt burty statku? Przesuwał spojrzeniem po reszcie pokoju, zdumiony fortuną, jakiej było trzeba do zgromadzenia tu takich skarbów.

Wspaniałe indyjskie dywany, bezcenne wazy i inkrustowane kością słoniową drobiazgi z Chin. W misternie emaliowanych miseczkach umieszczono pachnące zioła. Cudowny melanz rozmaitych dzieł sztuki, harmonizujące ze sobą, acz zupełnie odmienne przedmioty. Pośrodku, w wielkim kamiennym kominku, buzował ogień. Woolf był wzruszony. Naraz zatęsknił by dobić szalupą do czekającego na kotwicy statku i znów opłynąć wszystkie porty świata. Poczuł się w tej komnacie, jak w jakiejś pierwotnej jaskini wyposażonej we wszystko, czego potrzeba mężczyźnie, a co koło jak balsam jego niespokojną dusze.

- Wasza lordowska mość - służący niezdecydowanie przerwał jego rozmyślenia - życzy sobie pokoi na noc?

- Tak, dwa pokoje od strony morza, jeśli laska. - Służący skinął głową, a Woolf dodał. - I poproś do nas właściciela.

- To señor Esteban, panie. Już idę.

Służący zniknął. Woolf znowu rozejrzał się po pokoju, tym razem nie zachwycał się, tylko kalkulował zyski, jakie może przynosić podobne gospodarstwo. Podróżny, który choć raz tu zagościł, z pewnością powróci, ale czy właściciel oszalał? Jak potrafił zachęcić ludzi do

odwiedzenia tego odludzia po raz pierwszy? Wszystkie nadmorskie atrakcje, jakie Woolf widział w świecie, usytuowane były blisko brzegu, a nie na skalnym pustkowiu.

Ekscentryk ten señor Esteban. Bogaty. Z najwyższego piętra hotelu roztacza się niewątpliwie widok na wszystkie strony.

- Jak myślisz, kim... - zwrócił się do Asady, który w tym momencie ukłonił się skwapliwie. Za plecami Woolfa rozległ się głęboki głos o obcym akcencie.

- Panowie, witajcie w Heritage.

Woolf odwrócił się, zaciekawiony w najwyższym stopniu, lecz to, co zobaczył, wzbudziło w nim pewną ostrożność. Przed nimi stał wysoki mężczyzna, którego piękna niegdyś twarz zetknęła się najwidoczniej z koncern szpady. Szpeciła ją głęboka blizna od skroni aż po brodę, choć mogła zapewne pociągać kobiety z temperamentem.

Señor Esteban, lekko uśmiechnięty, o oczach tak ciemnoniebieskich, że niemal czarnych, odwzajemnił spojrzenie. Woolf spotykał już błękitnookich Hiszpanów o blond włosach, lecz nie tak jasnych jak te. Esteban zaczesywał je do tyłu na modłę hiszpańską, jednak jego broda w niczym nie przypominała znanych z portretów Van Dycka: bujna, rosła nieskrępowanie, podobnie jak wąsy. Tak, pomyślał Woolf, dojrzała kobieta mogłaby pokochać jego nieposkromiony, niebezpieczny urok... i bogactwo. Szczególnie bogactwo.

Woolf wietrzył niebezpieczeństwo. Powinien dowiedzieć się, czy to Oliver wymościł owo gniazdko, dając temu tajemniczemu mężczyźnie i jego kompanom w Kingsford wolną rękę. Lubił; takie wyzwania.

- Señor Esteban? - zapytał Asada. Przybyły przytaknął i Asada ukłonił się znowu. - Ja jestem Kyoichi Asada. Mój milczący przyjaciel to Woolf Burnham. hrabia Kingsford.

Señor Esteban zeszywniał prawie niedostrzegalnie. Ach tak, pomyślał Woolf pogodnie, nie jestem mu nieznany. Zastanawia się, oczywiście, jak fakt, że przejąłem tytuł i władzę, wpłynie na jego interesy, czy na przykład nie wypadnie, z gry. mając do czynienia ze mną, a nie z Oliverem.

Señor Esteban pochylił lekko głowę i wyciągnął rękę. Woolf odruchowo odwzajemnił gest. Krótki uścisk mocnej, nawykłej cło pracy dłoni powiedział mu wiele o sile i temperamencie gospodarza.

- Nigdy nie widziałem piękniejszego pokoju - powiedział.

- To pański projekt?

Poważną twarz Hiszpana rozjaśnił uśmiech.

- Tak - odrzekł rozglądając się z zadowoleniem, po czym znowu skierował wzrok na Woolfa. - Lordzie Kingston), mówiono mi, że spotkały pana kłopoty. Mogę spytać, co się

stało z bandytami?

- Nie żyją - odpowiedział Woolf szukając na twarzy Estebana oznak winy lub zmieszania, lecz znajdując tylko uprzejme zainteresowanie. Chciał zmierzyć się z nim na umyśle, ale nawet towarzyska wymiana zdań zaczynała mu ciążyć po wyczerpujących zdarzeniach dnia.

- Czym jeszcze mogę służyć, lordzie Kingsford?

- Byłbym wdzięczny, gdyby mógł pan zarządzić, by dostarczono resztę naszych bagaży, a także ściągnięto powóz i dopatrzone naprawy. Znajduje się około dwóch mil stąd w kierunku Londynu.

Señor Esteban skinął głową.

- Obaj panowie wyglądacie na spragnionych odpoczynku. Zaprowadzę was do waszych pokoi.

Wchodząc po drewnianych, pokrytych dywanem stopniach, Woolf z zadowoleniem stwierdził, że miały odpowiednią dla jego stóp szerokość. W większości zajazdów stopnie były tak wąskie, że musiał się wspinać po nich na palcach. Dbały człowiek ten señor Esteban, wie, co znaczą drobne udogodnienia.

Gospodarz wskazał Asadzie jego kwaterę, po czym szerokim gestem otworzył drugie drzwi i wprowadził Woolfa do środka. Przeszedł przez pokój, odciągnął aksamitne draperie koloru burgunda, otworzył okno. Pokój wypełniła odświeżająca morska bryza. Woolf uśmiechnął się zadowolony.

Esteban kucnął na palcach przed marmurowym kominkiem starannie rozpałił ogień pod okazałym stosem polan, po czym podniósł się bez trudu, okazując zadziwiającą, jak na swój wiek, sprawność. Gdy odchodził do drzwi, Woolf odprowadził go wzrokiem. Wtem jego uwagę przyciągnął wiszący na ścianie obraz. Serce w nim zamarło. Rozpoznał dzieło Rembrandta, zdobiące dotąd bibliotekę w Kingsford.

Nie taki więc niewinny ten señor Esteban, skoro Oliver postanowił przekazać mu skarb rodzinny.

- Śniadanie może zjeść pan w pokoju, wystarczy pociągnąć za sznur dzwonka, lordzie Kingsford, chyba że wolałby pan zejść na dół do jadalni tuż za pokojem, w którym był pan przed chwilą - powiedział pogodnie Esteban. - Jutro znowu porozmawiamy.

Woolf odprowadził go do drzwi, skinął z aprobatą i czekał niecierpliwie, aż kroki gospodarza ucichną. Wyszedł na korytarz, podszedł do drzwi Asady i zapukał. Kiedy usłyszał odpowiedź, dał jedno, zwięzłe polecenie:

- Zamknij drzwi na klucz.

Haftowane rękawy porannej sukni Taryn zawirowały trzepocąc wokół jej ramion, gdy odwróciła się i podeszła do ciemnego, kuchennego okna. Czy dzień nigdy się nie zacznie? Chciałaby czym prędzej udać się do wikarego.

Z oczami utkwionymi w ciemnym widnokręgu na wschodzie odgarnęła jasny jak len kosmyk włosów łaskoczący policzek. Co za niesforny lok, narzekała w duchu, usiłując wsunąć go pod ciężki, przekrzywiony warkocz. Był tak graby, że trudno go było ułożyć, by wygodnie opadał na plecy.

Zarumienione, rozpalone od żaru pieca policzki pokrywały szerokie na palce smugi mąki. Wstała przed kilku godzinami, zeszała na dół, podsyciła ogień, przygaszony poprzedniego wieczora do żaru, i zajęła się kojącym duszę pieczeniem chleba, spokojna, że nie ma Klaudii, która z pewnością kazałaby Kucharci zająć się codziennymi obowiązkami. Zadowolona była także z tego, że nieobecność ciotki oszczędziła zgryźliwych porannych uwag o prowincjuszkach z ambicjami nie wykraczającymi poza kuchnię. To, że całkowicie nie zabroniono jej ulubionego zajęcia, zawdzięczała Oliverowi, który ignorując skargi żony mówił, że dziwactwa Taryn oszczędzają mu wydatków na jeszcze jedną służącą.

Jolie, pomocnicy, która spała zwykle na sienniku w kredensie i wstawiała jako pierwsza, by rozpaścić ogień, pozwolono wślizgnąć się na tę noc do łóżka Kucharci. Turyn wiedziała więc, że się nie obudzi. To dziecko, pragnące być zawsze pod ręką, trzymało się poprzedniego dnia blisko Kucharci, tuląc się, przymilając, podając filiżanki herbaty. Nikt jej nie powstrzymywał, ponieważ bawiła Kucharcię, odrywając ją od rozpaczliwych, przynębiających myśli po stracie córki.

Później, w następnych dniach, inni służący, chcąc pomoc Kucharci, znajdą zapewne sposób na to, by chronić ją przed przykrościami, jakich w tym domu nie brakowało, jeśli wujostwo znajdowali się na miejscu. Klaudia była złą panią. Niczym inkwizytor, czuła, tylko wtedy, że żyje, kiedy odnajdywała w kimś winę i miała pretekst, żeby karać. Oliver, człowiek o kapryśnym usposobieniu, zdawał się daleko bardziej niebezpieczny. Nawet Klaudia nie potrafiła przewidzieć, kiedy ją wesprze, kiedy zaś się sprzeciwi.

Wieśniacy unikali go, nawet z nim nie gawędzili, zatrzymując wszelkie informacje dla siebie, włączając w to wizyty Turyn w chatach i praktyczną pomoc, którą niosła. Czy dostrzegał ich powściągliwość wobec siebie, a jej z nimi zażyłość, nie wiedział nikt, ponieważ rzadko zdradzał się ze swymi emocjami. Na pozór łagodny, pojawiał się cicho i

znikał nie zauważony.

Przez lata Taryn dobrze go poznała. Dwie rzeczy go irytowały: gdy ktoś otwarcie sprzeciwiał się jego woli lub dawał mu poznać, że w jakiś sposób może narazić na szwank jego plany i dobrobyt.

Wbrew wszystkiemu okoliczną szlachta uznawała, że stanowią czarującą parę. Oliver, młodszy brat zubożałej, ale utytułowanej rodziny, cieszył się najwidoczniej łaskami mniej wymagających członków elity, którzy kolejno ściągali do Kingsford, aby rozkoszować się czystym oceanicznym powietrzem tudzież szczodrością gospodarza.

Taryn zajęła się pracą. Najpierw długo miesiła ciasto w dużej misce. Potem rozwałkowała je i przykryła wilgotną ściereczką. W pomieszczeniu zapachniało surowym, rosnącym chlebem.

Taryn rozrzewniła się. Jej myśli wędrowały ku Woolfowi. Jak wiele razy w ciągu ostatniej doby. od chwili gdy fantazując nazwała go swoim narzeczoną. Wikary nie miał pojęcia, że Woolf, którego Geoffrey opisywał jako stukającego przygód awanturnika, z pewnością uznałby ją za osobę bardzo nudną.

Nie można powiedzieć, żeby spodziewała się jego powrotu, z pewnością też nie oczekiwała, że mu się spodoba; utwierdzała ją w tym ciotka, dodając, że i tak ma szczęście, skoro zdołała zainteresować Gilesa. Tutaj, w kuchni, Woolf znalazłby tylko prostą, wiejską dziewczynę, z gęstymi włosami spiętymi w koński ogon po godzinach mozolnego rozczesywania. Dziewczynę w sukniach po ciotce, przerobionych niedbale na jej szczuplejszą figurę.

A Woolf? Czy nadal Jest szczupły, wysoki, nadal pochłania każdą ilość jedzenia? Czy odnalazłaby w jego oczach te zapiekłą nienawiść do swoich ciemiężców, która później przemieniła się w coś, czego nie potrafiła zrozumieć?

Chciałaby zobaczyć go jeszcze raz, by rzeczywistość rozproszyła mgliste wspomnienia. Może wtedy przestałby ją nawiedzać obraz ostatniej chwili, jaką z nim spędziła. Być może wtedy będzie mogła zapomnieć o jego magicznym, niezapomnianym pożegnalnym pocałunku i w końcu porzuci nadzieję na wspólną przyszłość, na życie w przyjaźni i miłości.

Nie ma co snuć próżnych wspomnień:

Zanurzyła lepkie dłonie w rondlu z ciepłą, mydlaną wodą i usunęła z palców resztki chlebowego ciasta. Wzięła suchy ręcznik i westchnęła z rozkoszą widząc cudowne promienie słońca, które załśniły nagle na kamiennej posadzce kuchni. Wytarła ręce i podbiegła do okna, by popatrzeć na świt. Uśmiechnęła się na widok promieni skrzących się na uszkach

pobliskiego drzewa. Otworzyła kuchenne drzwi, wyszła na zewnątrz, zamykając je szybko za sobą, żeby nie wypuścić ciepła. Oparta się o pociemniałe od wiatru i deszczu deski, przymknęła oczy i wystawiła twarz na powiew lekkiej, porannej bryzy. Delektowała się przez chwilę tą prostą przyjemnością. Westchnęła głęboko: dzień już się zaczął; czas zapomnieć o Woolfie i pomyśleć o czekających ją kłopotach.

Jaką mogła mieć pewność, że pogrzeb będzie cichy? Powinna coś zrobić, żeby sprawa nie dotarła do uszu Olivera i Klaudii. Jak skłonić wikariusza do dyskrecji, skoro tak się starał zaskarbić łaski Olivera. dającego mu wszak W Kingsford utrzymanie. Co gorsza, jak powstrzymać wielebnego przed dociekaniem prawdy na temat jej sekretnego narzeczeństwa z Woolfem? Czas mijał, a on nie pojawiał się, by upomnieć się o dziedzictwo. Ani o narzeczoną. Kto powstrzyma wikarego przed odkryciem kłamstwa, kiedy Oliver lub Klaudia wspomną o jej małżeństwie z Gilesem? Westchnęła. Nie było na te pytania łatwej odpowiedzi. Musi jednak ją znaleźć, postanowiła wszak zapewnić biednej Marcie chrześcijański pogrzeb, a sama odzyskać wolność.

Co jednak się stanie, jeśli ciotka i wuj, zaniepokojeni perspektywą powrotu Woolfa, zaczną nastawać na natychmiastowe zawarcie małżeństwa? Było to całkiem realne zagrożenie. Wiedziała, że musi coś wymyślić, by go uniknąć. Choć została się w punkcie wyjścia, pod całkowitą kontrolą wujostwa.

Wymyśli coś, kiedy tylko kłopoty się skończą. Nie ma zamiaru tkwić w Kingsford haftując robótki i pozwolić, by ciotka i wuj spętali ją w małżeńskimi okowami.

Życie Taryn przypominało wrzący czajnik, gotowy wybuchnąć.

Wystraszony Woolf obudził się z przekleństwem na ustach.

- Taryn, do diabła, daj mi spokój! - Jakież to zamysł szatański pozwolił jej nawiedzać go w snach? Po latach przełykania zniewag, brania cięgów za małą czarownicę, musi jeszcze znosić to> by zakłócała mu sen? Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było śnić o Taryn niczym gołowąs.

Powinien był zlekceważyć ostrzeżenia Elżbiety o kłopotach Taryn. Jeśli Elżbieta chciała być naprawdę pożyteczna, powinna była uprzedzić o zbójach na drogach.

Odrzucił kołdrę i wstał akurat w chwili, gdy ktoś mocno walił w drzwi pokoju. Chrypiący szept Japończyka przenikał drewno ścian.

- Woolfesan!

- Asada, do diaska! - Wkładając szlafrok szedł w stronę. skąd dochodził głos. - Dlaczego walisz w moje drzwi? - Przekręcił klucz i otworzył.

Zaniepokojone oczy Asady prześlizgnęły się najpierw po Woolfie, potem omiotły wnętrze. Nie bacząc na pretensje przyjaciela, Asada skinął zadowolony i powiedział formalnie.

- *Ohayo goazi masu.*

Woolfe oparł się o futrynę i potrząsnął głową.

- Dzień dobry i tobie, Asada, chociaż byłby o wiele lepszy, gdybyś pozwolił mi się wyspać.

Asada uniósł brwi.

- Nie spałeś, Woolfesan. Ty wrzeszczałeś.

- Miałem sen.

- Ach, tak...

Woolf jęknął. Sen był dla Asady tym, czym dla Anglika soczysty befsztyk. Woolf nie miał zamiaru wysłuchiwać analiz przypadkowych błędzeń swojego przemęczonego umysłu, powiedział więc zdecydowanie.

- Spotkamy się za kilka minut w jadalni. - Słyszac w odpowiedzi chichot, wzruszył ramionami i zatrzasnął drzwi.

Poranne słońce, w pół drogi do zenitu, przywitało dwóch mężczyzn wychodzących z zajazdu, Z drugiej strony dziedzińca pokiwał do nich señor Esteban. Zsiadł z białego ogiera i oddał wodze chłopca stajennemu.

- Moje gratulacje dla waszego kucharza - powiedział Woolf, gdy gospodarz zbliżył się do nich. - Dziwię się, że ktokolwiek w ogóle chce wracać stąd do domu.

Señor Esteban uśmiechnął się.

- Nie da się ukryć, lordzie Kingsford. ze poprzedniego lata gości mieliśmy aż po krokwie.

- Gratuluję serdecznie, señor Esteban, Czymże przyciągasz pan klientelę?

- Jesteśmy tu bardzo światowi. Wasza elita, naśladowac rodzinę królewską, pragnie spędzać wakacje na plaży. Stąd nie jest daleko do kąpielisk księcia regenta w Brighton, co jest dla nas zaletą.

- Na dodatek znajdujecie się w dogodnej odległości od Londynu - zauważył Woolf.

Diabelnie mądry, pomyślał. Señor Esteban ma tu w perspektywie istną kopalnię złota. Każdego roku jego dochody będą się powiększać. Zastanowił się.

- Byłem zdziwiony znajdując zajazd na terenie posiadłości Kingsford, señor Esteban. - W przyjemnej dotąd wymianie zdań jego słowa zabrzmiały jak zgrzyt, niszcząc pogodny

nastrój; odbiły się falą ciszy.

- Czy Ryszard nigdy o tym nie wspominał? - zapytał w końcu Esteban. - Kupiłem kraniec cypla i drugie tyle na prawo, do doliny i drogi publicznej. Skończyliśmy budowę Heritage pełne dwa lata temu.

Ryszard sprzedał ziemię? Było gorzej, niż się spodziewał. Uniósł w zdziwieniu brew, ale reszta twarzy pozostała nie zmieniona.

- Mój wuj, Ryszard, odszedł, gdy byłem z dola od Kingsford: a przed śmiercią: Geoffreya spędziłem z nim zaledwie kilka wieczorów. Nie omawialiśmy transakcji finansowych w Kingsford. Jestem pewien, że gdy mój pełnomocnik w sprawach interesów skontaktuje się z doradcą Kingsfordu, wszystko się wyjaśni.

Señor Esteban obrzucił go zaciekawionym spojrzeniem, ale uprzejmie nie kontynuował tematu. Klasnął w dłonie i ruszył w stronę morza. Poszli więc za nim, a wtedy zwrócił się do Asady:

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem ciekaw, jak to się stało, że podróżujecie razem. Bo też, zważywszy na japońskie zamiłowanie do izolacji od reszty świata, jak doszło do tego, że nie tylko opuścił pan kraj, ale mówi też znakomicie po angielsku?

Woolf rozluźnił się, zainteresowany odpowiedzią Asady, który rzadko rozwodził się przed kimkolwiek na temat swojego pochodzenia. Asada, rzecz jasna, przebadał jut Estebana i jego odpowiedź powinna być na miarę wyciągniętych wniosków.

- Najpierw udałem się na wyspę Hachijo...

- Hachijo - jima! - wykrzyknął Esteban z błyskiem w oku.

- Zna pan wyspę banitów, señor Esteban?

- Który kapitan pływający po morzach Orientu o niej nie słyszał?

Asada kontynuował z uśmiechem:

- Mój ojciec był wpływową osobistością w stolicy, człowiekiem, który przysporzył sobie wielu wrogów. Ci zaś wymusili na szogunie, by skazał go na banicję dokładnie wtedy, kiedy wiosenne prądy mogły zanieść więzienny statek na wyspę.

- Cała wasza rodzina została wygnana?

- Nie, jedynie ojciec. Towarzyszyłem mu jako narzędzie niepisanego prawa, mówiącego, że jeśli syn więźnia wysokiej rangi pójdzie za ojcem, odda ojcu należną synowską cześć, a wyrok może zostać zmniejszony do piętnastu lub dwudziestu lat. - Asada uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Poszedłem z własnej woli, ale zaręczam honorem, że od samego początku nakłaniałem ojca do ucieczki. Ojciec upierał się, że ucieczka okryje nasz ród jeszcze większym wstydem; dodatkowo nas przy tym narażając. Tymczasem

niebezpieczeństwo śmierci z powodu „choroby jedwabnej nitki”, honorowego acz skrytobójczego sposobu likwidowania szlchetnych samurajów, wisiało nad nami nieustannie.

Oczy Asady pociemniały; były to bolesne wspomnienia. Woolf zdziwił się, gdy mimo to opowiadał dalej.

- Trzymano nas na Miyake - jima sześć miesięcy, co było konieczne, gdy oczekuje się na zmianę wiatrów i prądów. Zaufani strażnicy ogołocili nas za wszystkiego, a potem znaleźli nam zatrudnienie, by móc okradać nas nadal z tego, co zarabialiśmy. Wielu przymierało głodem, co czekałoby i nas, gdybym nie nauczył się poruszać nocami, szybko i cicho.

- Ile miał pan lat? - Esteban był zafascynowany, podobnie jak Woolf, gdy po raz pierwszy słuchał tej opowieści.

- Dwanaście, kiedy nas wygnano, a piętnaście, kiedy nasi wrogowie nasłali na nas skrytobójców. Poszukiwałem tej nocy żywności. Kiedy wróciłem do domu, ojciec już nie żył. a jego mordercy czekali na mnie. Na szczęście ojciec nauczył mnie umiejętności samurajów, walki z użyciem broni, a także gołą ręką. sztuki, która rozwijała się latami w czasach, gdy samurajom zakazano noszenia mieczy. Dostawałem kradzioną żywność i odzież w zamian za uczenie tego innych. Chciałem chronić ojca. tymczasem zabrakło mnie w chwili, gdy byłem mu najbardziej potrzebny.

Umilkł. Odczekali chwile w ciszy czcząc pamięć jego rodzica.

- Zabiłem jednego z morderców, lecz drugi uciekł, bez wątpienia po to, żeby wezwać pomoc. Pośpieszyłem do domu przyjaciela, rybaka skazanego na banicję za to, że kontaktował się z Amerykanami, którzy wyratowali go podczas sztormu. Już wcześniej planowaliśmy wspólną ucieczkę. Teraz czas wydał się po temu jak najbardziej właściwy. Zamierzaliśmy dostać się na Kura Siwo. Czarny Prąd, niosąc na północny wschód, mija Japonię i skręca w dół wzdłuż północno - zachodnich wybrzeży Ameryki. - Zaśmiał się szeroko. - To nie my się uratowaliśmy, tylko tajfun zniósł nas poniżej Morzu Japońskiego, gdzie napotkaliśmy amerykański statek handlowy pod duńską flagą.

- Duńską? - zdziwił się Esteban.

- Tak. zamiast tracić cenne statki, ścigane przez wrogie brytyjskie okręty, duńska Kompania Wschodnio - Indyjska czarterowała statki amerykańskie do handlu z Nagasaki.

- Mielicie szczęście, że was uratowano.

Asada zawahał się.

- Przepęniała nas wdzięczność za ratunek, señor Esteban. ale przepęniał nas smutek, ponieważ byliśmy tak blisko domu, a wiedzieliśmy, że możemy żeglować tylko w kierunku przeciwnym. - Pochylił nisko głowę i dodał: - I tak kończy się moja opowieść.

- A pan, lordzie Kingsford? Geoffrey powiedział mi tylko tyle, że wyruszył pan w świat w poszukiwaniu fortuny.

Woolf wzruszył ramionami.

- Przy ekscytującym opowiadaniu Asady moja historia jest mało ciekawa.

- Pozwól, że my to osądzimy, młody człowieku - stwierdził pogodnie Esteban.

- Zatem dobrze - odrzekł Woolf. - Urodziłem się, oczywiście, tutaj. Mój ojciec był drugim synem. Opuściłem dom, zaokrętowałem się na „Rowen”, statek handlowy płynący do Indii, i pożeglowałem Tamizą w szeroki świat.

- Czy chłopcu wychowanemu w Kingsford takie życie nie wydawało się za trudne?

Woolf omal nie wybuchnął śmiechem na wspomnienie dzieciństwa.

- Byłem chłopcem wytrzymałym i radziłem sobie bez większych trudności.

- Co na to rodzina? Nie chcieli pana zatrzymać?

- Wuj Ryszard i kuzyn Geoffrey rezydowali w Londynie. Nie interesowaliśmy się wzajemnie naszym losem.

Esteban zmarszył brwi - Biorąc zdawkową odpowiedź Woolfa za ucięcie tematu, zaczął mówić o czym innym.

- Jak pan poznał Asade?

- Proszę pozwolić - wtrącił Asada z lekkim skinieniem i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Woolfesa uratował moje nędzne życie na przystani w Kalkucie, gdzie zostałem osaczony przez złodziei. Była ich cała chmara. Woolfesa, widząc, w jakich znalazłem się tarapatach, wkroczył do akcji wrzeszcząc i okładając opryszków pięściami.

Oczy Estebana rozjaśniły się; popatrzył z sympatią na Woolfa, który zeszywniał - wiedział, że na tym nie koniec historii.

- Rozpierzchli się powiedział Asada - bez wątpienia przerażeni tyleż krzykiem i furią, co pięściami młodego dzikusa o walecznym, nieokiełznanym sercu.

Esteban uśmiechnął się, a Woolf, zamiast zawlec Asadę do najbliższego urwiska i zrzucić go w dół, przybrał dobrotliwy wyraz twarzy.

Asada spoważniał, jak bard, który dochodząc do najważniejszej sceny, chce wstrząsnąć słuchaczem.

- Odtąd spędzałem czas na udzielaniu Woolfesa lekcji prawdziwego rzemiosła rycerskiego. Przeżyliśmy razem wiele ciekawych przygód.

- A teraz - przerwał zawstydzony Woolf - zanim mój przyjaciel doda do swojej bajki następny ozdobnik, proszę wybaczyć, że przypomnę, iż mamy przed sobą pracowity dzień. Gdyby był pan łaskaw wybaczyć nam...

Señor Esteban skłonił się lekko. Wyraźnie rozbawiony jego zmieszaniem.

- Moja ciekawość oznacza, iż zabieram panom ich cenny czas.

Woolf patrzył w ślad za nim, gdy odchodził.

- Co o nim myślisz, Asada? Przyjaciel czy wróg?

- Niejednego mogłaby uśpić jego uprzejmość, a także wygody zajazdu.

- Na pewno - zgodził się Woolf. Odwrócił się w stronę doliny.

Asada podążył za jego spojrzeniem. Wiatr smagał ich twarze, rozwiewał włosy Woolfa w radosnym powitaniu - Japończyk odezwał się pierwszy:

- Leniwi gospodarze.

- Tak - przytaknął Woolf.

Zaniedbana ziemia tonęła w smutku. Pozapadane dachy chat dzierżawców, budynki we wsi całkowicie niszczały. Czyste niegdyś ujście rzeki, teraz zarosnięte, sprawiało, że nurt rozlewał się po polach. Nie było widać porządku, czystości pól. Już dawno przestano się starać, by łąki nie zarosły chwastami i krzakami. W powietrzu unosiła się woń zgnilizny, nieuchwytniej nieobecności właścicieli, którzy do niczego się nie przykładali.

Zamyślił się, kiedy wznoszące się słońce oświetliło okna pięknego Dworu Kingsford, budowli, która zdawała się być nietknięta przez czas. Pociągająca mieszanina stylów: georgiańskiego, Tudorów, Domańskiego. z oddali majestatyczna. Jakże często bolał nad tym, chciał dostać ten dom, tę niepowtarzalną, kombinację kamienia i szkła, miejsce, które jego przodkowie t pewnością chcieliby widzieć zadbane i kwitnące. Jednak Ryszard, a po nim Geoffrey, zapuścili je bez najmniejszych wyrzutów sumienia, a on zrobi jeszcze gorzej, bo najprawdopodobniej je sprzeda. Co za szaleństwo opętało krew Burnhamów. by przedkładać światowe przyjemności nad odpowiedzialność za rodzinę i Kingsford?

- Już zapomniałem, jak wspaniały jest Dwór.

- Kochasz ten dom - zauważył Asada, popadając w zadumę.

Twarz Woolfa nie zdradzała niczego.

- Nie, nienawidzę go. Jednak jako dziecko przysięgałem sobie, w swojej niewiedzy, że dostanę go dla siebie. Teraz jednak go sprzedam, oczywiście bez żalu..

- Sprzedasz Kingsford! - jęknął Asada. - Mówiłem ci, Woolfesan, musisz stanąć na swojej ziemi jako jej pan.

- Asada czuje ogromną niechęć na myśl o zaszcyciu się w Kingsford. Opuszcze to miejsce bez wahania, by wieść własne życie.

Asada zamilkł. Woolf wiedział, że obmyśla następne podejście. Rozbawiony oczekiwał kolejnego uderzenia. Nadeszło z nieoczekiwanej strony.

- Czy we Dworze mieszka Taryn?

- Nie. Geoffrey powiedział mi, że Oliver i Klaudia zbudowali w pobliżu wsi nowy dom. Za jej pieniądze, rzecz jasna.

- I już nic jej nie zostało?

Woolf ryknął śmiechem.

- To niemożliwe, Asada. Jej ojciec miał rękę do inwestowania: kopalnie, statki, rozmaite przedsięwzięcia handlowe. Lekcewał wszystkie krytyki ludzi równych sobie i osobiście zaangażował się w interesy. Taryn jest wielką dziedziczką.

- Dlaczego więc wychodzi za pomiot tych dwojga, skoro jest tak bogata?

Woolf patrzył w dal, szukając Wzrokiem Wierzbówki, nowego domu Taryn. W końcu odnalazł nowy dach, potem imponujący budynek w stylu króla Jerzego, otoczony wierzbami, które dodawały wdzięku symetrycznej budowli.

- Wyjdzie za pomiot Olivera i Klaudii, ponieważ tak wybrała. Określiła swoje zamiary całkiem jasno wtedy, kiedy widziałem ją ostatni raz - powiedział próbując ukryć drżenie głosu.

- Co znaczy jej imię, Taryn?

- Angielskie imiona niekoniecznie coś znaczą. Biorą się czasem z kaprysu.

- Ale czy jej imię coś znaczy?

- Tak - odrzekł Woolf szczerząc zęby. - Lecz nie to, co myślisz. Ojciec nadaj jej imię od rzeki Tarenig w Walii, przecinającej obszary od dawna słynące z kopalń. Miał niemal wieszczą zdolność przewidywania, gdzie można zarobić pieniądze. Kiedy odbywał podróż poślubną w tamte strony, zakupił w okolicy ziemię, mówiąc, że pewnego dnia przyniesie ona fortunę.

Widząc zainteresowanie Asady, zachichotał, puentując historyjkę.

- Matka Taryn była jednak zdania, że imię nazbyt przypomina tarantulę. Skrócił je zatem i zmienił wymowę. Była to bardzo interesująca para, jak powiadaj mój ojciec. Kłócili się ciągle, ale kochali.

- Wspaniale imię - powiedział usatysfakcjonowany Asada. - Nadane przez przewidującego ojca.

Woolf jęknął, żałując, że opowiedział tę historię. Asada milczał, a po chwili kroczył już grzbietem wzgórza. Woolf niespokojnie obserwował przyjaciela. Kroczący Asada to Asada na krawędzi tyrady. A to zwykle oznaczało kłopoty, jako że nawiedzony człowiek bywa uparty.

Japończyk zawrócił i uklonił się. Tylko nie to, jęknął w duchu Anglik, co on znowu

knuje? Agresywny entuzjazm irytował, zanim Adsada zdążył otworzyć usta.

- To bardzo proste, Woolfesan. Nie masz pieniędzy...

- Nie jestem bez grosza - uniósł się Woolf i dodał chłodno: - Dostałem nagrodę rządową za pomoc w schwytaniu zdrajcy. Mam własne inwestycje...

- Ba. Pieniądze się ciebie nie trzymają. Od czasu, gdy ulokowałeś kapitał w statkach, co może się nigdy nie zwrócić, żyjemy jak żebracy. Zawsze mówiłem... och, nie wspominajmy, co sędzę o twojej obsesji dorobienia się fortuny.

- Dobrze - rzucił Woolf szybko, patrząc w kierunku Dworu. - Chodźmy obejrzeć ten stos kamieni.

Asada spojrział na Woolfa krzyknął:

- Masz inteligencję żyrafy, Woolfesan. Gapisz się jak głupiec ponad wierzchołki drzew, gdy rozwiązanie leży pod stopami. Gdyby nie to twoje nędzne szczęście, które nie opuszczało cię przez lata, nigdy nie wróciłbyś do domu.

Woolf musiał przyznać, że Japończyk go zaciekał. Czekał. Widząc jego zainteresowanie, Asada skinął głową i znowu się uklonił, by tym dosadniej obwieścić nowinę.

- To proste, Woolfesan. To ty musisz poślubić dziedziczkę. Ten okręt nie odpłynie.

Schodzili w dół wietrzna drogą prowadzącą w dolinę. Asada próbował ubarwić swoją myśl.

- Ona jest idealna.

Woolf nie był pewien, czy „ona” odnosi się do Taryn, czy do wyobraźni Japończyka, ale nie miało to znaczenia większego, niż ziarnko piasku pomiędzy zębami. Asada, nie dając się prosić, zmierzał do konkluzji.

- Przeszukałeś na tej ziemi wszelkie niecywilizowane miejsca w poszukiwaniu ojca.

- Nie szukałem go.

- To ty tak mówisz. Zgromadziłeś fortunę, która jak głupiec wydałeś na statki... - Zatrzymał się i spojrzał krzywo na rozmówcę. - Czy twoi krewni wydali wszystkie pieniądze z majątku?

Zirytowany tym, że dyskusja dotyka nieprzyjemnego tematu, Woolf warknął:

- Podejrzewam, że Geoffrey zostawił nieco alkoholu w piwniczce i spory pakiet skryptów dłużnych po przyjaciółach, był bowiem nazbyt miłosierny, by je wykupić.

Asada przytaknął, chwając godziwe zachowanie kuzyna.

- Oczywiście, kazałem je wszystkie zebrać - dodał Woolf, nie mogąc się powstrzymać. Japończyk, wznosił ręce w górę.

- Jeśli twój kuzyn zdecydował, żeby tego nie robić. Woolfesan, musisz uszanować jego wolę. Tak podle postępowanie przyniesie ci nieszczęście.

- Dżentelmen płaci długi karciane, zanim wezwie swojego krawca, Asada. Nie należy znieważać tych ludzi - powiedział, po czym wrócił do poprzedniego tematu: - A ożenek z dziedziczką przyniesie mi szczęście?

Asada skwapliwie zaniechał niefortunnych połajanek; pokiwał głową.

- *Hai!* Tak! Jak powiedziałem nie ma potrzeby, byś ciągle się tułał. Istnieją ważne powody, dla których powinienes zakorzenie swoje wielkie stopy w ziemi przodków.

- Na tym. pustkowiu? Nie mam zamiaru tutaj żyć.

- Oczywiście, że masz. Czyż wróżka nie przepowiedziała, że tutaj znajdziesz swoje szczęście?

- Teraz się z nią zgadzasz, bo odpowiada to twoim planom.

- To oczywiste, jej wizja była wyraźna. Bardzo niezwykła jak na... - Asada umilkł, widząc, że zbliża się do nich skrzypiąca fura. Odwróciło to jego uwagę od tyrady na temat

kobiet Woźnica, całkowicie ignorując Woolfa. zapatrzony w orientalne rysy Asady, ominął ich szerokim łukiem. Japończyk zaśmiał się. Podobała mu się reakcja Anglików na widok obcych.

U podnóża wzgórza droga rozwidła się. Na prawo prowadziła do chałup stojących wzdłuż zrytej głębokimi koleinami drogi, na lewo do Dworu. Tę drogę chwasty zarastały od poboczy aż po środek. Woolf skręcił w lewo:

- Najpierw pójdziemy do Kingsford.

Szli między drzewami. Asada milczał, za co przyjaciel był mu wdzięczny. Weszli na dróżkę prowadzącą do chaty, którą w ciągu ostatnich lat spędzonych w Kingsford nazywał domem. Zauważył, że przyroda nie zdołała zatrzeć wszystkich jego śladów.

- Dęby - orzekł Asada, kierując się w stronę sporej grupy drzew osłaniających drogę z obu stron.

- W tej okolicy było ich mnóstwo - odrzekł Woolf. - Większość została sprzedana na opał do odlewni. Przetrwało niewiele, odkąd używa się węgla, a odlewnie przeniosły się tam, gdzie jest łatwiej dostępny.

- A te? - wypytywał Asada, wskazując kilkanaście drzew o innej barwie i kształcie.

- Buk i sosna. Dobrze rosną na kredowym podłożu.

Mniej więcej po mili las się przerzedził, a droga zaczęła się pięć po stoku wzgórza, na którym stał Dwór.

Przebiegło obok nich dwu bosych małych chłopców - tocząc przed sobą obręcz z zaciekawieniem oglądali skośnookiego przybysza - Woolf skrzywił się, widząc ich łachmany, lecz przypisał je naturze dzieci przedkładających wygodę ponad elegancję. Nieco dalej jednak zdziwił go widok kobiety, która z wysiłkiem wlokła za sobą lichego wózek wypełniony szmatami. Dobiegał z niego płacz dziecka niewiele głośniejszy od popiskiwania pisklęcia.

Asada z wyrazem dezaprobaty w oczach spojrzał na przyjaciela, który uprzedził jego uwagi.

- Nawet nie mów, o czym myślisz. - Nie chciał czuć się winny kondycji wieśniaków, wolałby tu nie wracać. O ile ciekawiej byłoby zastawiać z Hawksleyem sidła na śmiertelnych wrogów Anglii, niż rozwiązywać zagadki o przydrożnych rabusiach, zastanawiać się nad tajemnicą bogatego hiszpańskiego oberżysty lub troskać o mieszkańców Kingsford, których nie on wpędził w nędzę.

Skręcili z dróżki na podjazd prowadzący do Dworu. Musieli przejść przez most nad stojącym, zarośniętym strumieniem. Czując nieprzyjemny odór, Asada aż jęknął, Woolf pominął to milczeniem. Zasepił się jeszcze bardziej widząc, jak nieco dalej stara kobieta

nabiera spienioną wodę do dzbana. Czarny nastrój Burnhamów, jak Japończyk określał uczucie wściekłości, co jakiś czas kipiał w nim, na pozór bez powodu. Przeklinał ów stan. Nienawidził gwałtowności, czy to w uczuciach, czy podczas walki na śmierć i życie. Fakt, że targały nim emocje, pomimo wysiłków pozostania obojętnym, jeszcze bardziej go przygnębiał.

Kiedy zbliżyli się do długiego podjazdu, wcześniejsze oczarowanie błyszczącymi w słońcu oknami ustąpiło miejsca rzeczywistości brudnych, obskurnych szyb. Zatrzymali się w milczeniu, oglądając budynek. Do oryginalnego, normańskiego korpusu dobudowano skrzydła w stylu Tudorów i georgiański fronton. Wieża, którą jego uparta babka dodała do budowli, wywoływała wrażenie siły i zarazem dziwaczego kaprysu.

Poruszyło go to i jego nedorzeczna złość jeszcze bardziej się wzmogła. Pchnął Asade, by szedł przed nim. Serce zaczęło mu walić. Nie chciał rozmyślać o przyczynach tego stanu rzeczy.

Nie miał pojęcia, dlaczego zetknięcie ze starymi kamieniami wywołało w nim niepokój. Najpewniej uczucie głodu podsunęło mu obraz słodkich bułeczek Kucharci. Ta zażywna kobieta, mistrzyni swojego fachu, przy każdej okazji zapraszała go do kuchni. Nadopiekuńcza względem swych dwu małych córeczek, bez żadnych wahań matkowała też Woolfowi i Taryn. Nikt nie śmiał się jej przeciwstawić. Jej talent zapewniał jej pracę w każdym domu.

Spojrzał w górę. Przesuwał wzrokiem od okna do okna, zastanawiając się, czy obserwują go jej córki. Piętro niżej dojrzał kobietę w czerni wyglądającą przez okno jadalni. Nieruchoma, blada, przyglądała się im z dezaprobatą. Przez głowę przemknęło mu pytanie, kto zacz, ale nie miał czasu na rozważania, ponieważ Asada tupął już idąc po stopniach Dworu, rozzłoszczony brakiem należytej uwagi wobec gości.

- Proszę powitać waszego pana! - ryknął. - Co to za porządk? - Walnął w drzwi parasolem.

Woolf wbiegł za nim i sięgnął spoza jego pleców za klamkę. Pchnął drzwi - hol był pusty. Z drugiego końca nadchodziła kobieta w czerni; była oburzona, jakby ją ktoś znieważył.

Zamiast wejść, Asada skupił na niej uwagę i czekał w progu. Po niezręcznej przerwie zakaszłał, odwrócił się do Woolfa i mruknął:

- Anglicy powiadają, że aby coś zrobić, trzeba zacząć, Woolfesane. Jeżeli nie wkroczysz jak pan, ta parszywa starucha nie spocznie, zanim cię nie wykurzy. - Wszedł przed Woolfem i pokłonił mu się nisko, z szacunkiem.

Mądry diabeł, pomyślał Woolf wchodząc, żeby odegrać swoją rolę. Zdjął płaszcz i oddał go zdziwionej kobiecie.

- Ty jesteś zapewne... - odezwał się.

- Parsons - syknęła. Mogłaby pozować do portretu sekutnicy. Między brwiami tkwiły dwie głębokie zmarszczki; małe zacięte usta wydawały się gotowe do udzielenia impertynenckim przybyszom zjadliwej odpowiedzi.

- Dobrze, Parsons... Kim tu jesteś...?

- Gospodynią! - brzmiała riposta. Kobieta patrzyła to na jednego, to na drugiego. Koścista, przypomina złożony parasol, konstatawał Woolf, przyglądając się, jak baba pracowicie napełnia płuca powietrzem, żeby zrugać tych, co ośmielili się ją lekceważyć.

Woolf z zaciekawieniem oglądał ten proces i w chwili, gdy kobiecina nabrała już dość powietrza, by zacząć, przerwał jej głosem gromkim acz serdecznym:

- Cudownie. Właśnie takiej kobiety mi trzeba. Przyjechaliśmy do Dworu w odwiedziny.

Gospodyni gwałtownie wypuściła powietrze.

- To dom żałoby, sir. Nie ma nikogo z rodziny, kto by mógł zająć się gośćmi. Być może nie było was w kraju - cedziła słowo po słowie pod ciężkim wzrokiem Asady - i nie słyszeliście o odejściu lorda Kingsforda.

Woolf starał się dostrzec w niej jakąkolwiek oznakę smutku po śmierci Geoffreya, powitałby wszak serdecznie każdego, kto by okazał szczerzy żal. Zamiast tego czarne oczka wyrażały jedynie złość i zniecierpliwienie.

- Pani Parsons, ja jestem Woolf Burnham, hrabia Kingsford - oświadczył. - Ten pan zaś, Asada, jest moim towarzyszem.

Spojrzała na niego, nie zważając na badawczy wzrok Japończyka. Kiedy Woolf ponownie zwrócił się do niej, nie było już ściągniętych ust i wyprostowanej sylwetki. Z przerażenia otworzyła szeroko usta. Nie wiedząc, czy może to być prawda. Brakło jej słów. Wstrzymała dech. Coś musiało odebrać tej kobiecie rozum, pomyślał Woolf.

- Przypilnuj jej - powiedział cicho do Asady i poszedł szybko na tył budynku. Podniecony dotarł do drzwi kuchennych. Nacisnął klamkę, otworzył je i stanął na gładkiej, kamiennej posadzce. Były tam dwie kobiety, ale ukochanej Kucharci, pani Dresden, nie było. Jedna z kobiet stała przy ogromnym palenisku, mieszając coś w wielkim czarnym kotle zawieszonym nad ogniem. Druga przy stole na środku pomieszczenia kroił chleb.

- Gdzie jest pani Dresden? - spytał.

Krojąca chleb spojrzała bezmyślnie, a druga, starsza, która mieszała w kotle,

skrzywiła się i w końcu wydukała.

- W Wierzbówce.

- W Wierzbówce? - poruszył bezgłośnie wargami. W domu Olivera i Klaudii? Kucharcia, ów jasny punkcik, dzięki któremu cała wyprawa była w ogóle do zniesienia, opuściła jego Kingsford i teraz pracuje dla... Taryn? Spojrzał z nienawiścią na parę unoszącą się nad kotłem i wciągnął zapach czegoś nieokreślonego.

Nawet jeśli głos rozsądku kazał mu się opanować, uczucia doprowadzały go do szału. Jak śmieli znieć do siebie Kucharcię i zabrać ją od niego? Kobiety przyglądały mu się uważnie, ze strachem w oczach. Asada ostrzegał go przed niebezpieczeństwami ulegania gwałtownym nastrojom, nauczył! się więc kontrolować tak, że nawet jego .mistrz okazywał niejaki zadowolenie.

Tymczasem Kingsford w ciągu jednego dnia zamieniło go w histeryczną kobietę. Kiedy odezwał się znowu, tylko Asada mógłby wyczuć, że łagodnie brzmiące słowa wskazywały na ledwie powściąganą furję.

- Proszę mi wybaczyć zakłócenie spokoju.

Wrócił do frontowego holu.

- Przygotuj pokoje dla mnie i dla Asady, a potem każ przygotować kuchennym jakiś jadalny posiłek albo Wezwij kogoś, kto potrafi to zrobić. Ponadto - uprzedził opory gospodyni - mój gość i ja nie mamy zamiaru mieszkać w nie wysprzątanym pokojach. Nie będziemy też spać w zimnej, wilgotnej pościeli i lodowatych sypialniach. Proszę dopilnować, aby rozpalono ogień i żeby pościel była czysta i ogrzana. Tymczasem Asada i ja odwiedzimy wieś.

Pani Parsons pocierała dłonie i sapała wzburzona:

- Aleja... pokojówki już tutaj nie ma...

Woolf podszedł bliżej do roztrzęsionej kobiety; powiedział miękko:

- A ty już tak obrosłaś w piórka?

Zamrugła oczami i potrząsnęła głową. Woolf ściszył głos i dodał:

- No dobrze, przypomnisz sobie zatem pracę pokojówki Wykonaj ja jak należy, żeby nam było wygodnie. Tymczasem oprowadź nas, chcę obejrzeć Dwór.

Odwrócił się i skierował w stronę piwnic. Japończyk szedł tuż za nim - Zapalił latarnię wiszącą za drzwiami do podziemi - zdziwiła go panująca tam schludność. Schodząc w dół, cały czas słyszał człapanie gospodyni, próbował otwierać drzwi do pomieszczeń gospodarczych, lecz były pozamykane.

- Pani Parsons - powiedział - proszę użyć swoich kluczy.

- Mnie nie wolno - jęknęła. - Pan Chastain nie pozwala nikomu schodzić na dół.

- Kobieto, daj mi natychmiast swoje klucze. - Wyciągnął rękę i pani Parsons niechętnie położyła mu je na dłoni. Po kilku próbach znalazł właściwy i otworzył drzwi. W powietrzu unosił się zapach brandy. Woolf gwizdnął zaskoczony. Asada i gospodyni także zajrzeli do środka.

- Francuska - powiedział cicho Japończyk.

Woolf zamknął pomieszczenie i ruszył do następnych. Dwoje ciekawskich trzymało się tuż za nim. Odkryli istną skarbnicę importowanych dóbr.

- Pan Chastain prowadzi w Kingsford całkiem interesujący interes - stwierdził Asada.

- Wart małą fortunę - dodał z uśmiechem Woolf.

Wrócili po schodach na górę. Pani Parsons wyciągnęła rękę po klucze, ale hrabia potrząsnął głową i włożył je do kieszeni płaszcza. Rozdrażniona kobieta ruszyła w stronę kuchni. Woolf pobiegł na górę wspianymi mahoniowymi schodami, które pięły się wzdłuż krzywizny wieży. Asada ruszył za nim; jego mocne nogi sprawiły, że wkrótce dorównał kroku susom przyjaciela.

Kiedy dotarli do szczytu. Woolf spojrzął w dół. Na pusty teraz hol. Nie wiedzieć gdzie zniknęły okryte jedwabiem fotele i lśniące stoły, które zapamiętał z młodości. Nie wiadomo też, gdzie podziały się wazon z kwiatami, które pojawiały się zawsze podczas nieczęstych wypraw rodziny do domu. Na kurzu pokrywającym intarsjowane podłogi widoczne były szlaki wydeptane od drzwi do drzwi, niby ścieżki no zboczu, gdzie lubił bawić się jako dziecko.

Okrągły pokój, wielki i wspianymi, ten sarn, który zbudowali przodkowie Woolfa, wydawał się opuszczony. Przypomniawszy starą damę, której już nikt nie odwiedza. Potężne schody zdawały się zapraszać, jakby ich dumny duch trwał czekając, by przyjąć raz jeszcze kroki rodziny, dzieci i gości.

Ponad ich głowami zawodził wiatr. Zimny przeciąg owiewał stopy. Woolfe niecierpliwie zabębnił palcami w poręcz - pusta wieża odpowiedziała mu echem. Dawno zapomniane ziarno goryczy znowu, z uporem, kiełkowało w jego opustoszałym sercu.

- Boże, jak ja nienawidzę tego miejsca.

Woolf, krzywiąc się, pchnął skrzypiącą furtkę do zbudowanej z kamienia wikarówki. Zgrzytała także przy zamykaniu. Stary wikary widocznie ogłuchł i zarzucił swoje ukochane prace w ogrodzie, konstatawał, powoli idąc ścieżką przez ogród. Gdzie się podziały rabatki z bylin, zapach róż? Różane krzewy rosły nadal, jak to róże, wbrew zaniedbaniu, lecz białawe

listki skręcały się, marniały i spadały, podczas gdy wysokie, jałowe chwasty rozkwitały, a były tylko lichymi krewnymi pięknie zadbanych roślin, jakie pamiętał.

Pomny przerażenia, które poczuł w kuchni, gdy nie znalazł tam Kucharci, przygotowywał się na rozczarowanie, jakie mogło mu przynieść spotkanie ze starszym i znacznie mniej energicznym wikarym. Zapukał i drzwi otwarły się.

- Tak? - Stał w nich gburowaty, ociężały służący i patrzył na przybysza z obojętną miną. Po kilku sekundach Woolf poczuł za sobą bezszelestne kroki Asady. Odwrócił wzrok od niewzruszonego służącego do nadchodzącego przyjaciela i zdecydował, że można pozwolić mu walczyć. Niech Asada będzie tym, który wyzwoli go z trującej wściekłości. Nie musiał nic mówić.

Japończyk wsparł się na parasolu, odchylił nieco do tyłu głowę i władczo zaanonsował:

- Lord Kingsford do wikarego.

Służący uniósł brwi i lustrował Woolfa z niedowierzaniem, po czym znowu skierował uwagę na stojącego przed nim przybysza z orientu. Przez butną twarz przemknął nieznacznym grymas niechęci. Podziałało jak czerwona płachta na byka.

Asada postąpił krok do przodu i szturchnął mężczyznę w pierś ruchem pozornie niewinnym, lecz jego wyćwiczona dłoń zadać mogła w ten sposób ogromny ból, a jak duży, to zależało od jego humoru. Służący zachwiał się w tył, złapał się za koszulę; osaczony w przedsiionku, próbował złapać oddech.

- Gdzie możemy znaleźć wikarego?

Służący, dusząc się i kaszląc, wskazał drzwi obok. Asada otworzył je jednym ruchem.

Woolf podszedł bliżej i zajrzał do saloniku. Żałował, że wikarego ominęła chwila rozrywki - staruszek miał poczucie humoru. Pytanie tylko, dlaczego zatrudnił takiego człowieka.

Zamiast ukochanego kapłana zobaczył otyłego obcego mężczyznę, który dźwigał się, próbując wstać. Wytrzeszczył na Woolfa oczy i z pogardą przesuwając wzrokiem po jego wysokiej sylwetce. Woolf wiedział, że jego płaszcz nie wyszedł spod igły Westona, a długie buty ani chwili nie spędziły u Hobya. lecz szybkie oględziny tego człowieka i widoczne lekceważenie, z jakim patrzył na przybyłych, wzburzyły w nim krew. Choć był znieważany z większym mistrzostwem, jego dzienny zapas cierpliwości już dawno się wyczerpał.

Przybrawszy wyniosłą pozę podpatrzoną niegdyś u wspaniale dumnego Beau Brummela, wycedził:

- Woolf Burnham, do usług, sir. Przybyłem w odwiedzinę do wielbnego. Czy go zastałem?

Mężczyzna pobrał i zamruął. Okulary zaczęły mu się zsuwać na koniec nosa; podtrzymał je drżącą dłonią, uklonił się i powiedział niepewnie:

- Woolf Burnham, lord Kingsford?

Woolf z satysfakcją skinął głową.

- Właśnie tak.

- Świetnie! - Wikary doszedł do siebie, a jego głos nabrał mocy. - Właśnie mówiliśmy o panu.

Woolfe zmarszczył brwi.

- A wikary? Czekacie na jego powrót?

- Nie, nie. - Pulchny mężczyzna uśmiechnął się szeroko. - Ja jestem wikarym. Wielbny Sefton, do usług. Poprzedni wikary przeszedł na emeryturę i zamieszkał u swojej rodziny. Osoba, z którą o panu rozmawiałem, to pańska narzeczona, panna Taryn Burnham.

Nie dał poznać po sobie zaskoczenia. Zmusił się do spokoju, ćwiczono go całe lata, i przywołał lekki uśmiech w kącikach ust; ową sztuczką łudził rozmówcę, że łączy ich jakaś wspólna tajemnica. Duchowny zareagował prawidłowo: nie posiadał się z radości, że coś ich łączy.

Woolf przypomniał sobie o dobrych manierach i poprosił Asadę do środka.

- Wielebny Sefton, mój towarzysz, Kyoichi Asada.

Zaszokowany wikary otworzył oczy tak szeroko, że Woolf bał się, iż wyjdą z orbit. W końcu jednak grzeczności stało się zadość i pleban odwzajemnił milczące skinienie Asady, który pozostał przy drzwiach; zwyczaj wpajany samurajom, od czasu gdy zabroniono im noszenia broni, Woolf zastanawiał się, co by pomyślał gospodarz, gdyby wiedział, że jego egzotyczny gość nawet w takiej chwili lustruje pokój w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby służyć za oręż: świecznik, lampa, marmurowe jajko na kominku lub ciężka księga, choć w jego rękach zwykły wachlarz czy parasol były wystarczająco groźne.

Wikary uśmiechnął się do niego niepewnie i z ulgą odwrócił się do Woolfa, który nader ostrożnie wypowiadał cisnące mu się na usta pytanie:

- Kiedy wielebny i moja... narzeczona... rozmawialiście ze sobą?

Wikary znieruchomiał.

- Nie wspominała o naszej pogawędce?

Wystarczyłoby słowo, żeby rozbić plan Taryn. bez względu na to, jaki był: Woolf odrzekł wymijająco, lekkim na pozór tonem:

- Dopiero co wróciłem. Pomyślałem, że po drodze odwiedzę pańskiego poprzednika.

Przez chwilę zdawało się, że pleban coś podejrzewa, jednakże rozpogodził się i pokiwał wesoło głową.

- Byłbym zapomniał. Chcieliście utrzymać zaręczyny w sekrecie, prawda? Wiadomo, wszystkim się zdaje, że ma wyjść za Gileasa, pan zaś pragnął, by dorosła na tyle, żeby zdecydować, czy pan jej odpowiada, czy nie. - Zataił dłonie radośnie, jednak coś go zastanowiło. - A więc jeszcze się nie spotkaliście? Jeszcze nie dała panu odpowiedzi?

Woolf uśmiechnął się tajemniczo, miał przynajmniej taką intencję. W co ona się wpakowała? Przepowiednia Elżbiety ponownie nie dawała mu spokoju. Widzę kłopoty... musisz się spieszyć. Jeśli chcesz, będzie twoją przyszłością. Do rzeczywistości przywołało go skrzypienie furtki. Wzdrygnął się. Żadnych nowych gości, pomyślał. Nie chciał wścibskich

uwag ani podpytywania. Miał za mało informacji.

Wikary, widząc jego reakcję na hałas, wzruszył tłustymi ramionami i powiedział:

- Ta furtka szczeka jak pies.

Zastukała kołatka. Czekali, aż służący zobaczy, kto to. W holu nie było słychać żadnych kroków. Po chwili wikary podszedł do drzwi bawialni, wyjrzał na zewnątrz, po czym przeprosił gości i wyszedł, pewnie dlatego, że sam musiał zastąpić sługę.

Wymieniwszy z Asadą rozbawione spojrzenia, Woolf podszedł do okna wychodzącego na tyły budynku. Potrzebował chwili, by zebrać myśli. Czy zamierzał spotkać się z Taryn? Nie, zaprzeczył, ale zaraz usłyszał kpiący rechot jakby ożył w nim uczuciowy idiota droczący się z rozsądkiem. Prawdopodobnie ten sam, który śnił sen o Taryn, a teraz pcha mu przed nos jej kłopoty.

Rozsądek - kompan, który doglądał jego finansów, dbał o przyszłość - nie dawał za wygraną; powiadał, że każda sytuacja, bez względu na to, jak dziwaczna, ma logiczne rozwiązanie. Nawet przepowiednie Elżbiety. Głęboko ufał jej zdolnościom, a i ona traktowała swoje wizje jako ostrzeżenia i znajdowała sposób na zapobieżenie niepomyślnym sytuacjom. Powinien uczynić tak samo.

Jego plany zapewne ulegną poprawkom, skoro Taryn wplątała go w swoje problemy. Wiedział, że nie może się powstrzymać - niby dlaczego? - przed odkryciem jej zamysłów. Nie pozwoli jej bez walki stać się częścią jego przyszłości. Zbyt wiele męczarni kosztowało go wyrzucenie jej z pamięci.

W holu rozległy się kroki dwu osób i ucichły przed drzwiami bawialni. Podniecony głos wikarego wyrwał go z zamyślenia.

- Lordzie Kingsford, proszę sobie wyobrazić, co za zbieg okoliczności. Jest tu panna Burnham!

Serce zabiło mu gwałtownie; cicho zaklął. Potrzebował sekundy, żeby się uspokoić, przybrać maskę lekkiego zainteresowania, po czym odwrócił się.

Utkwił wzrok w Taryn, wszystko inne pogrążyło się w cieniu. Po diabła, pomyślał, jest problem.

Taryn otworzyła usta, gardło miała ściśnięte. Owładnęło ją nieoczekiwane wzruszenie. Przygryzła wargi, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Próbowała przyjrzeć się Woolfowi, jednak w pokoju panował półmrok, a ona szła do wikarówki w jasnym, porannym słońcu i bez kapelusza. Pewnie dlatego widziała tylko ciemną postać na tle okna.

Spuściła wzrok; zaczęła szukać czegoś w torebce. Myśli wirowały jak oszalałe. Jakże on może stać sobie tak niedbale, kiedy jej głowaomal nie eksploduje?

Ogarnęła ją panika. Stała bezradna, całkowicie niezdolna do skupienia się. Upuściła torebkę na stół, chcąc zyskać na czasie. Stopniowo wzruszenie wyciszyło się, odeszło, pozostała jedna tylko myśl: Woolf wrócił do domu.

Powoli podniosła wzrok. Widząc długie, muskularne nogi, doszła do wniosku, że urósł jeszcze o jakieś dwadzieścia centymetrów. Barczyste plecy, wskazujące na wielką siłę, opinał płaszcz. Woolf sprawiał jednak wrażenie chudego, bez grama zbędnego tłuszczu.

Zmusiła się, by spojrzeć na jego twarz. Dobry Boże, jest gorzej, niż sobie wyobrażała.

Woolf obserwował ją uważnie. Delikatną, jasną skórę twarzy oblał rumieniec aż po nasadę gęstych, splecionych w warkocz włosów. Przypominał sobie każdy rys, każdy dołeczek w tej buzi i nagle zyskał pewność, że nigdy nie zobaczy nic bardziej pociągającego, choćby okrążył ziemię dwa razy. Nie dlatego, żeby była prawdziwą pięknoscią. Lekko skośne lawendowe oczy, kości policzkowe za bardzo wystające i twarz zbyt pociągła jak na ideał. Kiedy zaś przygryzła dolną wargę, co zwykle robiła, gdy chciała się powstrzymać od płaczu, zobaczył ów nieco krzywy ząb, nadający górnej wardze pełnię, za którą tak szalał. Pragnął jej każdą kroplą pulsującej w jego żyłach krwi.

Obserwował, jak szarpała się z torebką, wyplątując nadgarstek z rzemyków, by położyć ją na stole. Widział, jak oddychała głęboko, powoli stając się taką, jaką chciała by ją ujrzał - a może chodziło jej o wikarego? Opanowana, dobrze wychowana, nieprzystępna. Wyprostowała plecy podniosła głowę, taksując go, jakby był zwierzęciem, nad którego niosła głowę, taksując go, jakby był zwierzęciem, nad którego kupnem się zastanawia. Owa czelność wywołała na jego twarzy uśmiech.

Cudowna, pomyślał, wspaniała chwila. Zapragnął skraść jej całusa i ona o tym wiedziała; była wyciekła, lecz w obecności duchownego nie śmiała protestowany.

Dotknęła językiem krzywego zęba, po raz pierwszy od lat przypominając sobie, jak straszna była dla niej w dzieciństwie ta niedoskonałość. Nie wiedziała, dlaczego przypomniała sobie o tym teraz, przyglądając się twarzy Woolfa - przecież nie zależało jej na tym, by mu się podobać. Ani trochę, zapewniała samą siebie, czując jednak przygnębiający żal, że sprawdziły się wieloletnie najgorsze obawy. Wrócił i zobaczył, że czekała na niego. Sądząc po jego rozbawionej minie, tak to wyglądało. Więc jednak był dla niej czymś więcej, niż sobie wmawiała.

Mroczna twarz. Kruczoczarne włosy spływające na kołnierz. Ciemnoniebieskie oczy skryte za gęstymi rzęsami, jakie nie przystoją mężczyźnie. Ciemna, brązowa niczym dębowe drewno cudowna twarz, która wiele lat temu tak ją pociągała. Nie był piękny, lecz groźnie atrakcyjny.

Jego widok przypominał jej o czarnym wilku, którego widziała niegdyś zamkniętego w klatce i obwożonego po okolicy - Silny, przerażający, miotał się tam i sam w zamknięciu. Kiedy się poruszał, jego czarne futro falowało jak długie, proste włosy Woolfa, a jego wzrok zdawał się przenikać jej najskrytsze myśli. Pragnęła wypuścić wilka na wolność, choć wiedziała, że jeśli otworzy klatkę, zwierz najpewniej ją zagryzie. Ogorzała twarz Woolfa zdradzała dalekie podróże i była świadectwem Życia, którego Taryn nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Pociągał ją, chociaż czuła, że gdyby otworzyła przed nim serce, mógłby ją skrzywdzić. Przeklinała go, ale nie umiała się wyzwolić spod jego hipnotyzującego uroku. Uśmiechał się, dając do zrozumienia, że zdaje sobie z tego sprawę. Kim jest, że tak go bawi własna przewaga?

Daremnie próbowała odwrócić wzrok.

Niezręczna cisza przeciągała się i pleban chrząknął. Pierwszy poruszył się Woolf. Przeszedłszy przez pokój, stanął między duchownym a Taryn. Nadal patrząc jej w oczy, podniósł do ciepłych ust jej dłoń i całował długo, po czym uniósł głowę i spoglądał uważnie w jej twarz, hipnotyzował ją wzrokiem.

Chciał ją pocałować, widać to było w jego oczach, czuło się to w rozpalonym powietrzu drgającym pomiędzy nimi. Oczywiście, musi go powstrzymać, W obecności wikarego byłoby to nieprzyzwoitością, kpiną z tego, co jest między nimi naprawdę.

Uwalniając dłoń, uniosła głowę. Zajrzała w jego ciemne oczy, zapatrzona w jej usta z wyraźnym pożądaniem. Nie chcąc pocałunku, mówiła sobie w duchu, niepomna na to, ile razy przeklinała własną słabość, kiedy aż do bólu pragnęła dotyku jego ust, choćby jeszcze tylko raz.

Wstrzymała oddech. Ujął jej brodę, kciukiem dotknął dolnej wargi. Jego dłoń była ciepła i sucha; szorstkim opuszką gładził usta. Uśmiechnęła się w zachwycie. Pozwoliła, by pieszczotliwie muskał jej wargi, dotknął kciukiem nieszczęsnego zęba.

Postanowiła się zemścić. Igrała nią, wprawia w zachwyt za pomocą wytrawnych sztuczek, a potem okazuje lekceważenie, wytykając niedoskonałość. Ścisnęła mocniej zęby, przygryzając jego palec. Wyrwał rękę i przeszył ją wzrokiem.

Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem.

Pierwszy doszedł do siebie Woolf Wyszczrzył zęby i zamruczał cicho:

- Czy to znaczy, że już po naszym narzeczeństwie?

Zacisnęła powieki; zachwiała się, O nie! Wikary powiedział mu o ich rzekomych zaręczynach, a więc on tylko się nią bawił. Co robiła? Dlaczego zapomniała o celu swojej wizyty? Wszystko się pogmatwało. Co robi wikary? Stoi i przygląda się im.

Ktoś otoczył ją ramieniem. Zaskoczona otworzyła oczy, Woolf stał obok i uspokajał ją.

- Najdroższa, po co tu przysłaś? Jechałem właśnie do ciebie - powiedział głośno ze względu na wikarego.

Po tym wszystkim miał zamiar jej pomóc? Uśmiechnęła się słabo.

- Przyszłam, żeby dopilnować pogrzebu na kościelnym cmentarzu. - Uspokoiła się. - Dzisiaj, tak jak ustaliliśmy, wielbny Seftonie.

Wikary wydawał się zdziwiony. Spojrzał na beznamiętną twarz Woolfa. Zirytował się. Rzecz jasna, przybycie lorda redukowało pozycję Taryn do statusu zwyczajnej kobiety. Niepokój Taryn przerodził się niemal w histerię. Zadrżała na myśl o tym, że wikary może zmienić zamiary. Serce Kucharci mogło nie wytrzymać ciosu, gdyby Marta została pogrzebana na rozstaju dróg.

Woolf czuł drżenie jej ramion i zdziwił się, że go to poruszyło. Opiekuńczy jak dawniej, poczuł wściekłość na myśl, że Taryn czegoś się boi. Zastanawiał się, kto zawinił. Co ją tak wyprowadziło z równowagi? Co mówiła? Pogrzeb? Co się stało? Aha, wielbny jest zirytowany.

Taryn odezwała się niepewnie i Woolf zaczął baczniej przyglądać się wikaremu:

- Ależ, wielbny Seftonie, wczoraj wieczorem zgodził się pan pochować ją na cmentarzu. Chcemy tylko cichej modlitwy w obecności rodziny i na tym koniec.

Wikary obrzucił ją protekcyjnym spojrzeniem i zwrócił się do Woolfa, żeby porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną:

- Co pan na to, lordzie Kingsford?

Woolf poczuł, że Taryn oparła się mocniej o niego, drżąc silniej niż przed chwilą. Chciał złapać plebana za gardło za to, że wywołuje w niej taki lęk. lecz prośba wydawała się całkiem naturalna.

- Dlaczego w ogóle kwestionuje pan prośbę panny Buninom, wielbny Seftonie? Ja nie widzę żadnego problemu.

Wikary wahał się, patrzył podejrzliwie to na nią, to na niego. Naraz jego twarz złagodniała; uśmiechnął się bezmyślnie.

- Stałe zapominam, że spotkaliście się dopiero tutaj. - Miało się wrażenie, że cieszyło

go to. Dodał serdecznie: - Nie zważając na dobre obyczaje zapomniałem poprosić, żebyście usiedli. Zadzwońię po herbatę, usiądźmy, pogawędzimy. - Pociągnął za sznur dzwonka i wskazał im miejsca wokół wygasłego kominka. Woolf wątpił, czy doczekają się herbaty.

Taryn odzyskała po części panowanie nad sobą. Uczyniła ruch, jakby chciała odsunąć się od Woolfa, ale on delikatnie Pokierował ją w stronę wygodnej kanapy i usiadł obok. Znowu otoczył ją ramieniem, lecz pochyliła się lekko do przodu i wyprostowała plecy.

Zsunął rękę na oparcie i zaczął przyglądać się, jak skrywa strach i staje się układna młodą damą składająca towarzyską Wizytę. Głowa uniesiona, dłonie złożone na kolanach, stopy razem, skryte pod sukienką. Gdyby nie czuł jej drzenia, owo Przedstawienie byłoby go zwiodło całkowicie. Nawet uśmiech, jakim obdarzyła wikarego, był parodią, tego, jak pewna siebie kobieta może spoglądać na kogoś, kogo darzy prawdziwą sympatią.

- Wielebny Seftonie. wystarczy, że powie pan słowo i będziemy mieli to już za sobą. Nie ma potrzeby, by człowiek o pańskiej pozycji zaprzętał sobie głowę tak prostą sprawą.

Wikary połknął pochlebstwo, tak jak chciała, ale uparcie zwracał się do Woolfa:

- Ponieważ jeszcze nie mieliście okazji porozmawiać, nie wie pan o szczegółach związanych ze śmiercią tej dziewczyny. Znalazła ją służba pod oknami. Oczywiście wyskoczyła.

- Albo wypadła, wielebny Seftonie - wtrąciła Taryn ostro.

- Hmmm - uspokajał ją i dalej mówił do Woolfa. - Wypytałem panią Parsons...

- Wypadła z okna we Dworze? - przerwał Woolf.

- Owszem, Jak nadmienilem, wypytałem panią Parsons, która wyjaśniła, że pokojówkę, dziewczkę nazbyt nerwową, bez wątpienia ogarnął wstyd, że została zganiona i przestraszyła się, ponieważ tego dnia wymówiono jej pracę.

Wikary wsparł jedną rękę na poręczy solidnego fotela i umościł w nim swoje cielsko. Patrzył to na Woolfa, to na Taryn. Jego pewność siebie zdawała się nieco wymuszona, mówił jednak dalej:

- Mając takie informacje nie mogę zezwolić na pochówek w poświęconej ziemi. - Ulokował się wygodniej, zadowolony z przemowy.

Woolf patrzył badawczo no Taryn. Jej twarz, z przyklepionym uśmiechem, nie mówiła mu nic. ale dziewczyna znowu zaczęła drzeć. Duchowny był niezmiernie z siebie zadowolony, podczas gdy Taryn udawała spokój, choć* trzęsła się jak osika.

Jego następne pytanie było niebezpiecznie łagodne:

- Kiedy znaleziono tę małą?

- Służba z Dworu przyniosła ją do Wierzbówki następnego ranka. Odwiedziłem

właśnie pannę Burnham. Jak co tydzień omawialiśmy wersety Pisma, gdy doszedł nas krzyk z kuchni. Byłem świadkiem całej sceny.

- Dziewczyna zmarła wieczorem i została znaleziona następnego ranka?

- Na to wygląda, lordzie Kingsford.

- Zatem Parsons wiedziała, że pokojówka odebrała sobie życie, lecz spokojnie położyła się do łóżka, zostawiając dziewczynę na całą noc na zewnątrz?

Wikary zakrzusił się : po chwili wybełkotał:

- Tak nie mogło być, sir. Nikt nie byłby tak beztroski...

- Zatem, wielebny, nie ma pan wrażenia, że coś tu się nie zgadza? Parsons widziała, jak dziewczyna wyskakuje przez okno. czy nie?

- No więc... nie mówiła, by ktokolwiek widział to zdarzenie.

- Stanowczo jednak twierdzi, ii zna powody.

Wikary, najwidoczniej broniąc się, argumentował:

- Pani Parsons jest bogobojną, prawą kobietą...

Taryn miała w dłoniach sukienkę. Patrząc na nią, na gwałtownie pulsującą tętnicę na jej szyi, Woolf doszedł do wniosku, że nadal nie zna całej historii.

- Taryn, dlaczego tak się interesujesz losem pokojówki?

Nie spojrzała w jego stronę; jej oczy wypełniły się łzami.

- To Marta. Woolf. Młodsza córka Kucharci.

- Marta? Mała Marta? O mój Boże!

Podniósł się powoli i stanął naprzeciw wikarego.

- Wielebny Seftonie, natychmiast zarządz przygotowania do pogrzebu. Na cmentarzu kościelnym. Panna Burnhama pójdzie teraz po panią Dresden i drugą córkę, Alicję. Wróci tu za... - spojrzał wyczekująco na Taryn.

- Dwie godziny - odrzekła. Po jej twarzy popłynęły łzy. Wstała, żeby opuścić pokój, lecz na widok Asady przystanęła.

- Chciałbym przedstawić ci mojego towarzysza, Kyoichi Asadę - powiedział Woolf miękka widząc, że Japończyk głupio się uśmiecha. - Panna Taryn Burnham.

Asada skłonił się nisko, jak przed księżniczką. Skinęła uprzejmie i wyszła.

- Załatwione powiedział Woolf. - A pan, wielebny Seftonie? Oczekuję, że usłyszę tylko słowa pocieszenia oraz pochwałę biednej Marty. W przeciwnym razie nie masz czego tu szukać.

Dźwięk otwieranych drzwi wybił Taryn z drzemki. Położyła się tylko na chwilę, lecz trudy dwu ostatnich dni mocno dały jej się we znaki. Spod na wpół uniesionych powiek ujrzała wślizgującą się do sypialni Alicję. Kochana, pomyślała Taryn. Podniosła się szybko, lecz zaszumiało jej w głowie.

Z wikarówki do domu biegła, chcąc czym prędzej powiedzieć Kucharci i Alicji o tym, że wikary zgodził się na pochówek. Miała nadzieję, że w ten sposób nastąpi cichy finał tragedii. Załatwiła także tradycyjny wełniany całun i podwodę dla przewiezienia biednej Marty. Orszak żałobny rozrósł się, dołączyła do nich obca służba, która także chciała oddać cześć zmarłej. Nie miała serca odmówić.

Kiedy dotarli na cmentarz, Woolf już tam był. Ku jej konsternacji oczekiwał plebana wraz z tłumem z całej okolicy. Kucharcia szlochała nie mogąc uwierzyć, że tak wiele osób okazuje żal po jej ukochanej córce. Taryn czuła się jak ludożerca z bajki - wstydziła się teraz własnego egoizmu, pragnienia, by wszystko odbyło się dyskretnie.

Powinna zejść na dół, pomyślała uśmiechając się do Alicji. Przyjaciele Kucharci pewnie zaczynają się jut schodzić, by złożyć kondolencje. Znoszą jedzenie na stypę. Ona tymczasem padła na łóżko nie zdejmując nawet peleryny.

- Jest już ktoś?

Alicja skinęła głową.

- Tak... więcej, niż się spodziewaliśmy.

- To miłe - odrzekła Taryn, jeszcze nieprzytomna. Wstała, żeby zdjąć czarną pelerynę. Zerknęła w lustro i jęknęła.

- Alicjo, spójrz, wyglądam okropnie.

Obciągnęła na sobie czarną suknię, którą podkraśla ciotce. Ciotka miała figurę pełniejszą i suknia wyglądała na niej stylowo. Z Taryn zwisała bezkształtnie, podkreślając jej chudość. Alicja spojrzała w lustro zza pleców Taryn, marszcząc zuchwały nosek.

- Mówią, że lustro mówi prawdę, panno Taryn, ale skoro zwykle nie przejmujesz się swoim wyglądem, skąd naraz tyle zamieszania? - Wzięła rzuconą na fotel pelerynę i zaniósła do garderoby. Od pachnących, cedrowych desek odbiło się echem pytanie: - Czyżby nowy lord Kingsford miał z tym coś wspólnego?

Taryn wyszczotkowała włosy, przewiązała je wstążką. Przez głowę przelatowały wspomnienia: szorstki kciuk Woolfa na wargach, jego kpiące oczy...

- Oczywiście, że nie. Mam nadzieję, że go więcej nie zobaczę, że wrócił do Dworu albo w ogóle wyjechał.

- W takim razie - odrzekła Alicja zatraskując drzwi garderoby - nie musisz się martwić tym, co masz na sobie.

Taryn przełknęła kąśliwą uwagę. Była śmiertelnie znużona i zirytowana, choć z pewnością nie bez kozery ogarniała ją chęć. by krzyknąć na całe Kingsford, zbić wikarego, Woolfa, każdego, kto by się nawinął, tych zwłaszcza, co ośmieliliby się ją zatrzymać, zachwyceni powrotem Woolfa do domu.

„Wspaniały człowiek”, „wie. co robi” - słyszała wokół. Oczy mieszkańców tak pojaśniały, że z trudem ich poznawała. Nadzieja. Drogi Boże, myślała, nie pozwól im łudzić się, że Burnham zostanie i ich ocali. Nie, on przecież już ich wszystkich zostawił. Już uciekł, nawet Londyn był dla niego za blisko. Przepadł na lata.

Drażnił ją wyraz twarzy Alicji. Nawet ona wiązała z jego przybyciem więcej nadziei, niż na to zasługiwał. Westchnęła i poleciała łagodnie:

- Zejdź na dół do matki, ja zaraz dołączę.

- To ona wysłała mnie po panienkę. Chodźmy razem. - Objęła ją i cicho dodała: - Dzięki za to, co uczyniłaś dla Marty. Nie wiem, jak przekonałaś wikarego, ale mateczka wreszcie się uspokoiła, po raz pierwszy od tamtej chwili. Serce przestało ją boleć, czuje się o wiele lepiej. - Cofnęła się nieco. - Tak wiele osób przyszło z wyrazami żalu po naszej Marcie. Mnie samej serce rośnie. - Pociągnęła Taryn w stronę drzwi.

Taryn ociągała się spoglądając jeszcze w lustro. Wyglądała mizernie. Gnębiło ją to, gdy schodziły po schodach. Życzyła sobie w duchu, by Woolf nie zaprzeczył wszem i wobec kłamstwom o zaręczynach, tym bardziej, że mógł przecież nie tylko wyjawić prawdę, ale i uczynić sobie z niej zabawę. Wolałaby, żeby nie wyrósł na tak atrakcyjnego mężczyznę, żeby w miejsce blaknących wspomnień o samotnym, hardym chłopcu nie pojawił się wspaniały, jakże męski młody człowiek.

W połowie schodów wyjrzała przez okno na podeście i stanęła zdumiona.

Otoczony żywopłotem i wierzbami trawnik pełen był gości. Wyniesiono z domu krzesła, małe stoliki w pobliżu wielkiego stołu kuchennego zastawiono jedzeniem i napitkiem. Dzieci siedziały na pledach albo bawiły się w chowanego w krzakach. Taryn po omacku odnalazła rękaw Alicji.

- Co tam się dzieje?

- Przyjaciele mateczki poszli najpierw do kuchni, a przyjaciele ciotki panienki zgromadzili się przed wejściem frontowym. Wszyscy chcieli ujrzeć jego lordowską mość. -

Alicja wzruszyła ramionami. - Mateczka nie chciała wyjść z kuchni, państwo zapełniło salon, to i lord Kingsford wyprowadził wszystkich na zewnątrz. - Dziewczyna zaśmiała się. – To mądry człowiek, na wszystko zaraz znajdzie sposób, przekonasz się sama.

- Rzeczywiście, mądry - mruknęła Taryn. - Pędź do matki, a ja zobaczę, co trzeba jeszcze zrobić. - Dała jej łokciem kuksańca, a sama pośpieszyła na zewnątrz, by odszukać Woolfa. Siedział obok Kucharci, oboje w fotelach z salonu. Sądząc z twarzy Kucharci, Woolf oczarował ją podobnie jak wikarego, który siedział nieopodal, wielce rozradowany.

Woolf wstał i wyszedł jej naprzeciw. Zanim zdążyła zaprotestować, ujął ją za łokieć i pociągnął w stronę Kucharci, uśmiechając się porozumiewawczo. Nie cierpiała tego uśmiechu.

Kucharcia popatrzyła niespokojnie.

- Panno Taryn, nie powinniśmy... - Pokazała dłonią tłum. - O, proszę. Próbowałam wyperswadować to chłopcu – tu wskazała na Woolfa - ale nie usłuchał mnie i zaprosił wszystkich na zewnątrz.

Taryn popatrzyła na przybyłych, sama nieco zaniepokojona, lecz nie doszukała się niczego niestosownego. Służba z innych domów mieszała się swobodnie z kupcami ze wsi, między nimi widać było paru przyjaciół Olivera i Klaudii. Chociaż zgromadzenia publiczne dopuszczały takie sytuacje, Klaudia nie będzie zachwycona, że w jej własnym domu doszło do podobnych poufałości.

- Nonsens - zapewnił Woolf, uważnie obserwując Taryn. - Przede wszystkim to dom Taryn, może zapraszać, kogo zechce.

Taryn pochyliła się i ucałowała Kucharcię w policzek.

- Nie bądź niemądra, Kucharciu. Wszyscy wiedzą, że jesteś sercem i duszą tego domu. - I przybierając zwykły, pogodny ton, dodała:

- Nie pogniewasz się, jeśli: skradnę na chwilę lorda Kingsforda? - Nie czekając na odpowiedź, pociągnęła go za ramię. - Pozwól, przedstawię cię sąsiadom. - Uległ jej i wydawał się zadowolony kłaniając się mijanym ludziom, a w niej pojawiła się wątpliwa nadzieja na to, że będzie w stanie nim pokierować.

- Woolf, proszę, żebyś nie wspominał nikomu o naszych rzekomych zaręczynach - powiedziała cicho.

- Ani mi to w głowie - odrzekł gładko, jakby od niechcienia i obojętnie, co ją uspokoiło, lecz zarazem zirytowało. Głęboko zaczerpnęła powietrza, wierząc, że jakoś uda im się z tym uporać.

Skierowała uwagę z powrotem na gości. Na widok przekraczającej furtkę ogrodu pani

Johns, dzierzawiającej na wsi letni dom. i jej dwu córek, Cyntii i Julii, zamarło w niej serce. Miała wrażenie, że śni jej się koszmar. Tuż za nimi szła lady Islington z córką Iris.

Co one tu robią? Żadna nie powinna pojawić się na stypie po prostej pokojówce. Przyjeżdżały często, ale tylko podczas obecności Olivera i Klaudii. Co dziwniejsze, londyński sezon z jego przyjęciami i balami kończył się dopiero w czerwcu, powinny więc bawić teraz w stolicy.

- Lord Kingsford! - Słyszac wylewną serdeczność w głosie lady Islington Taryn domyśliła się, a tego dnia nie była zbyt bystra, prawdziwego powodu ich przybycia. Powodu, dla którego zrezygnowały z atrakcji londyńskiego sezonu i zjechały do Kingsford: trzy śliczne córki, wszystkie na wydaniu.

- Spotkaliśmy się na balu u lady Crowper, gdzie pan się tak bardzo wyróżniał. Pamięta pan? - Głos lady Islington drżał z podniecenia. Wyciągnęła przed siebie dłoń w rękawiczkę.

Enigmatyczne, zamknięte spojrzenie Woolfa, tak bardzo dla niego charakterystyczne, nie zmieniło się, gdy obserwował wysoką, chudą kobietę. Pochylił się jednak nad jej dłoń i powiedział:

- Nigdy nie zapominam pięknych kobiet, droga pani, jednakże mój umysł nie radzi sobie z nazwiskami. Musi mnie pani wyratować.

Szczwany lis, pomyślała Taryn. Kobieta uśmiechnęła się sztucznie i wypchnęła na przód córkę.

- Jestem lady Islington. a to moja córka, Iris.

Iris, ubrana w zimne błękity, popatrzyła wprost na Woolfa, po czym niewinnie spuściła wzrok. On zaś pochylił się nad zmysłowymi paluszkami, a jego mroczne spojrzenie prześlizgnęło się z uznaniem po całej postaci. Taryn stłumiła w sobie dziwne uczucie, które odrobinę przypominało zazdrość.

Po tej prezentacji wystąpiła ze swymi córkami pani Johns. Ukłoniły się przed nim dwie oszałamiające brunetki, zalęknione poważną twarzą hrabiego. Julia zwróciła się do Taryn i otwartym przyjacielskim uśmiechem:

- Cudownie znowu cię widzieć, Taryn, jak się miewasz?

Kiedy wymieniały dygnięcia, Taryn zauważyła, że Iris z za wachlarza szepce coś do zaszokowanej Cyntii, która spojrzała na Taryn z politowaniem, lecz ukłoniła się jej uprzejmie.

- Myślałam o tobie, Taryn, kilka dni temu, tańcząc z Gilesem - powiedziała Cyntia z nieszczerym uśmiechem:

- To miło z twojej strony. - Taryn zmusiła się do uśmiechu, j wiedząc z doświadczenia, że Iris jeszcze z nią nie skończyła.

Iris przysunęła się bliżej do Woolfa, jakby chcąc zaznaczyć wspólny front.

- Masz najpewniej więcej zaufania do swojego kawalera, niż ja bym miała. Widuję go wszędzie. Choćby pewnego wieczora w Vauxhall... - Przerwała, jakby żałowała, że powiedziała za dużo. Spojrzała niewinnie na Woolfa. - Taryn to taka słodka dziewczyna. Nie zaprzęta sobie głowy jego niegodziwościami, ani nie traci humoru. Będzie dla Gilesa idealną żoną.

Taryn zignorowała Iris, ale nie mogła powstrzymać się przed spojrzeniem na Woolfa. Ciekawiła ją jego reakcja. Ciemne spojrzenie zmieniło się. Stało się jeszcze bardziej mroczne. Pomyślała, że mógł mieć za złe Iris tę uszczypliwość, on jednak spoglądał na nią tak, jakby to ona była odpowiedzialna za zachowanie kuzyna. Niech tam, miała na głowie inne zmartwienia, niż przejmowanie się, co Iris i Woolf myślą o nim... czy o niej.

Nie zwracając już uwagi na Taryn, Iris i Cyntia zagarnęły Woolfa dla siebie, głośno rozwodząc się na temat nowinek towarzyskich, co wystarczyło, by miejscowi zostawili ich w spokoju. Obie matki uśmiechały się promiennie, gdy Woolf grzecznie odpowiadał na ich pytania wyszukаныmi komplementami.

Julia obrzuciła siostrę spojrzeniem pełnym wyrzutu.

- Przykro mi z powodu śmierci Marty, Taryn. Wiem, że wychowałyście się razem. Jej odejście musiało sprawić ci ból - powiedziała. Owa uprzejmość, okoliczności żałobne, okrucieństwo Iris tylko podsyciły żal, który i tak od wczoraj przepełniał każdą chwilę.

Dotknęła ramienia Julii. Drugą rękę wysunęła z dłoni Woolfa.

- Chodź, przywitasz się z Kucharcią i Alicją. - Poprowadziła przyjaciółkę za sobą pozostawiając Woolfa na zer panieńskich umizgów i rozbudzonych matczynych nadziei.

- Przykro mi z powodu Iris, Taryn - bąknęła Julia. - Nienawidzę, jak otwiera usta, zawsze zagłusza Cyntię. Dlatego nie lubię żadnej z nich.

- To miło z jej strony, że pojawiła się tu dzisiaj, nie uważasz? - mruknęła Taryn, a Julia o mało nie parsknęła śmiechem.

Woolf patrzył za Taryn zirytowany. Kiedy poprosiła go o chwilę na osobności, miał zamiar poprowadzić rozmowę rak, by dociec tajemnicy otaczającej ich rzekome narzeczeństwo. Jeśli wymuszenie na wikarym przyzwoitego pochówku dla Marty stanowiło cały jej „kłopot”, a on ruszył jej na ratunek bez potrzeby, zmyje Elżbiecie głowę za jej egzaltację.

Popatrzył na Asadę - stał przy wejściu do ogrodu nieruchomo, niby wartownik. Bez względu na to, jak mocno Woolf go przekonywał, trzymał się konsekwentnie tego zwyczaju i nigdy nie odstępował. Pełen ekspresji wzrok Japończyka besztwał Woolfa na odległość, przez całą

szerokość trawnika i powiadał mu, że zamiast złota zbiera szlakę, skoro zaniedbuje Dziedziczkę, statek, który nie odpłynie, tracąc czas z rozszechbiotanymi pannami. Asada był tak zły, że Woolf odzyskał humor. Uśmiechnął się kącikiem ust.

Iris natychmiast wzięła ów znak za dobra monetę i przystąpiła do szturmu. Niby przypadkiem jej wydatne piersi otarły się o jego ramię. Nie był mnichem i ruch dziewczyny wywołał instynktowną reakcję. Nie był też głupcem, nie dostrzegającym zastawianych na niego sideł. Nie pojawił się tu w poszukiwaniu żony podobnej Iris, której cnota, jeśli w ogóle taki towar istniał jeszcze na małżeńskim targowisku, nie dotrwa, był tego pewien, do chwili poczęcia obowiązkowego spadkobiercy. Nadszedł czas, by pozbyć się nachalnych kobiet.

- Miłe panie, może zechcecie przekazać wyrazy żalu osieroconej rodzinie? - powiedział, rzucając okiem to na dziewczęta, to na ich matki.

Damy spojrzały na tłum zebrany wokół Kucharci i jedna przez drugą zaczęły pokornie przeproszać, po czym zostawiły go wreszcie samego, najwyraźniej gotując się do odwrotu. Woolf zasepił się. Pani Johns nawoływała Julię tak głośno; że córka zaczerwieniła się mocno, ale posłusznie zjawiała się przy boku matki. Cała grupa opuściła ogród, niby dziesięcionogie monstrum unikające pospólstwa. Udało się to bez trudu, ponieważ tłum obojętnie rozstępował się przed nimi, torując im drogę do wyjścia.

- Lordzie Kingsford - powiedział ktoś szorstko, Odwrócił się i ujrzał skromnie ubranego mężczyznę z wianuszkami siwych włosów okalających łysą czaszkę, z wielkimi uszami i o niebieskich oczach, które z trudem skrywały chciwość.

- Jestem Rolf, Eugeniusz Rolf, właściciel Latającej Gęsi, a to mój syn, George, prosto z młyna.

- Miło mi widzieć was znowu - odrzekł Woolf, niejasno przypominając sobie oberżystę. Lata najwyraźniej mu nie służyły, zauważył, a jeszcze mniej synowi, którego mączna cera i rachityczna sylwetka potwierdzały opowieści o kiepskim zdrowiu młynarzy. Rolf chrząknął niespokojnie, z trudem dobierając słowa.

- My wszyscy tutaj wypatrujemy pana powrotu do domu, - Zanim wypowiedział to zdanie, dookoła nich zdążył zebrać się spory tłum. - Jeśli szuka pan silnego młodzieńca do pracy w Kingsford, kiedy jest pan już w domu, oto George, jest wasz. Zna się na kontaktach, na cieszności, zajmie się czym będzie trzeba.

George wpatrywał się w Woolfa z jawną urazą.

Woolf przyjrzał mu się uważniej, ponieważ przypominał mu jakoś własną młodość; wstyd z powodu zależności od innych i dumę nie pozwalającą mu tak jak ojciec zabiegać o własne dobro.

Nie chcąc pozostać w tyle, inny mężczyzna począł go szarpać za rękaw. Woolf czuł, że strach, jaki dostrzegął wokół siebie w twarzach wielu mężczyzn, wzbudza w nim złość. Zdusił ją w zarodku i skupił uwagę na nowym petencie, starszym jegomościu w połatany i wyblakłym odzieniu z samodziału.

- Chcecie, panie, kogoś, kto doprowadzi wszystko do porządku? Potrafię pracować dwadzieścia godzin na dobę, albo i więcej, kiedy trzeba.

Woolf wyciągnął dłoń..

- John Spaulding, pomocnik mojego ojca. - Zastanowił się, ile też lat może mieć starzec; ręce miał sterane wiekiem, skórę pod brodą obwisłą i cienką. Grzbiet pochylony, ale barczysty, Woolf musiał to przyznać: staruszek był żwawy i mocny.

Do przodu wyrwała się kobieta, odtrącając dłoń stojącego za nią i zatrzymującego ją mężczyzny. Zdesperowana, odważna.

- Nie pamiętacie mnie, mój panie. Pracowałam jako pomocnica w kuchni we Dworze. Jestem Róża, teraz wdowa Simpson. Oto mój brat Tom. - Brat szturchnął ją; trzymał w ręku szklanekę piwa, które chlapnęło na suknię i wyjściowe pantofle. Ten i ów zachichotał, jako że dobrze ubrana kobieta wyglądała dosyć zabawnie. Złość Woolfa znowu nieco wzrosła. Róża spojrzała na niego wybałuszając oczy. Straciła rezon i uspokoiła się.

Przyjrzał się jej zapadniętej, naznaczonej troskami, krostowatej twarzy. Przyrównywał ją w duchu do owych dam, które zaczepiły go, pewne swego, by przedstawić mu córki. Coś takiego wisiało w powietrzu, że miał chęć wydusić całej towarzystwo. Róża skrzywiła się, gdy jej brat wypił resztę piwa i zaczął przeciskać się przez tłum. Podążyła za nim.

- Rózo! - krzyknął Woolf - ja ciebie pamiętam! - Podniosła głowę, odwróciła się. Tymczasem brat chwiejnie przedzierał się dalej. - Czy to nie ty wypiekałaś u nas te pyszne ciasteczka?

Zarumieniła się i potwierdziła skinieniem głowy, ale milczała. Chciał ją zatrzymać, coś jej ofiarować, jednak podobne zachowania były mu obce. Kiedy ukloniła się i odeszła, zaklął bezgłośnie, utwierdzając się w przekonaniu, że nie bardziej niż reszta rodziny nadaje się do władania Kingsford. Decyzja, by sprzedać majątek i wyjechać, była słuszna. Doprawdy, zaklinał się, im wcześniej, tym lepiej.

Taryn obserwowała Woolfa z dogodnego miejsca u boku Kucharci. Kobiety w końcu sobie poszły rzucając mu na odchodnym zaproszenia. Wieśniacy i dzierżawcy, pragnąc zwrócić na siebie uwagę, coś do niego mówili jeden przez drugiego. Czegoś chcieli. Woolf oznaczał nadzieję, tak pewną jak pewne było to, że stał pośród nich, a jego twarz niczego nie

obiecowała. Nienawidził tego? Naśmiewał się z nich, gardził? A może jeszcze gorzej, czarował ich, łudził nadzieją, a potem odejdzie jak niegdyś? Natychmiast musi się dowiedzieć.

Uścisnęła Kucharcię i powoli oddaliła się; weszła pomiędzy gości. Spojrzała odruchowo na stół zastawiony jadłem, by sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Stół obsługiwały kobiety ze wsi, goście napływali falami, napełniali talerze, szkło, dryfowali na powrót do sąsiadów, gawędzili spokojnie. Przesunęła językiem po wyschniętych ustach, mając nadzieję, że zdoła zatrzymać się na szklankę wody. Być może, kiedy wszystko się skończy, weźmie butelkę, jak biedny brat Róży, i zaszyje się gdzieś, by dać odpocząć skołatany nerwom.

Zwolniła kroku, podążając wprost ku Woolfowi. Nie było innej szansy na poufną rozmowę, niż jawne odciążenie go od innych. Nie mogąc się ku niemu precyzyjnie, podniosła głowę, by pochwycić jego spojrzenie. W tej samej chwili stanęły jej przed oczami wszystkie grzechy, które popełniła.

Do Woolfe podszedł rozpromieniony wikary. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, wystraszone serce Taryn zabiło mocniej. Wikary porozumiewawczo tracił łokciem swojego nowego bohatera, lorda Kingsforda: Taryn nie miała wątpliwości, o czym ma zamiar rozmawiać. Spojrzała błagalnie na Woolfa, lecz za późno. Pleban ubiegł ją.

- A któż to się do nas przyłącza, lordzie Kingsford, pańska... Nie wierzyła własnym oczom, gdy Woolf błyskawicznie uniósł dłoń i zamknął palce na ramieniu wikarego tak mocno, że kłykcie zbieleły mu w uścisku. Mruknął swemu rozmówcy na ucho kilka słów, ścisnął jeszcze mocniej, po czym puścił.

Wikary zamrugał, jego grdyka poruszyła się niespokojnie, znowu zamrugał. Pot oblał mu twarz, okulary zaczęły zsuwać się z nosa, Woolf przeprosił otaczających go ludzi i odszedł, zanim zdążyli zaprotestować. Ruszył w jej kierunku tak zdecydowanie, że stała jak wryta. Podszedł, chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą nie zwalniając kroku. Bez słowa, bez ceremonii czy prośby o pozwolenie.

Ma szczęście była wysoka, a suknia ciotki na tyle zwiewna, że udało się jej dotrzymać mu kroku bez większego wysiłku. Serce nadal łomotało, lecz już w innym rytmie, ostrzegawczo. Czuła ciepło jego uścisku, które w niejasny sposób kojarzyło się jej z poczuciem czegoś nieuchronnego.

Szli do ogrodu na tyłach domu. Naraz uświadomiła sobie, że nad nowym Woolfem nie ma już władzy. Czy to sen? - pytała siebie w duchu. Oto ktoś obcy uprowadza ją, a reszta przygląda się obojętnie. Zostawiała ich za sobą, pozwalając wieść się przez ogród wśród

starannie poprzycinanych krzewów, kamiennych posagów, potem przez brzozowy zagajnik, ku wzgórzu, gdzie stał Dwór.

Stanął i odwrócił ją do siebie, trzymając za ramiona. Nie miało znaczenia, że obszedł się z nią szorstko. Coś, czego nie potrafiła określić, oładnęło ją całkowicie.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, tak że poczuła gorąco bijące od szerokiej piersi. Ciemne oczy szukały na jej ustach tego samego pocałunku, którego pragnął w wikarówce. Po chwili wsunął palce w jej włosy.

Zamknęła oczy, dreszcz przeszył jej ciało. Nie umiała myśleć o niczym innym, tylko o ciepłe jego warg, siłę zamykających się wokół niej ramion. Odchylił jej głowę, by łatwiej sięgać ust, drugą ręką przesunął po jej plecach, pozostawiając na ciele ogniki rozkoszy, rozpalając skórę aż do bólu.

Woolf... Boże, co on robi? Pragnęła czułego pocałunku, tymczasem jego usta raniły, szukały, żądały i wciąż nie miały dość. Pragnęła zobaczyć go jeszcze choć raz, nie mogąc znieść wspomnienia słodkiego uścisku, jakim obdarzył ją na pożegnanie, tymczasem wiła się w jego ramionach trawiona pożądaniem.

Gdy przestał, próbowała otworzyć oczy, lecz rozlewająca się w całym ciele niemoc zmuszała ją do uległości.

- Taryn - szepnął. Jego gorący oddech wnikał w jej rozchylone wargi. Pocałował ją jeszcze raz, delikatnie. Czowała jego zapach, znajomy i tak drogi.

Z czułością gładził ją po policzku. Twarz miał zatroskaną i mroczną. Odsunął ją od siebie i niszcząc urok minionej chwili, spytał szorstko:

- Taryn, do diabła, jakie właściwie masz kłopoty?

Kłopoty? - szepnęła, czepiając się jedyne słowa, jakie dotarło do jej oszołomionego umysłu. Przed chwilą zastanawiała się, czy on nadal ją kocha, czy wrócił dla mej. Tymczasem teraz, badając wyraz jego twarzy, widziała śledczego, a nie zakochanego mężczyznę. Oczy poważne, bez cienia romantyzmu.

Dlaczego ją pocałował?

Uwolniła dłonie i cofnęła się o krok. Przez jedwab sukni szorstki pień drzewa drapał ją w plecy.

- Jakie kłopoty? - zapytała unikając jego wzroku: wpatrywała się w guziki jego kamizelki.

- Nie wypieraj się, Taryn, szkoda mojego czasu. Znam cię lepiej, niż myślisz.

- Nonsens. Nie znasz mnie już w ogóle - odcięła się.

Uniósł ciemne brwi.

- Jeśli dobrze pamiętam, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, broniłaś się zawzięcie przed Oliverem, Klaudią, Quinnem... i jego batem. Porywczy temperamencik przysporzył ci poważnych zmartwień, wspominam o tym nie bez powodu. Otóż - kontynuował, zanim zdążyła przypomnieć, że potrafiła się wówczas opanować - kiedy opuszczałem Kingsford, byłaś przyrzeczona Gilesowi. Teraz okazuje się, że w jakiś tajemniczy sposób zostałaś moją narzeczoną, co znaczy, że jesteś narzeczoną dwu mężczyzn jednocześnie. Nie sądzę, by w twoim przypadku słowo „kłopoty” brzmiało za mocno.

- Masz na myśli to, co stało się w wikarówce?

- Miły początek - stwierdził oschle.

- Więc dobrze - odetchnęła z ulgą. - To proste. Powiedziałam wikaremu, że jestem twoją narzeczoną, ponieważ chciałam posłużyć się twoim... autorytetem, żeby wymusić na nim przyzwoity pogrzeb Marty.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Za mało, Taryn. Cały dzień zachowujesz się jak spłoszony wróbel. Chciałbym wiedzieć dlaczego.

Milczała, więc naciskał dalej.

- Dlaczego?

- Pozwól mi pomyśleć - powiedziała, cofając się wokół pnia. Skrzywiła się na dźwięk rozrywanego jedwabiu i zaczęła biec. Chciała uciec. Gdyby tylko wiedziała, dlaczego

przyjechał, jakie ma zamiary, gdyby mogła mu zawierzyć i opowiedzieć, w jak trudnej znalazła się sytuacji. Gdyby wiedziała, dlaczego ją pocałował...

- Cierpliwości? - Zaśmiał się, biegnąc za nią grzbietem wzniesienia. - Im więcej jej będziesz miała, tym zgrabniejszą historyjkę wymyślisz.

Zatrzymała się przy kamiennej ławce między dwoma drzewami i opadła na nią.

- Woolf, najpierw zmarł Geoffrey; potem odeszła Marta.

Jestem niespokojna, to chyba zrozumiałe w tej sytuacji.

Pokiwał poważnie głową. Spojrzał na morze i jego rysy złagodniały. Po chwili jakby otrząsnął się ze swym ponurych myśli. Jest taki opanowany, pomyślała, nie okazuje uczuć:

- A twoi... krewni? - skrzywił się wymawiając to słowo. - Gdzie oni są? - zapytał gładząc ją po włosach.

- Moi... krewni - powtórzyła akcentując słowo z podobnym jak on przekazem - są w Londynie. Klaudia i Giles co roku spędzają tam sezon. Oliver pojechał wczoraj, gdy dowiedział się o śmierci Geoffreya.

- Złożył uszanowanie? - zadrwił Woolf. - Nie wątpię, że pojechał raczej zobaczyć, czy nie utonąłem w morzu, bo wtedy ty dziedziczyłabyś Kingsford - powiedział z nienawiścią i ciągnął dalej: - Dlaczego więc i ty nie jesteś w Londynie, żeby trzymać Gilesa z dala od rozrywek Vauxhall? Dlaczego jeszcze nie wyszłaś za mąż? - dodał patrząc na jej palce bez obrączki. - Masz, zdaje się, prawie dwadzieścia jeden lat Nie możesz skłonić go do ożenku?

Zamknęła oczy, W jego słowach pobrzmiwała jeszcze dawna wściekłość. Ostra krawędź ławki, za którą mocno schwyciła, kaleczyła jej palce. On, przypomniała sobie, o wiele bardziej niż ona cierpiał z powodu Klaudii. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Woolf, po co przyjechałeś? Mścić się? - spytała drżącym głosem.

Twarz nabiegła mu krwią.

- Przykro mi, Taryn, nie wypadłem najlepiej.

- Po prostu odpowiedz na moje pytanie - zażądała stanowczo.

- W porządku - odrzekł, równie szorstko. - Przyjechałem, żeby ocenić wartość majątku, sprzedać go, a potem wrócić do swojego życia.

Wstała powoli i oddaliła się nieco, próbując się uspokoić, co nie było łatwe; to suche oświadczenie odjęło jej na chwile mowę. Przypuszczała, że znowu wyjedzie, była na to przygotowana, lecz głośno wypowiedziane słowa podziały na nią jak smagnięcie biczem. Może zareagowała tak gwałtownie, ponieważ przypominała sobie jego poprzednie odejście, bez oglądania się wstecz, bez względu na nią. Zostawił ją całkowicie samą, zdaną na łaskę i niełaskę wujostwa.

Poczuła się jeszcze bardziej opuszczona. Gdzieś w głębi duszy łudziła się dotąd nadzieją, że Woolf wróci i ją ocali. Rojenia głupiej dziewczyny, która nigdy do końca nie uwierzyła, że chłopak już nie wróci. Nie kłamał. Jej Woolf nie powrócił. Na jego miejscu pojawił się cyniczny, bezwzględny łowca przygód.

Nieważne, łajała się w duchu, nie czas na rozpamiętywanie. Cała jej przyszłość chwiała się, powinna więc zdecydować, jak dalece może zaufać temu innemu, szorstkiemu mężczyźnie. Na ile może mu zaufać? Jak on zareaguje?

Jeszcze przed chwilą miała zamiar wyznać, że chce uniknąć małżeństwa z Gilesem, ale teraz nie wydawało jej się to mądre. Bez względu na to, dlaczego wrócił, jedno było jasne: wrócił pełen gniewu i goryczy, szuka zemsty, na niej także. Gdyby wyznała mu, że nie ma zamiaru wyjść za Gilesa, być może dałaby mu do ręki smaczny kąsek. Mógłby wykorzystać tę informację, rzucić ją w twarz ciotce i wujowi, dodając do tego opowieść o ich sekretnym narzeczeństwie. Jej plany ległyby w gruzach.

Tymczasem potrzebowała jego pomocy, żeby wypłatać się z sieci Olivera, który dążył do zagarnięcia jej dziedzictwa. Od tego powinna zacząć.

Odwróciła się do niego i wsparła pod boki.

- W lutym, na pogrzebie wuja Ryszarda, poprosiłam Geoffreya, żeby sprawdził testament mojego ojca. Chciałam poznać swoją sytuację, dowiedzieć się, jakie plany naprawdę miał względem mnie ojciec Geoffrey wspominał ci o tym?

Natychmiast stał się podejrzliwy.

- A więc nie wierzysz, że wujostwo dbają o twoje dobro?

Zignorowała tę uwagę i z miejsca przystąpiła do rzeczy.

- Za kilka tygodni będę pełnoletnia. Chciałabym wiedzieć, co stwierdził Geoffrey. Skoro jesteś wtajemniczony w jego sprawy, możesz przejrzeć jego papiery, a jeśli trzeba, skontaktować się z prawnikiem, poprosić, by podjął działania na moją rzecz.

- Do mnie będziesz miała zaufanie?

- Uzależniasz od tego swoją pomoc?

Wyruszył ramionami.

- Jutro rano wyślę posłańca do Londynu. Czy mogę coś jeszcze zrobić dla ciebie?

Wahała się wzburzona. Co z Kingsford? Może sprzedać je komukolwiek. Może zostawić majątek albo przekazać następnemu zarządcy, który nie zamieszka tu i nie wyciągnie do ludzi pomocnej dłoni.

Musi znaleźć sposób, by go powstrzymać, wpłynąć na zmianę jego zamiarów. Może... może udałoby się jej nakłonić go do zajęcia się Kingsford, ująć go za serce, jeśli jeszcze je

ma. Może uda się rozpalić na nowo młodzieńcze sny o przebudowie Kingsford...

- Woolf, chciałabym odwdziżyć się za twoją łaskę. Pozwól mi służyć ci pomocą. Wszystko tu uległo zmianom na gorsze. Pozwól, żebym cię oprowadziła po twoich dobrach, poznała z ludźmi. Sam mógłbyś się przekonać, jak tu jest.

Uśmiechnęła się jednym z najśliczniej szych uśmiechów. Latami ćwiczone przed lustrem, stanowiły znakomity kamuflaż, gdy musiała skrywać przed Klaudią swe myśli.

- Dzieła temu nie zranisz ich uczuć, unikniesz sytuacji, w których mogłoby wyjść na jaw. że nie pamiętasz imion wieśniaków - wyjaśniła niewinnie.

Woolf śledził jej sprytnie wybiegi, pragnąc dociec, co naprawdę się za nimi kryje. Nie miał zamiaru gnać do Londynu, by odkryć jej tajemnicę; powstrzymał się.

Wystarczył jeden dzień w Kingsford, a już traci rozsądek. kontrole nad uczuciami. Jego cięty język coś między nimi zniszczył. Oczywiście, gdyby nie uwolniła się z jego objęć i nie schroniła za fasadą wyniosłości, z pewnością by się opanował i rozmawiałby inaczej. Odpowiedziała na jego pocałunek, lecz zaraz się wycofała, mówiąc chłodno, że musi pomyśleć; zabawne. Próbował podrażnić się z nią. wykrzesać z niej odrobinę ciepła, ale chowała się w coraz twardszą skorupę.

Kiedy zapytała, po co przyjechał do domu, poczuł się w Kingsford intruzem.

A jednak propozycja oprowadzenia po majątku warta była namysłu. W czasie rozmów z dzierżawcami w ogrodzie czuł się nieswojo nie mogąc przypomnieć sobie nazwisk. Nie chciał przecież sprawiać tym ludziom przykrości.

Uśmiechnął się. Postanowił, że przyjmie ofertę. Spojrzała słodko, ale następne słowa znów go zagniewały.

- Potem możesz wrócić do... swojego życia.

W milczeniu patrzył przed siebie. Miał zamiar tak właśnie postąpić - wycenić majątek i szybko wyjechać, ale nie lubił, gdy go ktoś ponaglał. Boże. słowa tej kobiety, są jak ręka pijanego dentysty, który niefrasobliwie dotyka najboleśniejszych miejsc. Jak ona to robi?

Poza tym, skąd w ogóle biorą się te wszystkie uczucia?

Niewątpliwie z tego samego źródła, co idiotyczny pomysł pocałowania jej. Stara sprawa, z której nie potrafił się otrząsnąć. Nic już do niej nie czuł. poza wielkim pragnieniem. Już to sarno powinno było wygnać go z Kingsford; powinien trzymać się od niej z daleka.

Lecz nie, nie odjeżdżał. Nie mógł też pozwolić, by nim dyrygowała oferując mu pomoc tam. gdzie miała przewagę, czy nęcąc go zmysłowymi ustami. Zostanie w Kingsford, jak długo zechce, dopóki nie rozwikła wszystkich ciemnych zagadek: zmienne niby kolory kameleona zachowanie Taryn nie było ostatnią z tych tajemnic.

Uśmiechał się z satysfakcją, przypominając sobie uległą twarz, kiedy w domku wikarego patrzył jej w oczy, i gorącą reakcję na pocałunek. Każdemu mężczyźnie wielką radość sprawi fakt, że podoba się kobiecie, która go niegdyś odrzuciła, i każdego rozbawi tak wiele mówiąca reakcja.

Gdy budziło się w nim sumienie, przekonywał siebie, że zabawa uczuciami Taryn jest jak zabieg medyczny, który nie czyni krzywdy, a koi ból w piersiach i łagodzi zadawnioną gorycz. Ta zabawa była lepsza od butelki Rano nie boli po niej głowa. A Taryn stała obok. cicha, lecz zła niczym szerszeń. Kojący widok.

- Dobrze, Taryn, będę zaszczycony, jeśli zechcesz mi towarzyszyć w wizytowaniu Kingsford. Przyjadę po ciebie jutro z samego rana. - Uśmiechnął się niepewnie. - Jest jakiś sposób na to, bym mógł służyć ci i naprawić moje szorstkie słowa? Mam paść na kolana? Przynieść ci głowę na tacy? - Widząc, że nie uśmiechnęła się słysząc te głupstwa, dodał: - Taryn, zauważ, że choć postawiłaś mnie w bardzo intrygującej sytuacji, o nic nie pytam. - Popatrzył na nią z nadzieją. - Jeśli chcesz, możesz pytać. Żadna twoja kwestia nie pozostanie bez odpowiedzi.

Zamrugła zdziwiona. W końcu zobaczył, że mięknie, rozważając jego żartobliwą ofertę.

- A więc dobrze... Powiedz, Woolf, dlaczego mnie pocałowałeś? - zapytała zadzierając zabawnie brodę.

Wyszczrzył zęby w złośliwym uśmiechu. Choć wiedział, że igra z ogniem, nie mógł się powstrzymać.

- Prawda jest taka, Taryn, że jeśli kobiecie oczy mnie zapraszają, to nie odmawiam.

Spiorunowała go wzrokiem, uniosła suknię, z oburzeniem wyprostowała plecy i ruszyła w stronę domu. Poszedł za nią, chcąc znowu ją czymś rozbawić, ale stanęła obok Asady, przy murku, blada jak kreda. Ich uwagę przykuł ogromny rwetes - do podjazdu zbliżały się powozy.

- Dobry Boże - szepnęła. - Przyjechali.

Zabawne, dumął Woolf, zerkając na przerażoną Taryn, jakże się ów tłum nagle zmienił. Przed chwilą jeszcze pogodny i wesoły, teraz sztywny i czujny. Goście rozpraszali się, prosiaczkowie znikali chyłkiem, zupełnie jakby hałaśliwy powrót państwa zbudził w nich świadomość niestosowności przebywania tutaj.

Alicja pomogła Kucharci wstać z fotela i obie wymknęły się z ogrodu.

- Ja, żeby wywołać podobną reakcję, zwykle muszę dobyć miecza - mruknął Asada.

- Żeby rozproszyć takie zgromadzenie, wystarczy wypuścić skunksa.

- Ach - zaśmiał się cicho Asada. - Chylę głowę przed twoją inwencją, ale wolę białą broń.

Woolf przysunął się do Taryn, chcąc jakoś złagodzić jej przerażenie. Delikatnie dotknął jej pleców. Odwróciła się, ciężko łapiąc oddech, jakby zapomniała, że stoi obok niej. Spojrzała na podjazd. Wuj i ciotka wysiadali z powozu. Popatrzyła błagalnie na Woolfa.

- Nie narobisz kłopotów?

- Chodzi ci o to, bym nie powiadomił ich o naszym narzeczeństwie?

- Milcz o wszystkim, o czym rozmawialiśmy - syknęła, patrząc na trawnik, gdzie goście zatrzymali Klaudię i Olivera. - Wiesz, przecież, jak delikatnie muszę obchodzić się z ciotką. I tak będzie wściekła z powodu tego zgromadzenia w jej domu. - Dotknęła jego rękawa. - Proszę.

- Kuzynek... - rozległ się bełkotliwy głos. - Syn marnotrawny powrócił i wita się z gąską w moim własnym ogródku.

Gdy odwróciła się do Gilesa, Woolf próbował zatrzymać jej dłoń. Wyrwała się, ale Giles zauważył ten ruch, przyłożył monokl do oka i zaczął się im bacznie przyglądać. Zaropiałe, szare oczy znieruchomiały, monokl spadł i zadyndał na łańcuszku. Giles wpatrywał się w Woolfa wzrokiem pełnym wielkopańskiej pychy.

Pijany, niechlujny. Płaszcz i spodnie zmięte po podróży, na żółtej kamizelce ślady ostatniego posiłku. Okręcił się na pięcie i rozejrzał po ogrodzie. W trakcie tego manewru zgiał nakrochmalony kołnierz, przez co nie wyglądał już tak groźnie, jak przed chwilą. Okręcił się znowu, żeby popatrzeć na nich, i zachwiał się niebezpiecznie. W końcu odzyskał równowagę.

- Urządzamy przyjęcie? - spytał zgryźliwie.

- Nie... - zaczęła Taryn. Tymczasem młodzi przyjaciele Gilesa minęli wejście do

ogrodu i szli ku nim. - Umarła Marta, dzisiaj ją pochowaliśmy. Przybyli goście, by złożyć kondolencje.

- Marta? - Między niemymi oczami Gilesa pojawiły się dwie głębokie bruzdy. - Córka Kucharci?

Taryn skinęła.

- Wstyd mi cholernie - wybełkotał.

Taryn, ułagodzona, skinęła głową, ale Woolf nie słyszał w słowach Gilesa prawdziwego żalu. Geoffrey mówił kiedyś o rozwiązłości kuzyna, jednakże widząc to na własne oczy, Woolf zaczął żałować, że przed laty nie pociągnął Taryn za sobą, czym oddałby jej największą przysługę.

Zaciekawionym wzrokiem błyskawicznie oszacował nadchodzących. Rozpoznał dwie owdowiałe siostry; obie przeżyły starszych mężów i korzystały z wolności. Towarzyszący im dżentelmeni stanowili dziwną mieszalinę: sir Lionel, członek parlamentu, cieszący się niejaką sławą, piękny jak malowanie... i dwu bliskich przyjaciół Geoffreya.

Giles przywołał ich ruchem ręki.

- Przywiozłem gości, kuzyneczko, muszą się odświeżyć.

Uśmiechnął się niedbale. Zobaczył stół, na nim jadło i napitki. Odwrócił się i ruszył ostrożnie wprost w tamtym kierunku.

- Chodź, Lionel - rzucił przez ramię. - Mówiłem ci, kuzyneczka wszystko przygotowała.

Lionel obserwował pobłaźliwie, jak zatacza się między żałobnikami, po czym zwrócił się do Taryn:

- Panno Burnham, musi pani wybaczyć swojemu kuzynowi. Podróż przedłużyła się. W jednym z powozów pękła oś, zaczem bojąc się nudy raczyliśmy się najlepszymi trunkami, jakie udało nam się znaleźć.

Skinęła głową i lekko dygnęła.

- Jak się pan miewa, sir Lionel? Czy zna pan lorda Kingsforda?

- Lionel - powiedział krótko Woolf, wyciągając rękę w odpowiedzi na gest sir Lionela.

- Zastanawialiśmy się, czy pana tu zastaniemy, lordzie Kingsford. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci kuzyna. Był wspaniałym człowiekiem, wyjątkowo uprzejmym. Prawdziwy dżentelmen.

Surowa twarz Woolfa nieco złagodniała.

- Dziękuję.

Sir Lionel cofnął się ku damom.

- Jeśli wolno, oto pani Nancy Tristin i jej siostra, pani Georgia Lawnsdale.

Były to ładne blondynki, ubrane w krzykliwe, mocno wydekoltowane suknie. Przywitały się z Taryn i zalotnie spoglądały na Woolfa, gdy sir Lionel przedstawiał resztę towarzystwa.

- Panowie George Humbolt i Paul Tanner, wicehrabia Lodges.

Młodzi mężczyźni prześcigali się w ukłonach, by oczarować Taryn. Uśmiechnęła się wymuszenie widząc te piruety i z niepokojem obserwowała, jak Oliver i Klaudia suną powoli przez zatłoczony ogród. Wicehrabia Lodges uśmiechnął się promiennie do Woolfa.

- Dołączyliśmy do Gilesa, panie, w nadziei, że cię spotkamy. Byliśmy przyjaciółmi Geoffreya. chcielibyśmy zamienić z tobą słowo, jeśli łaska. W pewnej ważnej sprawie, jak wiesz. - Wyszczrzył bezmyślnie zęby, prosząc o wybaczenie impertynencji. Woolf skinął na znak zgody.

Taryn bała się, że pęknie jej serce, tak mocno kołatało, kiedy Oliver i Klaudia zbliżali się, witając łaskawie gości, W ogrodzie zostało kilka ciekawskich osób ze wsi, poza tym większość stanowili przyjaciele domu. Głosy dudniły jej w uszach.

- O tak, dowiedzieliśmy się, że lord Kingsford organizuje stypę za nieodżałowaną córką Kucharci, więc przyszedliśmy złożyć kondolencje... Moja droga, takie dziwne zdarzenie... Twoja słodka Taryn gości w twoim domu nawet służących...

Odpowiadając gościom; Klaudia rzucała Taryn spojrzenia obiecujące zapłatę.

- Owszem, zawsze jest miła dla niższych stanem... Uczyliśmy ją właściwego porządku rzeczy.

Taryn skupiła uwagę na Oliverze - obawiała się konfrontacji między nim a Woolfem. Musnął ją wzrokiem, niemal się na niej nie zatrzymując. Patrzył na Woolfa. Martwe, pozbawione wyrazu oczy. mówiła sobie Taryn, zastanawiając się, o czym myśli jej wuj.

Woolf nie uczynił najmniejszego ruchu, by go powitać. Stał swobodnie, jakby to on był gospodarzem, a Oliver intruzem. Nawet gdy ten stanął wprost przed nim, czekał, aż wróg pierwszy zrobi gest.

W ogrodzie, niby miękko opadająca mgła. zaległa pełna zaciekawienia cisza.

- Woolfie - powiedział Oliver uprzejmie, choć z lekką niechęcią.

- Oliverze - odrzekł Woolf, Spojrzał na Asadę. - Pozwól przedstawić sobie wuja panny Burnham, pan Chastain. Jej ciotka, pani Chastain - dodał, gdy Klaudia dołączyła do męża. - Mój przyjaciel, Kyoichi Asada, z Japonii - wyjaśnił i znowu czekał, aż Oliver się odezwie.

Oliver zmrużył oczy. Został przedstawiony tak, jakby to cudzoziemiec był wyższy

rangą. Skinął Asadzie nie patrząc na niego. Klaudia skrzywiła się z odrazą.

- Jak znajdujesz Kingsford, Woolf? - zapytał wreszcie Oliver.

- Cóż, Oliverze - cedził Woolf - jak dotąd, na górze znalazłem cię zbrodni, na dole zwykłe życie. Przyjechałem ledwie dwa dni temu. Jestem pewien, że pod każdym kamieniem, jeśli go odwrócić, kryje się tu wiele ciekawostek. Małe, brzydkie rzeczy.

Jak podczas walki kogutów oczy wszystkich zwróciły się na Olivera.

Zawrzało w nim; otworzył usta, zęby się odciąć, ale Woolf mówił dalej tym samym znudzonym tonem:

- Jak nie mogę pochwalić twych rządów w Kingsford, tak muszę pogratulować ci serdecznie znakomitej spiżarni, jaką urządziłeś w dworskich piwnicach.

Oczy Olivera zionęły ogniem.

- Te zapasy należą do mnie!

- Cóż, szkoda - replikował Woolf wydymając z talu wargi. - Jeśli tak jest, pokaż kwity mojemu człowiekowi Asadzie, i bierz, co do ciebie należy.

- Nie mam żadnych kwitów, to prywatne transakcje. Nikt nigdy nie kwestionował tu mojego słowa.

- Słowa rządcy Kingsford?

- Oczywiście - odrzekł arogancko Oliver.

- Skoro o tym wspomniałeś, jest jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia. Z tą chwilą jesteś zwolniony.

Oliver był wściekły. Twarz mu się wykrzywiła, machnął ręką w powietrzu.

- Wynoś się z mojego majątku! - wrzasnął.

- Twojego? - drwił Woolf.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że kiedy byłem tu ostatnio, ta ziemia należała do Kingsford. Wierzbówka to właśnie jeden z tych kamyczków, pod które należy zajrzeć, Oliverze.

- Rozmawiaj z panem Fletcherem. On cię uświadomi.

- Jak wiesz, miałem - taki zamiar, zdecydowałem jednak, że zwrócę się do mojego przyjaciela markiza Hawksleya. Jego prawnik jest prawdziwym psem gończym. Oddany, lubi ściśle wyliczenia i ostre kary za kręctwa. Byłbym zapomniiał... - powiedział zerkając na Taryn. - Zlecę mu też zbadanie majątku Taryn, po to tylko, by stwierdzić, czy naprawdę chroniłeś jej interesy; tak ogromny spadek mógł być pokusą, do różnych machinacji i wywierania presji na dziewczynę. Na przykład, żeby wyszła za twojego syna wbrew własnej woli.

Wściekłość Olivera była tak wielka, że nie mógł mówić. Taryn miała wrażenie, że na oczach wszystkich dostanie apopleksji i umrze. Tymczasem Woolf jeszcze nie skończył.

- Nim się wszystko wyjaśni, sam chcę obejrzeć posiadłość.

Skoro zaś zostałeś już zwolniony ze swych obowiązków, potrzebuję na jutro kogoś, kto by mnie oprowadził. Taryn, jak sadzę, jest z pewnością zorientowana najlepiej. Kto wie, może potrafi przekonać mnie, że wszystko jest w porządku, a wtedy wystarczy po prostu obejrzeć budzące wątpliwości kamienie.

Przerwał i popatrzył na Klaudię.

- Ponieważ dziewczyna nadal potrzebuje troskliwej opieki ciotki, możecie zostać, z moim błogosławieństwem, aż się sprawy wyjaśnią. - Uśmiechnął się widząc, że Klaudia jest równie wściekła jak jej mąż.

- Taryn, przyjdę po ciebie o dziewiątej rano - dodał już normalnym tonem.

Skinęła machinalnie głową, dziękując w duchu, że nie zdradziła przed nim wszystkich tajemnic. Nawet jeśli zachował dla siebie historię ich sekretnych zaręczyn, był zbyt niebezpieczny, by mu zaufać.

Zapadła znacząca cisza, w którą wdarł się głos pijanego Gilesa, dobiegający od stołu:

- Taryn, kochanie, chodź tutaj i nałóż mi na talerz.

Wzdrygnęła się, spojrzała na Woolfa, chcąc sprawdzić, jak zareaguje na grubiaństwo Gilesa. Rozbawiony cynik, szczujący Olivera, zniknął. Patrzył na nią czujnie, czekając, aż wpadnie w jego pułapkę tak jak Oliver: Serce w niej zamarło.

Miała rację. Wrócił jako wróg.

Uniósł brwi, jakby wzywał Taryn, by przeciwstawiła się aroganckiemu żądaniu Gilesa. Wzywał, oskarżał, skazywał.

Rozgorzała w niej złość. Jeszcze jedna zniewaga ze strony tego panoszącego się, wydającego wyroki barbarzyńcy, a rzuci w niego, czym popadnie. Złożyła mu przesadnie unizony ukłon.

- Dobranoc lordzie Kingsford.

Odwróciła się i poszła wściekła do Gilesa; z tyłu dobiegł ją odgłos wolnych kroków odchodzącego Woolfa.

Na Gilesa także była zła. Jak śmiał, nawet pijany, przybrać wobec niej tak prostacką, pańską pozę? Podeszła ku niemu z ujmującym uśmiechem na ustach i niewiele myśląc wyłała na jego hartowaną kamizelkę szklanę ponczu. Przepraszając słodko, zaatakowała jego gości. Niczym trąba powietrzna zmiotła ich od stołu i przypilnowała, by znaleźli się w łózkach, a zrobiła to tak zręcznie i skutecznie, że mogłaby jej pozazdrościć niejedna doświadczona londyńska pani domu.

Po uporaniu się z przyjaciółmi Gilesa spojrzała przelotnie w lustro w salonie i skrzywiła się na widok zapadniętych, podkrążonych oczu: przypominała zmęczonego szopa pracza. Pragnąc już tylko paść na łóżko i solidnie się wyplakać, ruszyła w kierunku schodów.

- Taryn, głupia dziewczyno - od drzwi salonu odezwała się Klaudia. - Wszyscy mówią tylko o tobie. - Wykonała gest nakazujący siostrzenicy pozostanie w pokoju. Taryn wyprostowała plecy, szykując się na jeszcze jedna nieprzyjemna scenę. W tej chwili ujrzała dodatkowe dwie pary wpatrzonych w nią oczu. Giles i Oliver.

Chciała jut przeproszać, ale zrezygnowała, niepewna, ile jej grzechów wyszło na jaw, Klaudia mówiła głosem coraz bardziej piskliwym, przeraźliwym, jakby sama wzniecała w sobie. złość.

- Zaprosiłaś całe hrabstwo, stratowali mój ogród, wywlokłaś z domu wszystkie meble, a na dodatek włączyłaś w to tego godnego pożałowania Woolfa Burnhama. Przecież wiesz, jak węszył koło ciebie ten chłopak tylko po to, żeby obudzić w Gilesie zazdrość, Jak myślisz, jak on się czuł widząc Woolfa z tobą, niewdzięczna dziewczyno? - Jeszcze bardziej podniosła głos. - Wiesz; co sobie pomyślałam, kiedy usłyszałam o śmierci Geoffreya? Że wybaczę Woolfowi wszystko. Byłam gotowa powitać go w domu, w nadziei, że stał się bardziej cywilizowany. Tymczasem od czego on zaczął? Panoszy się, grozi, że wyrzuci nas z naszego

domu! Już jako chłopak był okropny, a stał się potworem, jak przewidywałam.

Podeszła bliżej do Taryn, piorunując ją gniewnym wzrokiem, jak Zwykle w napadach wściekłości. Przypominała rozjuszone zwierze gotujące się do walki. I logika nie była ważna. Wrzaski zdawały się sprawiać jej przyjemność, szczególnie jeśli Taryn brała w końcu winę na siebie.

- I ten strój! Jesteś śmieszna przywdziewając żałobę po służącej. Wzięłaś bez pozwolenia moją suknie i proszę, została z niej szmata. - Wzniosła oczy do nieba. - Ciekawe, czym go omamiłaś, że chce spędzić z tobą jutrzejszy dzień. Jesteś zaręczona...

- Co to znaczy? - ryknął Giles, który nieco wytrzeźwiał po obfitym posiłku. - Taryn, on ci coś proponował?

Pokręciła głową, zaprzeczając oskarżeniom. Klaudia, wyliczywszy jej grzechy, zwróciła się do Olivera:

- Spójrz tylko, co za głupia dziewczyna. Nawet na chwilę nie można zostawić jej samej.

Oliver, z głową pochylona na bok, jak kogut, słuchał, milczał, w końcu przemówił:

- Masz rację, moja droga. Twoja siostrzenica zapomniała, gdzie się znajduje. Ofiarowując gościnę Woolfowi, nie czekając z tym na mnie, okazała samowolę, jakiej nie widziałem od czasu, gdy pojawiła się u nas ta krnąbrna mała dziewczynka. Jednakże, co się tyczy oględzin posiadłości, chcę, żeby towarzyszyła Woolfowi. Może łotr odkryje przed nią karty. A nawet jeśli nie, straci trochę czasu; dla nas cenna jest teraz każda chwila.

Taryn wpatrywała się w Olivera zaszokowana jego łaskawością. Giles i Klaudia protestowali opryskliwie, lecz Oliver, spojrzawszy na nią bezdusznie, mruknął:

- Masz jakieś zastrzeżenia?

- Żadnych - odrzekła potulnie.

Giles je miał, czemu usiłował dać wyraz burcząc coś pod nosem, Klaudia zaś obróciła złość na Taryn.

- Teraz widzisz, czego dokonałaś. Idź do łóżka i zastanów się, jak podłe wykorzystałaś wolność, którą cieszyłaś się w tym domu.

Wyszła powoli z salonu i z ulgą wspinała się po schodach do swojego pokoju. Dzięki Bogu, Klaudia nie miała zamiaru robić awantur o pogrzeb Marty. Przynajmniej w rym Woolf okazał się pomocny: ciotka wpadła w pułapkę litości i współczucia własnych przyjaciół.

Umyła się i gotowała do łóżka, oszołomiona, zbyt zmęczona, żeby w ogóle o czymkolwiek myśleć, a najmniej o dwu ostatnich dniach. Przypominało to czary, przekłete czary. Jeden wielki koszmar. Zamknęła oczy, pragnąc, by ustąpił.

Obudziła się z tą samą nadzieją, ale zaraz uprzytomniła sobie, że żadna chwila poprzedniego dnia nie znika z pamięci. To nie sen. Woolf wrócił i szalał.

Wyskoczyła z łóżka, nie wiedząc, co począć. Jak w ciągu dwu ubiegłych dni dała sobie radę z tak potwornym zamętem? Szybko dokonała porannych ablucji, by czym prędzej zejść na dół. Goście oznaczali dodatkową robotę dla Kucharci i Alicji. Sięgnęła po spłowieła szarą sukienkę, najwygodniejszą do pracy w kuchni, lecz jej dłoń, prawie bezwiednie, ominęła jednak szarą suknię i sięgnęła po miękką, różową, którą Kucharciu nazywała „różanym wiatrem”, jako że dodawała blasku jej długim włosom. Może nie powinna? Dlaczego nie? Może nosić to, co lubi. Nieważne, co pomyśli Woolf.

Pośpiesznie włożyła suknie, zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co robi. Cóż złego w tym, że odwiedzając dzierzawców chce ładnie wyglądać? Fakt, że Woolf widział ją w za dużej Czarnej sukni Klaudii, nie miał tu nic do rzeczy.

W całym domu natykała się na zagonioną służbę. Oliver, dusigrosz, nie myślał wydawać pieniędzy na dodatkowych służących; tych z Wierzbówki brał zwykle ze sobą do Londynu, płacąc niskie, prowincjonalne stawki - . Teraz wszyscy wrócili i dom roił się od biegających pokojówek i lokajów, próbujących dogodzić swemu panu.

Kucharcia uśmiechnęła się na jej widok.

- Młody Woolf powiedział, że przyjdzie tu dziś rano, żeby wziąć cię ze sobą, więc upiekłam jego ulubione ciasteczka.

- A Giles kazał przygotować piknik na popołudnie. Kraby i szampan - dodała Alicja.

- Jak śmie tak cię obciążać? - zezłościła się Taryn, zakładając fartuch. Dobrze wie, jak trudno zadbać o nieoczekiwanych gości, nawet w normalnych warunkach. - Cisnęła na stół wędzoną szynkę i sięgnęła po nóż.

- Młody Giles zawsze był młodzieńcem beztroskim - odrzekła Kucharcia, dekorując półmisek pokrajanych w plastry ozorków natką pietruszki, - Wcześniej nie zwracałaś na to uwagi, a teraz, mam nadzieję, nie sarkasz na niego z mojego powodu. Nie będę leżeć w łóżku i płukać. Na ciężkie chwile najlepsza jest praca. - Podała półmisek Jolie. żeby zaniósła go do jadalni. Dziewczynka popędziła niczym mały koliberek.

- Ach. Giles - powiedziała Taryn. - Nie miej mu za złe, nie chodziło mu o nic szczególnego. Zawsze był zepsuty. Szaleje ktoś inny.

Alicja spróbowała łyżeczką czekoladę i dodała do rondla odrobinę cukru. Mieszając w nim długą drewnianą łyżką, dołączyła do rozmowy:

- O kim ona mówi, mateczko?

- Alicjo, nie zaczynaj - ostrzegła przyjaciółkę Taryn. - Dobrze wiesz, kto jest cierniem w moim boku. Woolf Burnham.

- Młody Woolf? - Kucharcia wsparła się pod pulchne boki; wyglądała na rozdrażnioną. - - Po tym, co zrobił dla Marty, mam nadzieję, że w mojej kuchni nie usłyszę o nim nic złego, panienko.

- Mateczko, przecież to Taryn przekonała wikarego.

Kucharcia zadumała się.

- Wikary powiedział mi wczoraj, że do pochowania Marty na poświęconej ziemi przekonał go Woolf.

Przyglądała się Taryn, która spuściła wzrok, wielce zajęta grubością plastrów krojonej właśnie szynki.

- Kawa na ławę, panienko Taryn - powiedziała Kucharcia siadając na ławce.

Alicja triumfalnie wyszczerzyła zęby.

- Tak, Taryn, opowiadaj, jak było. Wiesz przecież, że mateczka nie spocznie, dopóki nie dowie się wszystkiego.

Taryn jęknęła i pokręciła głową.

- Na pewno nie chcecie tego słuchać, na pewno.

- Przeciwnie! - stwierdziła Alicja, zdumiona, że Taryn tak się zmieszała.

Na odgłos kroków na żwirowanej ścieżce Taryn aż podskoczyła. Kobiety z niepokojem popatrzyły na drzwi. Klamka obróciła się i do środka wszedł szeroko uśmiechnięty Woolf. Ucałował Kucharcię w policzek, a Alicję potarł po włosach, jakby miała pięć lat. Wciągając z uznaniem kuchenne aromaty, powiedział:

- Jestem zakochany.

Usiadł obok Taryn i zwędził jej kawałek szynki, śmiejąc się na widok jej rozdrażnionej miny. Kucharci a uniosła się, chcąc wstać z ławy; Alicja objęła ją.

- Mateczko, nie wstawaj. Ja podam lordowi Kingsfordowi herbatę i ciasteczka.

Woolf zmarszczył brwi.

- Na miłość boską, Alicjo, jeśli ktokolwiek nazwie mnie tutaj inaczej niż Woolf, wszystkich was spalę.

- Nie możesz ich spalić, Woolf - przycięła mu Taryn. - Pracują dla Wierzbówki.

- A ja przychodzę błagać je, żeby zechciały gotować we Dworze - odparł wesoło Woolf.

Oczy Taryn rzucały błyskawice. Woolf wyszczerzył zęby i mówił dalej, nie pozwalając jej wtrącić słowa:

- W takim razie ożenię się z Kucharciu i zaadoptuje Alicję.

Obie zaśmiały się, ale nie Taryn. Alicja postawiła przed nim talerz.

- Mateczka przyciskała właśnie Taryn, żeby powiedziała, jak poradziliście sobie z wikarym - powiedziała i usiadła za stołem nie bacząc na tytuł i pozycję Woolfa. Czekwała, co powie.

Kiedy podnosił do ust ciastko, Taryn rzuciła kilka słów:

- Po prostu ostrzegłam wikarego. Napomknęłam, jak bardzo lord Kingsford lubi Kucharcię, a Woolf spojrział na niego groźnie, niczym smok. To wystarczyło. - Odkroiła ostatni plaster szynki i zaczęła przybierać półmisek.

Słyszając jej historię, Woolf uniósł brwi.

- A teraz posłuchajmy wersji dłuższej - powiedziała Alicja. Pociągnął łyk herbaty, przybrał niewinną minę.

- Nie śmiem dodać nic więcej. Obiecałem to Taryn.

Nagle drzwi otwały się i weszła Jolie. Na widok Woolfa za stołem kuchennym wybałuszyła oczy, pobiegła do Kucharci i przytuliła się do niej, nie odwracając oczu od Woolfa. Kucharcia uściskała ją i powiedziała:

- Jolie, biegnij do mojego pokoju i przynieś mi szal.

Poklepała ją, po czym odprowadziła uśmiechem czmychającego koliberka.

- A teraz, młoda damo - zawróciła się do Taryn - jakich to głupstw narobiłaś z naszego powodu?

Taryn zostawiła mięso w spokoju, oparła łokcie na stole, brodę na dłoniach.

- Nie powiesz nikomu?

Kucharcia przytaknęła, z trudem zachowując resztki cierpliwości - . Woolf zaśmiał się.

- Nie wiedziałam, że on wraca do domu - wyjaśniła Taryn.

Kucharcia skinęła, czekając na dalszy ciąg.

- Wikary nie chciał mnie słuchać. Egzaltowany, jak to on, jak maniak brnął do jakiegoś jemu tylko znanego celu. - Przerwała zmieszana; paliły ją policzki. - Powiedziałam mu wiec, że jestem sekretnie zaręczona z Woolfem.

- Niemożliwe! - szepnęła z podziwem Alicja.

Kucharcia z uśmiechem pokiwała głową, widząc, jak głowy obojga skłaniają się ku sobie.

- Najwyższy czas, powiadam.

Z rondla na piecu zaczęła kipieć gorąca czekolada. Alicja podskoczyła, zdjęła

naczynie z ognia, jej biadania rozpraszały ciszę, która zaległa w kuchni. Kucharcia spoglądała na milczącą parę.

- Zawsze mówię, co myślę, i nie zamierzam cofać wypowiedzianych słów.

Woolf mrugnął do Kucharci i w milczeniu kończył ciasteczka. Patrzył na spłonioną twarz Taryn, rozmyślnie pozostawiając jej obowiązek odpowiedzenia Kucharci.

Nachyliła się przez stół do Kucharci i mocno ścisnęła jej dłoń.

- Nie czuję się obrażona, moja kochana - powiedziała.

Kucharcia wydawała się odrobinę zakłopotana, ale ani trochę skruszona.

Taryn popatrzyła na Woolfa.

- Myślę, że dla niego to komplement, kiedy powiadasz, że jest dla mnie wystarczająco dobry. - Po czym, słysząc cichy chichot Alicji, wstała i dodała ze słodyczą w głosie: - Woolf, miałam pokazać ci wieś. Idziemy?

Zamierzała już wyjść, gdy Woolf powiedział jedwabistym głosem:

- Taryn, po co ci ten fartuch?

Zatrzymała się w pół kroku. Woolf pociągnął za jeden z pasków fartucha i pieśczośliwie zsunął z jej ramienia szelkę. Taryn w panice zdjęła drugą i rzuciła fartuch na krzesło. Bez słowa, dostojnie, wyszła z kuchni.

Z całego serca nienawidziła tego człowieka.

Cudowna jak kwiat - z ukłonem stwierdził Asada na widok Taryn, gdy wraz z Woolfem podeszła do powozu. Trzymając lejce w jednym ręku, pomógł jej wejść na stopnie nowej, należącej do Heritage dwukółki - jasnozielonej, zaprzężonej w dwa czarne konie; jeden z nich zachwyił Taryn już z daleka.

- Dzień dobry, panie Asada - powiedziała słodko. Japończyk podał Woolfowi lejce, po czym podniósł skórzaną budę. Żeby zapewnić im intymność. Szczercząc triumfalnie zęby, popędził naokoło niby tygrys, by zająć miejsce między resorami.

Woolf usadowił się obok Taryn, z lejcami w jednej dłoni. Czują gorąco bijące od jego wielkiego ciała i podstępnie wnikające w nią pragnienie. Ponieważ jeszcze nie ruszył, popatrzyła na niego i spostrzegła, że jest, podobnie jak ona, skrepowany sytuacją. Odchrząknęła, szukając słów, które ułatwiłyby im wspólne spędzenie dnia, lecz Woolf odezwał się pierwszy:

- Wczoraj padło dużo słów. Niektóre za ostre, ale czekałem wiele lat, by zostały powiedziane. - Przerwał. - Z pewnością mamy też inne sprawy do omówienia...

Otworzyła usta, gotowa do sprzeczki, ani myśląc odpowiadać na jego pytania, ale on

pokręci! tylko głową i położył palec na jej wargach.

- ...nie dzisiaj. Taryn. Dzisiaj niech będzie rozejm. Bądźmy, jak niegdyś, przyjaciółmi.

- Uśmiechnął się do niej; złość odeszła. - Za kilka dni, kiedy dojdę do siebie, porozmawiamy znowu. To chyba uczciwe?

Co mogła powiedzieć? Czuła ulgę, zniechęcenie, wreszcie złość, że jest tak bardzo czarujący. Z drugiej strony, zważywszy jak pięknie zapowiadał się dzień, perspektywa spędzenia z nim kilku godzin na przyjacielskiej stopie była wyjątkowo kusząca.

Wyciągnął rękę.

- Rozejm?

Podawała mu rękę z niejakim wahaniem, a łotr podniósł ją do pocałunku, nie odrywając oczu od jej twarzy. Popędził konie, nadal trzymając jej dłoń, i swobodnie rozparty uśmiechał się do siebie tylko znanych myśli.

Oparła się także, podziwiając maki kwitnące na łące u podnóża wzgórza. Chciał więc obejrzeć swoje królestwo i opuścić je bez wyrzutów sumienia? Przekonajmy się, czy to możliwe.

Najpierw poprowadziła go do chaty Róży Simpson z zamiarem zaszokowania go najgorszym.

- Jej mąż utonął przed narodzinami najmłodszego dziecka. Teraz mieszka z bratem.

W drzwiach przywitała ich Róża z dziećmi. Ukłoniła się nisko, dwoje młodszych wczepiało się w nią niczym małe pijawki. Starsza dziewczynka stała obok, przestraszona nieoczekiwaną wizytą.

- Lord Kingsford! - Gospodyni zatchnęła się, a jej zmęczone oczy zapłonęły taką nadzieją, że Taryn poczuła bolesne ukłucie w sercu. - Mówiłam bratu, że pan o nas nie zapomni. - Po chwili, reflektując się, skłoniła ponownie głowę. - Dzień dobry panienko Taryn, zechce panienka zobaczyć najmniejsze?

Taryn skinęła z ociąganiem, chcąc dać Woolfowi czas, by mógł się rozejrzeć.

- Wejść, ty tymczasem pokaż lordowi Kingsford swoją parcelę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Mała chata lśniła czystością, zauważyła Taryn, zdumiona szaleńczą wręcz radością gospodyni. Prawda, że ciasnota wykluczała bałagan. Niemowicie nie spało, zagubione w ozdobnej kołysce, którą Taryn skonfiskowała we Dworze.

Pogłaskała policzek dziecka i uśmiechnęła się, kiedy małeństwo łakomie zwróciło buzie w stronę jej dłoni, szukając pożywienia. Słyszając duchot Woolfa, uniosła głowę i zmieszała się - jej kark oblał gorący rumieniec. Podniosła słodkie zawiniątko i zanurzyła w

nim twarz, wdychając czysty, niemowlęcy zapach.

Niech się śmieje, zasłużyła sobie na małą zemstę, pomyślała i podała mu dziecko tak szybko, że nie zdążył zaprotestować. Wziął je odruchowo i trzymał mocno, właśnie w chwili, kiedy Róża wraz z pozostałymi dziećmi stanęła przed nim, z zachwytu ledwie zdolna oddychać. Najpewniej starała się zapamiętać każdy szczegół tej sceny, by opowiadać o niej wnukom.

Woolf pochylił twarz, a dziewczynka z głośnym gulgotem zaczęła targać jego brodę, by zaraz zapłakać ze złości, że ktoś bawi się nią nie dając jeść. Woolf niepewnie oddał matce płaczącą niemowlę. - Już dobrze, słodziutka - zanuciła Róża. Umiejętnie umieściła dziecko w zgięciu ramienia i dała mu do ssania swój kciuk. - Kołysał cię lord Kingsford, nie bądź dla niego niegrzeczna. - Uśmiechnęła się do gości i spytała: - Pozwolą się państwo ucztować winem z bzu i herbatnikami?

Taryn pokręciła głową, ale Woolf przytaknął.

- Tego nam właśnie trzeba - powiedział. Taryn nie wierzyła własnym uszom słysząc jego bezmyślną odpowiedź. Róża ledwie dawała radę wykarmić dzieci tym, co hodowała w ogród ku i co Kucharciu na spólkę z Taryn zdołały uszczknąć z kuchni.

Róża podała do stołu, a Woolf jeszcze raz zaszokował Taryn brakiem wrażliwości, zadając niesmaczne i niestosowne pytania.

- W jaki sposób. Różo, utrzymujesz się przy życiu? Widziałem ogród i krowę, ale skąd poza tym bierzesz jedzenie dla dzieci? Co robi twój brat?

Taryn zrobiło się przykro, ze wszystkich sił chciała wyciągnąć z chaty nietaktownego towarzysza.

- Nasz Tom łowi ryby - odrzekła trochę strapiona Róża, odwracając kolejność pytań. - Panienska Taryn przynosi nam od czasu do czasu coś z kuchni. Ja - kończyła z durną - sprzedaję do Lecącej Gęsi trochę wina.

- O ile pamiętam, farma była kiedyś większa, gospodarował na niej stary Tom Simpson. Teraz prowadzisz ją z bratem?

- Tak - odrzekła Róża i nachmurzyła się, namyślając się nad odpowiedzią. - Pan Oliver mnóstwo ziemi oddał pod owce. to i młody Tom zajął się morzem.

- Jak mu się wiedzie?

Róża poczerwieniła, ale Woolf czekał na odpowiedź.

- Nasz Tom lubi wypić - powiedziała. - Ma kompanię, pan rozumie.

Kiedy już Woolf pożegnał Różę chwalać urodę dzieci i wino, zza domu wychynął Asada.

- Strzecha wymaga wymiany, krowa nie ma mleka. Tylko ogród zdrowy, chwastów nie widać - oznajmił kręcąc głową.

- A jej brat zadaje się z miejscowymi przemytnikami – dodał Woolf.

Kiedy zajęli miejsca w dwukółce i wydostali się na polną drogę, zwrócił się do Taryn:

- Wyglądasz, jakbyś miała wybuchnąć, moja mała. Zaczynaj mówić, zanim trafi cię apopleksja.

Nie potrzebowała specjalnej zachęty.

- Jak mogłeś przyjąć poczęstunek? Ledwie starcza jej dla dzieci, a my mogliśmy się bez tego obyć. I to wypytywanie! Czy wyobrażasz sobie, jak ona się czuła?

- Chciała rozmawiać, Taryn, a uprzejmość i duma kazały jej nakarmić nas. Daj pokój.

- W ten sposób mnie przepraszasz?.

- Nie przepraszam, tłumaczę - powiedział spokojnie, - Gdzie teraz? _ Na fermę świń, do Solly'ego - burknęła. - Jeśli chcesz, możesz którąś pocałować.

Uśmiechnął się do niej, ale bez czułości, pobłażliwie. Ona zaś przez dalszą drogę zastanawiała się, jak by tu zranić tego pozbawionego uczuć, nieznośnego człowieka.

Woń świń powitała ich na długo, zanim zobaczyli rozpadający się budynek, wokół którego rozlokowane były zagrody; byle jak łatanie płoty z trudem grodziły zwierzętom drogę do wolności. Solly podszedł do drzwi zagniewany, jednak kiedy ujrzał Woolfa, jego długa twarz rozpogodziła się.

- Lord Kingsford! - ryknął. - Uczynił mnie pan szczęśliwym człowiekiem i o pół kwarty bogatszym, bo jakem zobaczył pana na stypie, stawiałem w „Gęsi” zakłady, że się pan tu we wszystkim dobrze rozezna. - Zdarł z głowy starą, sukienną czapkę i walił nią po nodze, nieomal tańcząc z radości. - Proszę za mną - nalegał. Taryn skuliła się na swym siedzeniu ze wstrętem, Woolf zaś ze śmiechem przyjął zaproszenie.

Chociaż bardzo chciała, nie mogła zatykać nosa chusteczką, bo zachowałaby się gorzej niż Woolf u Róży. Za wieprzowinę, którą Kucharcia tu zamawiała, pieniądze wysyłała zawsze przez chłopca stajennego. Solly uprawiał i kopał własny tytoń, w który zaopatrywał całą wioskę. Jęknęła głośno.

- Przestań, Taryn - poradził cicho Woolf. - W Indiach wahałem gorsze zapachy i to na głównych ulicach. Tam czczą krowy, że przekłete bestie włączą się po całym kraju, wypróżniając się gdzie im przyjdzie ochotę. - Skinęła odważnie głową wchodząc na zachwaszczone podwórko. Oddychała tak płytko, że nie mogła mówić.

- Powinnaś była odwiedzić Portugalię kilka dni po bitwie. Piekło, przy którym przedmieścia Londynu pachną niby samo niebo - mówił uśmiechając się na widok jej

przerażonej miny.

Barbarzyńca, myślała Taryn, przesuwając dłonią po nosie, jakby chciała zetrzeć z twarzy ów narząd dokuczliwego teraz zmysłu. Wystarczy posłuchać jego słów. O jakich to niegodnych rzeczach opowiada damie! Mimo to szła za nim, nie chcąc dawać mu powodów do krytyki.

- Mam winko agrestowe własnej roboty i brandy z importu bez cła, lordzie Kingsford - zaproponował Solly. – Panienska Taryn z pewnością woli wino, ale co pan powie na kieliszek brandy?

Woolf zgodził się nie pytając Taryn. Popijała wino z zadowoleniem, jako że zapachy stały się mniej dokuczliwe.

Woolf wypytywał Solly'ego o kondycje farmy, a Taryn czuła się jeszcze bardziej niezręcznie niż u Róży. Solly nigdy nie rozmawiał z nią o swoich kłopotach i teraz miała wrażenie, że wysłuchując opowieści o tak intymnych detalach, popełnia nietakt wobec gospodarza.

- Radzę sobie - mówił Solly. pocierając brudną ręką kilkudniowy zarost. - Świnie chorują, musimy je izolować, ale panna Taryn zawsze na czas przysyła nam zapłatę. Moja nieboszczka żona była aniołem, tak jak panienska Taryn. Teraz żyję sam, niewiele mi trzeba - Oparł się o ścianę; siedział na ławce, brudną kanapę odstąpił gościom.

- Dzięki za odwiedziny, panno Taryn - powiedział szelmowsko; w jego oczach zabłysła przekora. - Słyszałem, że panicz Giles zwiózł do domu całą kompanię z miasta.

- Tak - odrzekła, uświadamiając sobie, że pozostawiła Kucharcię samą. - Lubimy towarzystwo.

Solly patrzył to na Woolfa, to na nią, uśmiechając się do własnych myśli.

Na szczęście Woolf pospieszał i kiedy znowu znaleźli się na polnej drodze, wciągnęła w płuca powietrze pachnące teraz niczym ambrozja.

- Akuratna jesteś, Taryn. - To było wszystko, co powiedział Woolf.

Jechali do farmy Bittersby. Plon tego miejsca stanowiła gromada dzieciaków. John Spaulding, pomocnik dawnego rządcy Kingsford, siedział na ganku z płaczącym wnukiem na kolonach. Po chwili rozmowy z córką gospodarza Woolf przysiadł koło pana Spauldinga; bardzo dobrze go pamiętał. Po chwili ostrożnej rozmowy Spaulding zadziwił Taryn oferując nowemu lordowi swoje rady.

- Kingsford jest zaniedbane - stwierdził. - Będzie panu potrzebny ktoś. kto to naprawi; Zważ pan. nie chodzi tylko o ziemię, ale o ogólne rozplanowanie gospodarki we włościach; zgłaszam się do pracy na ochotnika.

Taryn przyglądała się staremu człowiekowi, zasmucona, że pytania Woolfa wywołały w Spauldingu podobne mrzonki.. Z pewnością nie powinien przyjąć tej propozycji; staruszek siedział sobie wygodnie na ganku.

Zdziwiła ją poważna odpowiedź Woolfa.

- Nie podjąłem jeszcze ostatecznych planów względem posiadłości, Spaulding, ale kilka spraw wymaga natychmiastowej troski. Daj mi kilka dni rozejrzę się we wszystkim. Przyjdź potem do Dworu, wtedy cię wysłucham.

Asada, dotąd przechadzający się po gospodarstwie, przystanął, żeby posłuchać rozmowy. Uśmiechnął się do Woolfa tak, jakby ten dokonał właśnie czegoś wielkiego. Wrócili do powozu.: Kiedy ujechali kawałek, Taryn nie wytrzymała i podzieliła się refleksją:

- Przecież w tydzień wykończysz go taką pracą. Jak się będziesz wtedy czuł?

Asada parsknął śmiechem.

- Oto bezstronny osąd. Woolfesan. Trzeba nająć kogoś młodszego, a praca zostanie wykonana szybciej i może nawet za mniejszą zapłatę.

- Asada, przecież zawsze wygłaszasz kazania na temat szacunku dla starszych - odciął się Woolf.

- Ach! - Asada mrugnął do Taryn, - Bądź więc ostrożny, inaczej powrót do domu uczyni z ciebie mądrą.

Taryn pokręciła głową. Obu nie była w stanie zrozumieć.

Odwiedzili kolejnych dzierżawców, z takim samym skutkiem. Woolf wypytywał i węszył. Asada po swoim wściubiał nos wszędzie i pod koniec wizyt zdawał zwięzłe raporty. Taryn kuliła się w sobie na obcesowość Woolfa, ale zachowywała się jakby nigdy nic.

Żywiła wobec niego niejasne uczucia. Pragnęła, żeby został, a zarazem chciała, by wyjechał, nie pozostawiając po sobie zbyt wielu wspomnień. Zdumiewało ją, że jego obcesowa bezpośredniość zaskarbiała mu szacunek dzierżawców, zniechęcało, że zamierza sprzedać Kingsford dla czystego zysku. Przerazało, że przyjmował w poczęstunku bezcenną żywność i napoje, dziwiło, że ci ludzie czerpali z tego przyjemność. Była dumna, że stał się stanowczy, zdecydowany; przestraszona, że może wyjechać i nie wykorzystać swoich zdolności dla ratowania Kingsford i wzbogacenia własnego życia.

Przede wszystkim czuła się bezradna wobec silnego, władczego lorda Kingsforda, jakim się stał. Znalazł się poza jej wpływem, mogła jedynie obserwować, jak toczy się przez życie tych ludzi niczym gigantyczny okrągłak, nieubłaganie nabierając mocy.

Ostatnią wizytę złożyli w miejscu doprawdy żalonym. Poprzednia gospodyni

Kingsford Hall, wyrzucona przez Klaudię, kiedy z latami zniedołężniała, mieszkała u stóp wzgórza, poniżej Dworu. Budynek tak dawno przeznaczony został dla owdowiałych gospodyń, że aż o nim zapomniano. Wilgoć, ciekący dach i brak szyb w oknach zmusiły panią Maloney do przeniesienia się do kuchni czarnej od dymiącego paleniska i cuchnącej. Pani Maloney wodę musiała czerpać ze słonawego strumienia. przepływającego nieopodal domu, i Taryn ciągle martwiła się o jej zdrowie.

Kiedy nikt nie otwierał drzwi frontowych, zaryzykowali i weszli wołając, po chwili w drzwiach kuchennych pojawiła się pani Maloney, zapraszając ich tak, jakby wręczała im balowy karnecik. Oplakane warunki nie zniszczyły jej godności.

- Lord Kingsford. Miałam sporo wizyt sąsiadów. Wszyscy żyją tą wielką nowiną. Proszę usiąść, panna Taryn również.

Mogła być stara i powolna, lecz zachowują bystry umysł i pogodę ducha.

Woolf pytał, co robi całymi dniami, jak daleko może chodzić, co gotuje sobie do jedzenia, czy może czytać i kim są jej krewni. I owszem, chemie napiją się wina porzeczkowego.

Kiedy wrócili do Wierzbówki, Taryn była pijana; nogi miała miękkie jak z waty. Wypłynęła, wręcz wytoczyła się z dwukółki odrzucając pomoc Woolfa pośród czkawki, zmóżona bzem, agrestem i porzeczkami.

Na odchodnym nie omieszkała mu dociąć.

- Zobaczyłeś na własne oczy nędzę majątku, więc może zaczniesz się poczuwać do odpowiedzialności za los tych ludzi. - Pokiwała mu palcem przed oczami. - I zanim ich opuścisz, zapytaj sam siebie, tylko uczciwie, czy obchodzi cię, jak będzie ich traktował nowy właściciel dóbr, chyba że chodzi ci wyłącznie o pieniądze.

Przerwała, widząc na jego twarzy zdziwienie, i zadała ostatnie pchnięcie.

- Jeśli interesuje cię tylko zysk z Kingsford i nie zważasz, ile tutejszym ludziom przyjdzie zapłacić za zmiany, niczym nie różnisz się od Olivera.

Odeszła pozostawiając go z otwartymi ustami, oniemiałego, przerażonego. Pomaszerowała do swojego pokoju, padła na łóżko i natychmiast zasnęła, wydając z siebie lekkie pijackie chrapnięcia. Kilka godzin później obudziła ją Alicja, szepcząc takim głosem, jakby dzwony dzwoniły na pożar.

- W salonie czeka na ciebie Klaudia.

Ciągle nieprzytomna usiadła na łóżku i zdecydowanie odmówiła pójścia gdziekolwiek. Alicja nachmurzyła się.

- Źle się czujesz?

- Dzierżawcy - szepnęła Taryn. - Owocowe wino.

Alicja wybuchnęła śmiechem. Taryn machnęła ręką, żeby sobie poszła, zaklinając się w duchu, że nigdy już nie weźmie do ust czegoś równie ohydneho. Wstała z łóżka, rozebrała się i ostrożnie weszła do wanny. Zimna woda przywróciła jej poczucie człowieczeństwa. Założyła świeżą suknię i powoli zeszła do salonu.

Czekali na nią: Klaudia, Giles i Oliver.

- I gdzie byliście? - zaczęła Klaudia.

- Na farmach - odpowiedziała cicho. Wybrała fotel w ciemniejszej części pokoju.

- Dotykał cię? - dopytywał się Giles z gniewną miną.

Taryn westchnęła.

- Cały dzień spieraliśmy się. Ten człowiek jest barbarzyńca.

- Jakie ma zamiary? - przerwał bez ogródek Oliver.

- Zadawał im pytania, chciał wiedzieć, co trzeba zrobić, by przekształcić Kingsford w przynoszący profity majątek. Wtedy będzie mógł go sprzedać.

Oliver pokiwał głową; rozpogodził się.

- Mówił o nas? - spytała Klaudia. - o naszym domu? Co ma zamiar z nami zrobić?

- Czeka na wiadomości od doradcy.

Giles wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem.

- Taryn, więcej z nim nie pojedziesz.

- Giles. uspokój się - polecił Oliver. - Dziewczyna ani myśli się w nim kochać.

Słyszałeś, to łajdak.

Giles stanął naprzeciw ojca.

- Mnie się to nie podoba.

Taryn wywnioskowała z miny Klaudii, że jest tego samego zdania, ale ulega mężowi.

- Giles, rób, jak mówi ojciec.

Giles nachmurzył się, lecz wyciągnął do Taryn rękę.

- Więc chodźmy. Kucharcia przygotowała kosz. Po południu zabierzemy gości na piknik.

Oliver krążył tam i sam pod wielkim dębem, dziesięć kroków do przodu, dziesięć z powrotem. Jego błyszczące do niedawna buty wydeptały ścieżkę pośród opadłych liści i żołądź. Za każdym nawrotem wydobywał z kieszonki w spodniach zegarek na dewizce, sprawdzał godzinę, kładł i ostrożnie umieszczał chronometr na swoim miejscu. Pod pachami miał wilgotne półksiężycy potu, a między zimnymi oczami pojawiły się głębokie bruzdy. Na odgłos końskich kopyt zaklął raz jeszcze i stanął wyniośle, zwrócony twarzą do zbliżającego się powozu. Ani drgnął, póki czwórka koni nie wryła się w ziemię tuż przed nim.

- Fletcher - zawołał rozzłoszczony, kiedy prawnik otworzył drzwi powozu. - Czekałem trzydzieści pięć minut! Gdzie byłeś?

- Spróbuj zmienić konie. Gospody pełne są ludzi Prinna, podróżujących do Brighton.

Fletcher zszedł ze stopnia w kurz wzniesiony przez korne.

- Napisałeś w notatce, że masz dla mnie ważną wiadomość, ale me możesz przekazać jej listownie.

- Woolf zamierza przejąć Kingsford... i węży. To jeszcze nie wszystko. Fletcher. Wynajął pełnomocnika markiza Hawksleya...

- Jego prawnika? Makabra! - Fletcher odszedł od powozu załamując ręce. - Nie uprzedziłeś mnie, że chodzi tu o tak chronionego spadkobiercę - burknął. - Od chwili, gdy o nim usłyszałem, o niczym innym nie myślę.

- O co ci chodzi? - warknął Oliver.

- Kingsford jest groźny. On i marki? Hawksley wykurzyli niedawno szpiega, który przez wiele lat dostarczał Francji tajemnice wojskowe. Nie tylko to. Nie tak dawno został osaczony w Londynie przez złodziei uzbrojonych w noże i pałki; po chwili leżeli na ulicy i mieli pogruchotane kości. a zrobił to za pomocą ręki i laski. - Fletcher, blady jak kreda, popatrzył Oliverowi w oczy. - Jesteś pewien, że chcesz się z nim zmierzyć?

- Na razie się go nie obawiam. Ma zamiar sprzedać posiadłość. Pilnuje go moja bratanica. Ma go zachęcać do myszkowania po zakątkach Kingsford, zajmie go, a ty zyskasz na czasie. Martw się tylko o uporządkowanie moich zyskasz na czasie. Wracaj do Londynu i zabieraj się do pracy.

- Jak sobie życzysz - odrzekł Fletcher ponuro.

Wrócił do powozu i zatrzasnął drzwi. Powóz zawrócił i skierował się z powrotem do miasta. Fletcher, przygnębiony. rozważał swoją sytuację. Odsunął na bok torbę podróżna i oparł się o poduszki. Roztrzęsiony wydobył z kieszeni chustkę i otarł z twarzy krople potu.

Dużo czasu upłynęło, zanim odezwał się do gruboskórnego mężczyzny, który siedział

naprzeciw, z karabinem na kolanach.

- Przynajmniej nie musiałeś go użyć. On nadal myśli, że potrafię mu pomoc. Biedny drań, nie ma pojęcia, w jak beznadziejnej jest sytuacji. Co do nas, zrobimy sobie małe Wakacje, Jones, Jeśli będziemy jechać cały dzień i noc, jutro rano wsiądziemy na statek.

Następnego rana Taryn wstała wcześniej Celowo włożyła starą, szarą sukienkę; splótła włosy mocno, żeby nie rozwiał ich wiatr. Rozmyślania o Woolfie prześladowały ją całą noc, śniła o nim, rozważała możliwości życia we dwoje, wreszcie uznawszy, że nie ma żadnej szansy, zdecydowała natychmiast zakończyć ten nonsens.

Dzisiaj powinna poprowadzić ich wyprawę tak, żeby jeszcze bardziej otworzyć mu oczy na opłakany stan Kingsford. Gdyby udało się go przekonać, by pozostał, a także by pomógł jej W uzyskaniu niezależności, mogłoby zacząć wieść jako tako pogodne życie. Tylko tego chciała - spokojnego, niezależnego życia dla siebie, Kucharci i Alicji, tak żeby nikt nie mówił jej, co ma robić.

- Gdzie dzisiaj jedziemy? - zapytał Woolf, gdy zajęła miejsce przy stole. Kucharcia postawiła przed nią pełny półmisek i również usiadła. Wszyscy czekali na odpowiedź.

- Po okolicy - rzuciła wymijająco. Wszystko jedno gdzie, byle nie tam, gdzie dzierżawcy raczyli ją domowymi napitkami. Kucharcia i Alicja wymieniły zdezorientowane spojrzenia. Woolf uśmiechnął się domyślnie, po raz pierwszy tego ranka. Nie znosiła tego, że czytał w jej myślach.

Rozzłoszczona, powiedziała ostro, mając nadzieję, że w końcu potraktuje ją poważnie.

- Lasy, na przykład, są mocno zaniedbane.

Zainteresował się, więc spróbowała wymyślić jeszcze jakieś ważne miejsce na wolnym powietrzu.

- Staw, rzeka... źródło na skałach.

Kucharcia wstała szybko.

- Będzie wam potrzebny koszyk zjedzeniem.

Alicja poszła za matką do kredensu.

- Coś się stało ze źródłem? - spytała.

- Ach... - jęknęła matka i ostrzegawczo trąciła ją łokciem pod żebro.

Taryn nie zwracała uwagi na Alicję, jadła szybko. Kilka minut później maszerowała do dwukółki, wspięła się na stopień i usiadła w środku bez niczyjej pomocy.

Woolf, zajmwszy miejsce obok, przyglądał się jej w milczeniu.

- Zrobiłem coś złego? - Położył ramię na oparciu Siedzenia. poprawił szal na jej

plecach; przedłużając ten gest tak, że przeszył ją dreszcz.

Spojrzała na niego podobnie jak poprzedniego ranka, z tym samym nieoczekiwanym, wszechogarniającym pragnieniem. Pragnienie bez nazwy ani powodu, a jednak płynęło żyłami, wysoką falą. zmywając złość, jaką nagromadziła w sobie dla obrony przed nim.

Chciał wiedzieć, czy coś było nie tak, ona zaś marzyła o tym, by wypaść z dwukółki i nie ocierać się o niego, niczym mrucząca z rozkoszy kotka. W odpowiedzi na jego pytanie pokręciła głową... i zadrzała; jego palce dotknęły kosmyka włosów, który wymknął się zza ucha.

- Nie, nie gniewam się na ciebie.

- Więc o co chodzi? - nalegał. - O wujostwo? - Strzelił lejcami i konie ruszyły. - Przypuszczam, że nie podobają im się twoje wycieczki ze mną? - Powoził jedną ręką, drugą nadal trzymał na oparciu za jej plecami. Pochylił głowę tak, żeby widzieć zarówno drogę, jak i jej twarz. Gorące palce lekko dotykały jej karku, opuszki bezwiednie pieściły skórę.

- Tak - szepnęła, próbując nie myśleć o tym, że ów dotyk zasnuwał mgłą jej umysł. - Wujostwo.

Uśmiechnął się czule, ze zrozumieniem, ośmielając ją, by mówiła dalej.

- Klaudia martwi się o swój dom. Oliver chciałby poznać twoje zamiary, chce, bym cię odciągnęła... Giles jest zazdrosny.

- Zazdrosny? - Woolf zaśmiał się. - Co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że nie zmieniłeś się ani na jotę - Woolf wydawał się zadowolony. - Że jesteś takim samym dzikusiem, jakim zawsze byłeś, więc nie musi się martwić.

- Dzikus! - Pojazd zachybotał. - Ty mała jędzo! - Woolf roześmiał się. - A co powiedziałaś Oliverowi?

- Że przepytujesz dzierżawców szukając jak największego zysku. - Zobaczyła, że ta relacja go nie uszczęśliwiła; ale nie mogła się opanować i dodała. - On bardzo dobrze to rozumie.

Spojrzał na nią dziwnie, schwycił za kark i lekko potrząsnął. - Taryn, jesteś pewna, że się na mnie nie gniewasz?

Tym razem ona zaśmiała się szyderczo.

- Mój panie, z każdą minutą jest mi coraz weselej.

Ujrzeni wychodzącego z lasu Johna Spauldinga. z rusznicą na ramieniu i wiązką królików u boku. Taryn sapnęła. Woolf spojrzał na nią szybko.

- Coś ci jest?

- Króliki - szepnęła, wychylając się do przodu i łapiąc się za serce. - Oliver go...

Woolf patrzył to na nią, to na Spauldinga. Zatrzymał dwukólkę i spytał:

- Oliver reguluje polowania w lasach?

- Nie, on ich zabrania, wszystkim, z wyjątkiem przyjaciół. - Opadła na oparcie z westchnieniem ulgi. - Ale przecież już nie jest zarządcą, prawda?

Spaulding, uśmiechnięty, zbliżał się do nich.

- A ty co zrobisz? - zapytała.

Spojrzał na nią nieprzyjemnie.

- Myślę, że mógłbym go powiesić. - Zeskoczył na ziemię i mruknął przez ramię: - Jak myślisz, zastrzelić czy powiesić? - Do Spauldinga zaś krzyknął: - Udane polowanie?

- Dobrze mieć lorda Kingsford na właściwym miejscu - odkrzyknął stary, pochylając głowę w powitaniu. - Jest tu ich istne zatrzęsienie, panie. W zimę będą głodować, co jest smutne.

- Poświęć nam chwilę. Spaulding, daj nam kilka rad. Panna Burnham i ja chcemy poznać wasze problemy.

Spaulding błysnął zębami i powiesił zdobycz na zacienionej gałęzi.

Woolf objął Taryn i poprowadził przodem, Asada trzymał się za nimi.

- Panna Burnham poinformowała mnie, że las jest źle zarządzany. Posłuszny jej przyjechałem, żeby to sprawdzić.

Spaulding pokiwał uprzejmie głową, rzucając Woolfowi na boku spojrzenie pełne męskiej solidarności. Zagłębili się w chłodną, zieloną gęstwinę. Prowadziła ich kręta ścieżka. Taryn czuła się głupio, ale nie mogła się do tego przyznać. Wskazała na grunt pokryty zbutwiałymi kłodami, prawie niewidocznymi pod bujnym poszyciem.

- Na przykład to.

Spaulding kiwał głową.

- Panno Taryn, to jest jak nawóz, normalna rzecz; bardzo dobrze, chyba że grunt będzie tak twardy, że siewki nie puszczą korzeni.

Skinęła, mając nadzieję, że wygląda mądrze i poważnie.

- A to - powiedziała, wskazując zagajnik, w którym młode drzewka walczyły o miejsce wśród starodrzewu. - Jest im chyba za tłoczno.

Asada i Spaulding uśmiechnęli się z aprobatą. Zerknęła na Woolfa - wydawał się zamyślony.

- Nie jestem leśnikiem, Woolf, lecz to, co widzę, to wszystko jest drewno na opał. - Wskazała na dół. - Zastanawiam się, jak bardzo by to pomogło wieśniakom. - Rzuciła mu błagalne spojrzenie. - Nie możesz im tego dać?

Zmarszczył brwi i pokręcił głową. Zabolało ją serce; przez chwilę miała nadzieję, że uda jej się go zmiękczyć.

Poszedł kilka kroków dalej; obaj mężczyźni za nim. Rozglądał się wokół bacznie.

- Co wy na to? Naznaczyć niektóre zdrowe, dojrzałe drzewa na materiał, a martwe na opał? I tak, jak powiedziała Taryn, dać młodym więcej miejsca. - Zapalał się. - Musimy użyć pił, a nie rwać hakami. Nie chcę połamanych gałęzi i mnóstwa uszkodzonych drzew.

Poparzył w kierunku Taryn, stojącej na pocętkowanym promieniami słońca skrawku ziemi.

- Niechaj panna Burnham poradzi nam, jak połączyć potrzeby wieśniaków z korzystną gospodarką lasem.

Spaulding przerzucił rusznicę na drugie ramię; grzebał stopą w ściółce, niechętny do zdania się z taką decyzją na kobietę. Asada patrzył na Woolfa niczym ojciec zwariowany na punkcie syna.

Taryn, niepewna, czy Woolf mówi poważnie, przełknęła ślinę. Szukała w jego ciemnych oczach kpiny albo protekcyjności. Nie znalazła najmniejszego błysku śmiechu. Mówił to, co myślał.

- Korzystna... - zmarszczyła brwi, zastanawiając się. - Co to właściwie znaczy? Masz zamiar sprzedać ten las?

- Zyskowna - ripostował Woolf. - Owocna, użyteczna, opłacalna. Pomyśl. Taryn, ponieważ to twój pomysł.

- No więc dobrze - zaczęła żywo, pobudzona jego szorstkim tonem. - Wynająć wieśniaków... - Przerwała, widząc, że Woolf uniósł brew. - Wynająć - podkreśliła - ich do pracy. Opłacić opałem. - Zerknęła z ukosa na króliki. - I dać im dostęp do dziczyzny w lasach.

Woolf znowu uniósł brew, więc rozwinęła ostami punkt.

- Rzecz jasna pod kontrolą. Polować tak, żeby zostawało na następny rok.

Woolf z uznaniem wyszczerzył zęby. Odwzajemniła się, jakby połączyło ich to samo przyjemne wspomnienie.

- Jak w twojej historii o rybach, Woolf, kiedy byliśmy dziećmi. Ja nie zapomniałam.

Naraz, kiedy Woolf ruszył w jej kierunku, uderzyła ją pewna myśl, kłopotliwa, ale bardzo, bardzo wyraźna, posiadał moc i władzę potrzebną do wprowadzenia słów w czyn, miał tak wiele do zaoferowania Kingsford. Może dobrze się stało, że wyjechał, przyznała niechętnie. Jego buntownicza energia przemieniła się w siłę konstruktywną. Tak samo jak jej ojciec; Woolf był Burnhaman - ekspansywnym, pragnącym rozwoju. Gdyby tylko ktoś mógł nauczyć go dobrych manier, ociosać, może przestałby niszczyć wszystko, co stanie mu na

drodze.

- Spaulding, odwiedź mnie w tej sprawie. - Woolf ujął starego za ramiona. - Opracujemy plan działania. Teraz sprawdzimy, co ze źródłem.

Ze źródłem wszystko w porządku - ze śmiechem powiedział Woolf, gdy wracali od wodospadu na skałach. - Wyliczałaś, co popadnie, po to tylko, żeby...

- Masz rację, Woolf, to nie źródło - przyznała niechętnie, ciągnąc sprzeczkę trwającą już od jakiegoś czasu. Nienawidziła go, kiedy się z niej śmiał. - Ale woda ze źródła rozplywa się w strumieniu.

- Cóż to, teraz będziemy oglądać strumienie? Czy to jeszcze jedna sztuczka wymyślona po to, żeby trzymać mnie z dala od ludzi?

- Skądże. Daję ci ogólny pogląd na system wodny, który w wielu miejscach stracił drożność. I nie tylko to, ale zostawiłeś Asadę przy koniach.

- Biedny Asada ma dokładnie to, czego chce. Teraz prawdopodobnie smacznie sobie drzemie. Nie martw się o niego.

- Jest zmęczony? Może powinniśmy zawieźć go do domu?

Woolf parsknął śmiechem.

- Przysięgam, że nie, Taryn, przestań mu matkować. Mam na myśli to, że w jego głowie roją się teraz plany Skłonienia mnie, żebym tutaj został i...

- I co? - Na samą myśl zadrżało w niej serce. Jeśli ona nie zdoła przekonać go, żeby został, może dokona tego Japończyk? - I co jeszcze?

Zawahał się.

- Jego zdaniem powinienem ożenić się z dziedziczką, żeby uratować Kingsford. Powinienem wrosnąć w ziemię moich przodków i pokierować ludźmi. Bardzo to feudalne.

Taryn kopnęła kamyk; rzekła od niechcienia:

- A może już znalazł ci dziedziczkę... na przykład w Londynie? - Odważyła się zerknąć na niego.

Wiedziała, że patrzy na nią, że spostrzegł jej niedwuznaczne zainteresowanie.

- Nie, on jest zdania, że idealną dziedziczką byłaby kobieta taka jak ty.

Zaparło jej dech z wrażenia.

- Jeszcze bardziej przekonało go do ciebie to, jak sobie wczoraj radziłaś z ludźmi - jak kwoka z piskletami.

- Hmm... - Przyglądała się swoim zakurzonym butom. Twarz jej płonęła, zapomniawszy, o czym w ogóle mówili.

- Ale to niemożliwe. Mówiłem mu, że jesteś zaręczona, no i że chcę sprzedać Kingsford. - Westchnął. - Ale dla Asady przeszkody są tylko wyzwaniem i nie podda się, dopóki ostatecznie go nie przekonam sprzedając majątek.

Przystanęła na skraju drogi, wystraszona jego beztroską. Spróbowała nieśmiało argumentować.

- Dlaczego musisz wyjeżdżać? Teraz to jest twój majątek, a wraz z odejściem Klaudii i Olivera złe wspomnienia także się zatra.

Odwrócił się do niej.

- Potrzebuję pieniędzy na inwestycje. W tym roku kończy się licencja Jobn's Company. Mając dość ich rządów, kupcy i właściciele manufaktur przekupują Parlament, żeby otworzył handel z Indiami dla każdego, kto się zgłosi. Jeśli tak się stanie, przed człowiekiem z pieniędzmi otworzą się nieograniczone możliwości.

- Weź pieniądze z posiadłości.

Woolf potrząsnął głową.

- Taryn, tutaj nie ma pieniędzy, a moje własne zainwestowałem w Country Ships, przedsiębiorstwie, które skupuje towary w małych portach i przewozi je do Indii Wschodnich.

- Jednak twoje pomysły dotyczące Kingsford...

- Kingsford wymaga lat, zanim stanie na nogi. Mogę zacząć dokonywać zmian, ale wymaga to ogromnej pracy i czasu, zanim majątek zacznie zarabiać na siebie, nie mówiąc o podziale zysków. Gotówki potrzebuje teraz. Mój doradca już szuka nabywcy, chociaż rzecz może się przeciągać.

Podeszła do niego bliżej, zdenerwowana jego słowami.

- Dzisiaj rano okazywałeś entuzjazm. A wczoraj zadawałeś mnóstwo pytań dzierżawcom...

Klasnął w dłonie.

- Co nie znaczy, że będę w stanie zastosować wszystkie moje pomysły, po prostu tak myślę. Wszędzie, gdziekolwiek się obrócę, widzę, co trzeba zrobić; jak twój ojciec. Był wspaniały, wystarczy spojrzeć, jaką zgromadził fortunę. Nie miałybyś tej pozycji, gdyby nie on.

- Wiem.

Dobry Boże. wiedziała aż za dobrze.

- Woolf - powiedziała cicho. - Pamiętasz tylko o jednym obliczu mojego ojca. On był także niezwykle odpowiedzialny i ani jego dzierżawcy, ani jego rodzina nie cierpieli z powodu zaniedbywania ich. Nigdy nie odwróciłby się od łodzi w takiej sytuacji jak w

Kingsford - błagała, zaciskając palce na jego dłoni. - Pomyśl o tym.

Naraz, uprzytomniwszy sobie, co czyni, szarpnęła się, ale trzymał ją mocno. Poboczem nadchodził Tom Simpson. Zerknął na nich przelotnie i minął w pośpiechu, odwracając oczy. Woolf zignorował go; puścił dłonie Taryn, uniósł do góry jej brode; przyglądał się jej twarzy. Nie potrafiąc znieść jego wzroku, starała się patrzeć na łąki.

- Zdenerwowałem cię i przykro mi z tego powodu, jednak od początku mówiłem prawdę. Wybierzmy się do wsi. Kupimy smaczny lunch i porozmawiamy.

- Wolałabym wrócić do domu - Boli mnie głowa.

W rzeczywistości, ból był ledwie zauważalny. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo liczyła na to, że Woolf zmieni plany i zostanie w Kingsford. Teraz, gdy pojęła, że nigdy tego nie zrobi, a było to bolesne rozczarowanie, potrzebowała chwili samotności, żeby oswoić się z ciosem. Dlaczego zadreżca się beznadziejnymi przypadkami?

Gdyby miała silniejszy charakter, może wdałaby się w dalszą dyskusję w trakcie lunchu. Mogłaby nawet porzucić dumę i opowiedzieć mu o swoich planach zyskania niezależności; o tym, że nie ma zamiaru wyjść za Gilesa; złożyć siebie i swoją fortunę w ofierze za Kingsford. Gdy usłyszała, że Asada zamierza wyszukać dziedziczkę, bała się, iż Woolf może pomyśleć, że jest niestała i liczy na korzyści płynące z poślubienia hrabiego. Czy byłaby w stanie znieść jego odmowę? Nie miała siły na dalsze z nim zmagania.

- Woolf, porozmawiamy jutro.

Zarzucił jej ramię na plecy. Szli powoli.

- Wobec tego zawiozę cię do domu. Jutro natrzesz mi uszu i poczujesz się. lepiej. Nie martw się, mamy mnóstwo czasu.

Szli polną drogą. Wspierała się na nim, wdychając jego zapach.

Ucieszyła się stwierdziwszy, że Gilesa i jego przyjaciół nie ma w domu. Poszła wprost do Kucharci, by poprosić o proszek od bólu głowy i zasiedziała się, zwierając się ze swego rozczarowania.

- Przypuszczam, Kucharciu, że on nam nie pomoże - powiedziała, zamknawszy oczy. Przełknęła gorzki proszek. - Pożą tym to Burnham, wieczny tułacz.

- Nonsens. W niczym nie przypomina ani swojego wuja Ryszarda, ani Geoffreya, niech Bóg zbawi ich dusze. - Kucharcia wbita dwa jaja do dużej dziczy i zaczęła ubijać je widelcem.

- Nie widzę żadnej różnicy, Kucharciu. Może nie ma skłonności do hazardu, ale jest opanowany żądzą bogactwa, a to co samo.

- Jest po prostu taki jak jego ojciec, jeśli chcesz wiedzieć, a nie było lepszego mężczyzny.

- Justin, ten pirat? Boże mój. Kucharciu, najgorszy ze wszystkich.

- Mówię o rym. jaki był Justin, zanim zniknął i jeśli chcesz wiedzieć, w tym sęk, że przepadł raptem ot tak. z dnia na dzień, bez słowa. - Wlała do naczynia kubek mleka i odmierzyła porcję cukru. - Kochał syna. Nigdy by go nie opuścił Gdyby widział, jak cierpiało serce chłopca, w grobie by się przewrócił, bo i nigdzie indziej ten kochany człowiek być nie może. ja nie wierzę w te bzdury, że ponoć jest piratem. - Trzęsły jej się ręce, kiedy dodawała składniki do miski i mieszała z furją.

- Kucharciu! Ty go kochałeś?

Kobieta zaczerwieniła się.

- Podziwiałam go, moja panno, i to jak. Mając takiego człowieka za ojca, a ten brał go ze sobą wszędzie, tak że mały Woolf podążał za nim jak cień. jakże mógł nie kochać tej ziemi? Problem w tym, że kiedy ojciec zniknął, postanowił go znienawidzić za to, że go zdradził, zwłaszcza kiedy Oliver wziął go pod swoją opiekę. Widziałam, jak rósł i postanawiał sobie, że nikomu nie pozwoli się skrzywdzić. Myślę, że dlatego tak chce być bogaty.

Kucharcia wlała zawartość miski do formy i wsunęła ją do błyszczącego pieca Rumforda.

- Moja mała, jesteś jedyną osobą, jaką pozwolił sobie pokochać. - Otarła rękawem łzę i usiadła na ławce. - Myślałam, że pomożesz mu wygoić rany. - Popatrzyła na Taryn zdecydowanie. - I nie mów mi, moja panno, że on nic cię nie obchodzi. Za bardzo się przy tym upierasz. Dla mojej sprawy jest jasna.

Taryn wpatrywała się w mocno zaciśnięte dłonie Kucharci, która stała przed nią czekając na odpowiedź. Tysiące razy miała zamiar powiedzieć Kucharci o swoich planach odzyskania niezależności, lecz było to zbyt ryzykowne. Przecież nie chciała, żeby Kucharcia była w to zaangażowana, gdyby się nie powiodło. Raz jeszcze zdusiła w sobie chęć zwierzeń. Zamiast tego skupiła się na jej słowach.

Kocha Woolfa? Ledwie go poznaje. Jest obcy. Szorstki, ambitny, bez odrobiny cieplejszych uczuć. Nieustannie się z niej naśmiewa, robi przytyki.

Wsparała się na łokciach i schowała brodę w dłoniach. Co by to było, gdyby go kochała, znowu by ją pokochał? Ona i Woolf. I sprzeczki, jak dzisiaj w lesie.

Po plecach przemknął jej ciepły dreszcz. To by się jej podobało... sprzeczki. Podobało się jej, jak wymyślała mu poprzedniego dnia za to, że zupełnie nie liczy się z dzierżawcami. I

podobało jej się, że go podziwiali. Trwała rozdarta między dumą z tego, że wyrósł na silnego i zdecydowanego człowieka, a złością, że stracił cały chłopięcy urok.

Taryn, nie możesz mieć ich obu. On jest teraz mężczyzną, nie chłopcem, który całował cię na dzień dobry i do widzenia, pomyślała ze smutkiem.

Jest czymś więcej, niż oczekiwałaś, i to cię przeraża, Dotyka cię, twoje myśli wzlatują, a ciało pragnie połączenia z nim, bo stanowicie jedność.

Nieważne, jak próbowała wmawiać sobie, że on jej nie obchodzi; nie była to prawda. Gdy był blisko niej, maleńkie ziarenko miłości, która nigdy nie umarła, rosło i pęczniała. Tak, mogłaby go kochać, gdyby jej na to pozwolił. Kuszące wyzwanie, wielka przygoda na całe życie. Gdyby się jej znowu oświadczył, być może potrafiłaby sprawić, by znowu należał do niej.

Gdyby babcia miała wąsy...

Może kochał ją, kiedy odchodził, ale troskliwy mężczyzna powinien znaleźć jakiś sposób na to, żeby zobaczyć, jak się ukochana miewa, czy jest bezpieczna, szczęśliwa, czy się nie zmieniła.

Jeśli kochał ją teraz, choćby troszeczkę, powinien być zachwycony tym, że jeszcze nie wyszła za mąż, powinien bezgłośnie szeptać najśodsze wyznania miłosne i znaleźć sposób na odciążenie jej od Gilesa.

Nie, nie kochał jej, za to jej uczucie do niego, do łotra, jakim się stał, dojrzywało w tempie alarmującym, a przecież nie jest sentymentalną heroiną z powieści, roztkliwiająca się nad samą sobą. Próbowała skłonić go do pokochania Kingsford, rozczulić jego serce, i na nic się to zdało. Zrobi teraz coś lepszego, da mu to, czego pragnie jego dusza i zrobi to szybko.

Spojrzała na Kucharcię z chytrym uśmiechem.

- Mam pomysł, który może uratować Kingsford. Muszę tylko dać Woolfowi swobodę wyjazdu. Poślesz Alicję z kartką do niego?

Kucharcia skinęła, a gdy Taryn zaczęła myszkować po kuchni w poszukiwaniu papieru i ołówka, wstała i podeszła do otwartych drzwi.

- Jedyne problemy z życiem, moja mała, polega na tym, że innych do niczego nie można przekonać. Ani dzieci, ani tych, których kochamy, ani wrogów. Możemy tylko walczyć o to, co chcemy osiągnąć, jak najlepiej wykorzystać to, co wychodzi nam naprzeciw i modlić się o resztę.

Odwróciła się, czekając, aż Taryn wręczy jej kartkę.

- Idź teraz, przytul głowę do poduszki. Niech te proszki na ból głowy zaczną działać.

Zabiję go! - wściekał się Giles, tłukąc dłonią w gzyms nad kominkiem.

- Uspokój się. - Oliver oparł się o zagłówek kanapy i machnął na syna wymanikiurowanymi palcami. - Tom powiedział, że stali na środku drogi i wyglądali, jakby się kłócili.

Kludia przeszła przez pokój, stanęła przed mężem.

- Ich trzeba rozdzielić, Oliverze - powiedziała twardo. - Ona zawsze miała do niego słabość. To tylko kwestia czasu, żeby zaczęła myśleć tak jak on.

Oliver zastanawiał się chwilę i przytaknął.

- Pakujemy się. Zabierzemy ja do Londynu. Giles się nią zajmie. A ty, Kludio - powiedział chłodno - na jakiś czas przestań ją zdręczać. Ani trochę nie poprawia to naszej sytuacji.

Rozzłościła się. ale skinęła głową.

- Kiedy możemy wyjechać?

- Wieczorem, jeśli chcesz.

- Bądź rozsądny, Oliverze - zaprotestowała gwałtownie. - Moi przyjaciele pomyślą, że powariowaliśmy...

Oliver wzruszył ramionami.

- Wobec tego jutro rano. Wcześniej. Tymczasem - mruzczał zadowolony z siebie, ponieważ wyjawiał zamysł, który poraził oboje - wikary ogłosi pierwsze zapowiedzi.

Kludia odezwała się pierwsza.

- Oliverze, na zaplanowanie wesela potrzeba nam więcej niż trzy tygodnie. Muszę mieć co najmniej trzy miesiące.

Giles stał oszołomiony.

- W najbliższą niedzielę - powiedział chłodno Oliver, - Nie chcę, żeby Woolf nam przeszkodził.

Kludia się wściekła.

- Musisz zawiadomić wikarego; co najmniej dwa tygodnie. Takie jest prawo. Chcesz, żeby wszyscy kwestionowali twoje motywy?

- W porządku - ustąpił. - Zrobimy wszystko jak należy, ale z nilom o tym nie rozmawiajcie, nawet z Taryn, póki pierwsze zapowiedzi nie zostaną odczytane. Jutro wyślemy wikaremu wiadomość i w pięć tygodni od najbliższej niedzieli Taryn i Giles zostaną małżonkami.

Giles roześmiał się:

- Naprawdę zwariowałeś, skoro myślisz, że da się utrzymać tajemnicę. Ten gaduła

wikary w dwie minuty rozniesie ją po wsi.

- Potrafię go przekonać, by tego nie robił - odrzekł Oliver z nieprzyjemnym uśmiechem. - Wiadomość przekażę mu osobiście - oznajmił i wyszedł z salonu.

Kiedy pewny swego Oliver z wawo podążał do domku wikarego, nastrój w sypialni pana na Dworze Kingsford daleki był od harmonii.

Woolf odrzucił pościel i usiadł, przeklinając cały świat Schwycił leżącą na nocnym stoliku wiadomość od Taryn i czytał ją raz jeszcze. Kupią od ciebie Kingsford. Porozmawiamy o tym jutro.

Był przemęczony i potrzebował snu. jednak kłębiące się w głowie myśli nie dawały mu spać. Zadręczał się rozpatrując najprzeróżniejsze odpowiedzi na jej ofertę; powracał do wspomnień dwu minionych dni. Jeśli jego umysł musiał już zwalczać idiotyczne emocjonalne majaki, niechby robił to w czasie snu, a jemu pozwolił obudzić się z gotowym, praktycznym i mądrym rozwiązaniem.

Rozsądek zawiódł go w dwu przypadkach: kiedy skoczył pomiędzy Taryn a bat Quinna i gdy pozwolił sobie na nadzieję; że ona go pokocha. W zamian spotkał go tylko ból.

Wrócił do domu po prostu dlatego, żeby ocenić wartość majątku, a nie po to. by snuć fantasmagorio na temat Kingsford, Taryn i własnej przyszłości. Był silny i praktyczny z usposobienia, co powinno mu pozwolić wyrzucić z głowy niechciane wspomnienia z dawnych lat i iść wybraną przez siebie drogą.

Tymczasem jego umysł zdradzał go w chwili, gdy najbardziej go potrzebował.

A może, zastanawiał się niespodziewanie czujny, może właśnie teraz jego umysł ostrzega go, że idzie złą drogą? Ile to razy uniknął niebezpieczeństw, bo gdy brnął w kłopoty, baczny intelekt przestrzegał go na czas?

Uważaj, Woolf.

Sięgnął po szlafrok w nogach łóżka, założył go i podszedł boso do kominka, gdzie polana żarzyły się radośnie, jakby uradowane tym, że w końcu się przełamał. Zanurzył się w starym, zniszczonym fotelu, pochylił się i dorzucał drew do ognia. Nie próbując dłużej kontrolować swoich myśli, oparł się wygodnie i słuchał.

Jego umysł prowadził go do kontemplacji całego minionego życia.

Samotność. To słowo dobrze oddaje początek.

Jako dziecko cieszył się bezgraniczną miłością rodzicielską, lecz gdy ojciec zniknął nagle, chłopiec poczuł się zapomniany, nieważny wrak obijający się po Dworze. Buntował się wobec takiej niesprawiedliwości i z całych sił próbował uczynić życie innych tak samo

nieszczęsnym jak jego własne. W końcu wysłano go do chaty w lesie, bo nikt nie mógł go znieść.

Ryszard i Geoffrey przenieśli się do Londynu. Wuj na odjeźdym poklepał go po głowie i przekazał pod opiekę Olivera. Nieszczęście chłopca zmieniło się w koszmar. Myślał tylko o tym, żeby unikać bata Quinna. Oczywiście uciekał, ale Oliver zawsze ściągał go z powrotem, za każdym razem karząc coraz surowiej.

Zamknął się w sobie i odkrył przyjaciela - wolny, niczym nie spętany umysł. Bat Quinna doń nie sięgał.

Jakże oni szybowali, on i jego umysł. Żaglowali statkami przez ocean, pędzili wzgórzami na nie okiełzanych ogierach, wzbijali się do słońca na skrzydłach wielkiego sokoła. Stali się buntownikami. Zdobywali Dwór mieczem, wszędzie lała się krew. Więzili Ryszarda i Geoffreya w lochach, a sami gnali do Londynu, by tam szukać uciech.

Przez całe lata jego umysł cierpiał z poczucia samotności - na rejach przy takielunku, nocami w koi, w lichej kompanii. gdy nie chciał grzęznąć w bagnie.

Umysł, najbliższy przyjaciel, przywrócił go do życia, choć przez to dano mu przydomek „samotnik” i „marzyciel”.

Był zawsze w ruchu, czym często budził gniew w kompanach, którzy powiadali sarkastycznie: „masz okazje, to się prześpij”. Uważali, że Woolf z książką w ręku jest śmiertelnie nudny, ale było jeszcze gorzej, kiedy wpadał w głęboki trans i nie można było skłonić go do rozmowy.

Nie dzielił się z nikim swoimi myślami, ponieważ były równie szalone, jak jego postępowanie. Każda sytuacja, każda nowa osoba, każdy interes, wszystko, co napotykał, wzbudzało w nim nie kończące się rozważania o tym, jak obrócić na w fortunę. Na przekór utyskiwaniom Asady, zdobył bogactwo. W tej chwili posiadał niewiele pieniędzy, ale tylko dlatego, że mądry człowiek nie pozwoli, żeby nawet jeden szyling leżał bezużytecznie. Inwestował.

Teraz zaś przydarzała się największa od lat sposobność - a planował płynąć rzeką złota! - wolny handel z Indiami Wschodnimi. Dlatego potrzebował gotówki. Wystarczyło powiedzieć Taryn: tak.

Jednakże jego umysł nie chciał mu na to pozwolić. Przeciwnie, flagi łopotały na alarm, gwizdki świstały, kościelne dzwony dzwoniły ostrzegawczo.

Trzeba uważać. Teraz.

Pierwszą myślą, jaka go zaatakowała, było wspomnienie oskarżeń, że jest taki sam jak Oliver. Całą noc słyszał jej słowa, obwiniające go o zbrodnie niewymowną, słowa, które

zmuszały go do przyznania, że jest w nich może ziarnko prawdy. Tak, sprzeda Kingsford. Nie, jej ojciec, którego podziwiała, nigdy by tego nie zrobił.

Poruszył się niespokojnie w fotelu - nie było mu wygodnie gdy kłócił się zawzięcie sam ze sobą. Oczywiście, że sprzeda Kingsford. Dlaczego by miał zmarnować życie tracąc okazję skoro wszyscy wiedzieli, że jedynym sensownym towarem jest pieniądz?

Właśnie, przez ostatnie dwa dni prowadził na okrągło tę samą batalię, próbując trzymać się głosu rozsądku, choć cały czas targały nim emocje. Szalał widząc zbrodnicze zaniedbanie majątku. Podniecały go plany wykorzystania własnej energii, które układał odwiedzając z Taryn kolejne farmy i nie wykorzystany las.

Rozsądek drwił z niego, podpowiadając, że każdy plan przywrócenia dziedzictwu dawnej świetności przyniesie zysk o wiele za późno. Lecz co za wyzwanie! Gdy uciszał głos rozsądku i wsłuchiwał się we własne serce, czuł, że zwyczajne wyłożenie pieniędzy na projekt wschodnioindyjski, by potem patrzeć, jak się błyskawicznie mnożą, przestało go inspirować.

Nawet jeśli wydzwignięcie Kingsford miałyby natrafić na trudności, zostawała głęboka duchowa satysfakcja z poprawy losu jego mieszkańców.

Rozsądek czy emocje? Odejść czy zostać? Sprzedać czy budować? Ratować czy porzucić? Mógłby tak zrobić? Zostawić Kingsford na lasce Olivera, umyć ręce, dobić targu z Taryn?

Nie.

Najbliższy przyjaciel, umysł, nie opuścił go tej nocy, tylko nalegał, by kierował się sercem. Jak dotąd umysł doprowadził go bezpiecznie do dojrzałości, pomagał łączyć harmonijnie władczy rozsądek i nieobliczalne uczucia, sprzymierzać siłę z sercem.

Różnica między mną a Oliverem polega na tym, uświadamiał sobie z satysfakcją, że on niszczy, a ja nie zrobiłem tego nigdy. I nie zrobię tego z Kingsford. Zostanę i zażądam swego. Będę budował.

Zaczerpnął głęboko powietrza. Powzięcie decyzji wyzwoliło go z matni, Wpatrywał się w płomienie, teraz jaśniejsze niż przed chwilą, i poczuł falę czystej energii, jaka poprzedzała wszystkie jego sukcesy.

Wstał i popędził do sypialni Asady, który natychmiast się obudził i skoczył na równo nogi, jak zawsze gotów do walki. Równie dobrze jednak mógł wysłuchać nowych zamierzeń Woolfa.

- Proszę - powiedział dziedzic Dworu uśmiechając się szeroko i unosząc dłoń w obronie przed pouczeniami - nie wypominaj, ile razy mi co mówiłeś. Przyjacielu, podjąłem

decyzję. Zostaję w Kingsford. Zażądam respektowania moich braw dziedzicznych. Moje wielgachne nogi wrosną w ziemię przodków.

Asada odwzajemnił uśmiech, dumny, że są razem w tak doniosłej chwili.

- *Mateba kanro no hiyori ari* - oczekiwanie przynosi dzień szczęścia; Pochylił głowę w ukłonie pełnym szacunku. - Osiągnąłeś to, co ujrzałem w tobie, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Jesteś wielkim wojownikiem, który z honorem obroni swoje królestwo.

Woolf wrócił do swojego pokoju. Choć był rad, że uzyskał błogosławieństwo Asady, lecz irytował go fakt, że nie posłuchał jego rad i że trzeba było aż oskarżenia Taryn, by pojął prawdę.

Kładąc się spać rozmyślał o tym, jak przemienić oskarżycielski ton Taryn w podziw. Nie zważając na to, że mają z sobą na pieńku, wyobrażał sobie, jak śmieją się z własnych dziwactw. Razem.

Woolf i Asada wstali przed świtem. Chcieli się naradzić, jak postawić Kingsford na nogi. Zajrzeli do kuchni, gdzie dostali kubki gorącej kawy. Podziękowali za parujący płyn, który ogrzał zziębnięte dłonie, i wyszli na obchód wzgórze, na którym stał Dwór.

- Spaulding będzie potrzebował robotników, by uporać się z tą dżunglą - stwierdził Asada; patrzył, jak starzec, o którym była mowa, z trudem podąża drogą w kierunku Dworu. - Budynek jest zadziwiająco solidny, zważywszy zaniedbania. Północne skrzydło wymaga nowego dachu, trzeba też wymienić tam okna. Dobrze byłoby napalić we wszystkich pokojach, żeby je wysuszyć.

- Z biblioteki należy usunąć dywan - powiedział z goryczą Woolf. - A także zniszczone książki, i będziemy musieli rozejrzeć się za materiałem na podłogi. - Zamyślił się. - Moja matka hodowała tu róże pnące się aż do bibliotecznych okien, tak że czuła ich zapach nawet w salonie piętro wyżej. Zabawne, że to jeszcze pamiętam. Matka zmarła, kiedy miałem siedem lat.

- Woolfesan, człowiek przechowuje w sobie całe swoje życie, jak gobelin. Potrzebna jest tylko chwila medytacji w spokoju, by uwolnić pamięć niczym ptaka z klatki.

- Muszę pamiętać, żeby unikać tych szczególnych doświadczeń, Asada - odrzekł Woolf sucho. - O wiele łatwiej jest myśleć o przyszłości. - Wskazał na drogę. - Strumień u podnóża wymaga drenowania, tak samo niektóre partie rzeki.

Zachwycony roztropnością tych planów Asada zauważył:

- W Japonii staramy się, by każde miasto zaopatrywało się w wodę z dwu rzek. a nie jednej.

- Wobec tego - oznajmił Woolf kierując się na tyły budynku - uczynię cię odpowiedzialnym za drogi wodne w Kingsford. Rzecz jasna - nadmienił z uśmiechem - będziesz musiał negocjować z Taryn. - Otworzył drzwi do kuchni. - O, pani Parsons, kobieta, jakiej potrzebuję. Zapamiętaj sobie, proszę, co ci powiem. Po pierwsze, należy rozpalić ogień we Wszystkich kominkach, żeby osuszyć Dwór. Dywan w bibliotece ma być zdjęty... będę tam decydował osobiście, które książki da się uratować, a które nie.

- Panie - próbowała oponować, wspierając się o stół - już wyjaśniałam wczoraj...

- Wiem, że nie możesz wszystkiego robić sama. Za chwilę będzie tu John Spaulding, ma zająć się służącymi...

- Stary John Spaulding? Chyba nie oczekujecie, że będę przyjmować polecenia od

tego starego grzyba?

Lekceważąc jej lament, kończył wydawać instrukcje:

- Powiesz mu, ilu potrzebujesz służących, a on ich przyprowadzi. Tymczasem przygotuj nam śniadanie, a polem zajmij się kominkami.

Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Spauldinga.

- Punktualnie - oznajmił Woolf. - Pani Parsons, proszę przynieść śniadanie dla nas trzech do jadalni. Wchodź, Spaulding. Zostaw torby w sieni. Później wybierzesz pokój dla siebie.

Pani Parsons zapiszczała na widok szkockiego teriera drepcącego obok Spauldinga.

- Zabierz siad tego psa. Nie chce w domu żadnego szczurołapa. To zniewaga!

- A niby dlaczego mój pies miałby znieważać ten dom? - odrzekł Spaulding z irytującą godnością. Wszedł za Woolfem i zamknął za sobą drzwi.

Usiadł. Spaulding wepchnął do kieszeni sukienną czapkę i przystąpił do rzeczy:

- Przede wszystkim pani Dresden, kucharka z Wierzbówki, przesyła pana wiadomość. Panienska Taryn zawiadamia, że Oliver zabiera dziś rano rodzinę do Londynu. Spotka się z tobą po powrocie.

Nie zwracając uwagi na zmieniony nagle wyraz twarzy swojego pracodawcy, Spaulding beztrąsko mówił dalej:

- Wczoraj po południu, gdy panowie odjechali, zacząłem kalkulować: pierwsza rzecz, jaką należy zrobić, to naprawić zniszczone okna...

W południe, po wysłuchaniu planów Spauldinga i wyrażeniu zgody na wszystkie proponowane zmiany, Woolf siedział w gabinecie. Promienie słońca padały mu na twarz. Dopiero co skończył wewnętrzną walkę z emocjami i upewnił się, że o wiele lepiej będzie zaskoczyć Taryn, pokazując po powrocie, jakich cudów dokonał podczas jej nieobecności, niż opowiadać o intencjach. Od tej chwili interesowało go już tylko działanie.

I tak, z gęsim piórem w dłoni, bacząc, by nie parsknął śmiechem, odbywał wielce zabawną rozmowę z przyjaciółmi Geoffreya, których Lionel przedstawił mu podczas stypy.

- Widzi pan zatem, lordzie Kingsford jesteście wysłannikami tych osób, których listy zastawne znajdują się w pana rękach. Był pan kuzynem Geoffreya, uważamy pana za kogoś prawego, kto zapewne okaże nam zrozumienie. Nie - wicehrabia Lodges przełknął ślinę i zerknął na George'a Humbolta - nie, żebyśmy nie mieli honorować naszych obietnic, ale między nami, w obecnej chwili nie możemy im sprostać.

- Jeśli dobrze zrozumiałem, wy, Geoffrey i reszta, by okazać, jakie to z was morowe

chłopy z kupą forsy, uprawialiście hazard we własnym wyselekcjonowanym gronie, przepuszczając między sobą wciąż te same pieniądze?

- Zaczęliśmy w szkole - przyznał George, odwołując się do naiwności młodego wieku.

- A kiedy znaleźliśmy się w Londynie, zaczęliśmy tracić uposażenia, zanim kończył się kwartał. Nasi ojcowie podnieśli krzyk, że wobec tego jeszcze bardziej je pomniejsza, więc powróciliśmy do zwyczajów szkolnych, rozumie pan?

Przypominali pokutników przed wrotami nieba. Woolf omal nie ryknął śmiechem. Odgrywał przed nimi surowego pana, nie dając poznać po sobie, że ich pomysłowość budzi jego podziw. Przy nich czuł się, jakby miał sto lat, a ostatnie dni jeszcze bardziej go postarzały. Czekali na jego decyzje, trzęsąc się ze strachu, że mógłby uchylić rąbka ich tajemnicy.

- Przyjdźcie jutro, panowie - powiedział poważnie. - Muszę się nad tym zastanowić.

Młodzi mężczyźni wstali i uklonili się. po czym czmychnęli, jakby Woolf podpalił im spodnie.

Gdy byli już wystarczająco daleko, Woolf spojrział na Asadę i obaj wybuchnęli śmiechem.

- Asada, nie wiem, co mam z tym zrobić - sapał Woolf. - Nie mogę posiać tych dżentelmenów do pracy przy pogłębianiu rzeki albo do połowu ryb na morzu.

- Puść ich wolno i zapomnij o dziecinadzie.

- Nonsens. Uczyłem na te pieniądze. Jeśli to miejsce wkrótce nie zacznie zarabiać na siebie, mogę wyjechać już teraz.

- Dobrze, jeśli mamy znaleźć sposób na wykorzystanie sytuacji, najpierw musimy odkryć, jaka działalność rozwija się na wybrzeżu. Co przynosi zyski w Brighton? W jaki sposób oni przyciągają ludzi zamożnych?

- Poza przyjęciami i podziwianiem księcia regenta organizują wyścigi konne, morskie kąpieliska, miejsca, gdzie goście popijają wody i leczą się. Łaźnie, różne pawilony i biblioteki... no i zwykłe rozrywki.

- A twoi młodzi hazardziści co jeszcze robią dla zabawy?

- Cóż - zastanawiał się Woolf. - Na pewno hazard i wyścigi. ale ostatnio mają bzika na punkcie powożenia końmi. Przekupują woźniców, siadają na ich miejscach i stają się postrachem dróg.

- Interesujące - konstatawał Asada z wymownym uśmiechem, który przykuł uwagę Woolfa. - A my nie mamy gruntu pod wyścigi konne ani zajazdu.

Woolf w odpowiedzi błysnął zębami.

- Myślę, że nadszedł czas, by señor Esteban stał się dla Kingsford pożyteczny.

W ciągu godziny byli w Heritage. Esteban roześmiał się serdecznie na ich widok.

- Gratuluję, panowie. - Oparł się w fotelu i jeszcze raz się zaśmiał. - A więc, Kingsford, znalazłeś sposób, żeby wydostać od młodzików pieniądze Geoffreya, nie ujawniając ich gry ani nie narażając ich dumy. - Przerwał i dodał po chwili. - Widzę po twoim spojrzeniu, że nie mówisz mi o tym bez powodu.

Woolf, uradowany spostrzegawczością gospodarza, wyjaśnił:

- Rzeczywiście, señor Esteban. Podziwiając twoje innowacje pomyślałem sobie, że mój plan może cię zainteresować. Mam dla ciebie propozycję związaną z naszymi młodymi hazardzistami.

Esteban z zainteresowaniem uniósł brwi, a Woolf pogrążył się w wyjaśnieniach planu, który omówili podczas drogi do Heritage.

- Potrzeba panu znacznie więcej gości, żeby pańska austeria ruszyła, a Kingsford potrzebuje dopływu gotówki. Proponuję zyskać jedno i drugie wprowadzając rozrywki, które kwitną w Brighton. Ludzie zaczną napływać ze wszystkich stron, zwabieni hazardem, a właściciele koni dadzą swoje stawki z nadzieją na zrobienie fortuny. Prawdziwe pieniądze zarobią inni...

- Właściciele torów wyścigowych i hoteli - wtrącił Esteban ze znanstwem.

- I kupcy w mieście - dokończył Asada.

Woolf przystąpił do konkretów.

- Proponuję zbudowanie terenu wyścigowego na cyplu niedaleko austerii. Pan da gotówkę, ja dam ziemię i pracę. Zyski podzielimy po połowie.

Gospodarz zamrugał zaskoczony, ale kiwał w zaciekawieniu głową.

- Jeśli się zgodzę, moglibyśmy wysłać kogoś, żeby najął tych ludzi, którzy projektowali tereny Brighton, jeśli oni jeszcze tam są.

- A ja wyślę moich młodzieńców i powrotem do Londynu, żeby rozpuścili wieści między przyjaciółmi. Gwarantuję, że pojawią się tu całe masy chętnych do gry.

Asada odwrócił się w stronę Woolfa.

- Mówiłeś, że ci wasi młodzi Anglicy są zwariowani na punkcie powożenia. Z tego też da się ciągnąć zyski.

Pomysł chwycił; zamilkli na chwilę, po czym rozmawiali z jeszcze większym ożywieniem.

- Wiem też, że robi pan zakupy u miejscowych przemytników - powiedział Woolf szczerząc zęby do zdziwionego Estebana. - A ja odkryłem we Dworze moc ukrytych

importowanych dóbr, na które nikt nie ma Kwitów. Przejmę dostawy dla pana, dając niewielkie dyskonto. Czego nie będę mógł sprzedać panu, sprzedam w sklepach, które otworzymy dla napływających gości.

Jak dotąd, zdumiony Esteban trwał w milczeniu.

Woolf, jak zwykle, zaczynał się ekscytować, zastanawiać, co pomyślałaby Taryn, żalując, wbrew rozsądkowi, że nie ma jej na miejscu. Mógłby opisać im jej oczy pełne oburzenia. Następną propozycja, pomyślał z uśmiechem, także zapewne by ją przeraziła.

- Moi dzierżawcy to osobny temat. Oliver zamienił farmy w gospodarstwa przydomowe, a większość ziemi przeznaczył pod wypas owiec. Baranina z południowego płaskowyzu cieszy się uznaniem w całej Anglii, co bierze się stąd, że owce wypasane są na tymianku, o czym nie omieszkali powiedzieć mi moi pasterze. Rozumie więc pan, że byłbym głupcem wstrzymując podobne przedsięwzięcie. Dzierżawcy powinni się opłacać, inaczej są tylko pasożytami. Być może w to także, señor Esteban, mógłby pan wejść. - Uśmiechnął się widząc czujność rozmówcy. - Jak wiele prowiantów kupuje pan w Kingsford?

Esteban przyglądał się bacznie, ale jego oczy mówiły, że chętnie by się z Woolfem pospierał.

- Muszę przyznać, że niewiele, ponieważ ludzie są biedni, a sklepy słabo zaopatrzone.

- Właśnie - podchwycił Woolf. - Jednak czy wie pan o tym, że gospodarstwa w Kingsford mają tacie zapasy win z różnych owoców leśnych, że mógłby w nich pływać pański kuter? Jagody są tutejsze, rosną wzdłuż strumieni..

- Mówi pan? - Esteban wychylił się do przodu zacierając ręce.

- Mamy hodowcę świń z całkiem sporym gospodarstwem. Szlachtuje je i wędzi własne boczki, szynki... Kłopot w tym, że nie ma gdzie tego sprzedać. Ponadto - ciągnął coraz bardziej rozpalony tematem Woolf - na każdy dostarczony przez moich ludzi towar utrzymam pańską obecną cenę. Jeśli otrzymamy wyłączność, otrzyma pan, oczywiście, dyskonto.

- Niczego sobie przedsięwzięcie - oznajmił Esteban, a w jego oczach błysnęło prawdziwe zainteresowanie. - Muszę to rozważyć. Ale jaką mam gwarancje, że jeśli sprzeda pan Kingsford, przyszły właściciel uzna pana kontrakty?

- Powiniennem był wspomnieć o tym na początku, señor Esteban. Nie sprzedaję. Zostanę tutaj i sam zajmę się zarządzaniem.

Obserwował reakcję gospodarza - udawało się, że jakby osłabi. Woolf nie wiedział, co oznaczała gasła zmiana koloru jego twarzy, ale nie zdziwiła go odpowiedź.

- No więc dobrze, zejdźmy na dół zająć się interesami.

Kilka godzin później, po żywych negocjacjach z Estebanem. Woolf zostawił Asadę we Dworze, żeby razem ze Spauldingiem zaplanował prace wodne, i ruszył dwukółką w stronę domu pani Maloney. Zapukał do drzwi frontowych, ale wiedząc, że kobieta nie usłyszy go z kuchni, nie czekał, aż otworzy i zaszedł od tyłu.

Zapukał znowu i poczekał z wejściem na odpowiedź. Pani Maloney wstała na powitanie i dygnęła z godnością, która go ujęła. Czepek na głowie staruszki trzymał się prosto, nakrochmalony, bufiasty, jak być powinno. Obecność lorda ani trochę jej nie onieśmiałą. Znała swoją wartość, a jeśli inni jej nie doceniali, to trudno.

- Pani Maloney, przyjechałem, żeby zabrać panią do Dworu.

- Najwyższy czas - oświadczyła.

- Tak, madame - odrzekł powstrzymując uśmiech. - Przyślę kogoś po rzeczy. A może woli pani spakować się teraz?

- Jestem spakowana - odparła wskazując kufer obok fotela. - Czekałam na pana cały dzień..

- Świetnie - uśmiechnął się w końcu, pokazując lepszą stronę swojej natury. Podniósł kufer, a jego właścicielce wytwornym gestem zaofiarował ramię. Oparła się na nim i trzymała mocno, gdy przedostawali się przez labirynt zgromadzonych w kuchni mebli.

Po kilku minutach byli już we Dworze. Woolf wprowadził ją przez drzwi od frontu.

- Pani Parsons? - krzyknął.

Nikt nie odpowiadał. Po chwili w holu pojawił się Asada. Pokręcił głową.

- Idźcie lepiej do kuchni i uspokójcie tę starą wiedźmę.

- Pójdziemy? - spytał Woolf, a Maloney przytaknęła z rozkoszą.

Pani Parsons stała pomiędzy kilkunastoma torbami; była wściekła. Terier leżał przed nią, machając ogonem; przednimi łapami przyciskał wielkiego szczura.

- Odejdę, sir, jeśli nie pozbędziecie - się Spauldinga i jego psa - piekliła się pani Parsons.

- Dobrze - powiedziała ostro pani Maloney. - Nie ma o czym mówić. Zabieraj torby i swój zadek z mojej kuchni.

Taryn popatrzyła w lustro i powoli obróciła się, spoglądając przez ramię na tył jasnoniebieskich dessous z połyskliwego, modnego materiału. Westchnęła z przyjemnością, ponieważ Londyn był prawie taki, jak sobie wymarzyła. Uwielbiała kupowanie - butów, czepków, ozdób z piór, rękawiczek, cudownej bielizny. Tak samo lubiła przymiarki, przysłuchanie się, jak suknie materializują się według jej chęci, zmieniając, także i ją samą.

Lubiła tę nową Taryn.

Jestem śliczna, myślała uśmiechając się. Nie miała pewności czy to za sprawą zręcznego przycięcia gęstych, ciężkich włosów, które teraz miękko okalały twarz i spływały do łopatek, a nie jak dawniej do talii, czy kolorów, jakie teraz nosiła; piękne miękkie pastele, dodające jej cerze i różu, i bieli. A może był to skutek kroju sukien, modelowanych przez ciętą Francuzkę, która od razu znienawidziła Klaudię, toteż wszystkie jej nieprzyjazne i protekcjonalne zalecenia, co do strojów Taryn zastępowała własnymi wspaniałymi projektami.

Otwarcie jadowite spojrzenia Klaudii nie były jedynym dowodem na to, że wygląd Taryn znacznie się poprawił; także szok, jakiego doznała zerknąwszy szczęśliwie w lustro między j oknami.

Po raz pierwszy mężczyźni przyglądali się jej, a intensywność ich spojrzeń mocno ją onieśmiałą. Młodzi mężczyźni stawali oniemiałymi podczas prezentacji, a doświadczeni hultaje zaczęli ją uwodzić na poważnie. Bardzo to było rozkoszne!

Giles natomiast prawdziwie szalał, co pochlebiało jej, choć wstydziła się do tego przyznać. Spod oschłych dotąd manier coraz częściej wymykała się szczerą aż do przesady zazdrość. Oczywiście jedynie przez zwykłą ciekawość nie mogła się doczekać powrotu do Kingsford - chciała ujrzeć, jak Woolf otwiera usta ze zdumienia. Zastanawiała się, czy spadnie do kategorii oniemiałych młodzików, czy też będzie chciał ją uwieść. Umierała z ciekawości, ale ukrywała ją w czarującym, Właściwy damie sposób.

Wciągnęła rękawiczki, uśmiechając się na samą myśl, że ona, Taryn Burnham, schodzi na obiad, a potem udaje się z Gilesem i jego przyjaciółmi do teatru, ani trochę nie bojąc się ludzi, choć nie wie, ilu ich będzie. Miała jedynie uśmiechać się, dygać i słuchać, odkryła bowiem, iż Londyn pięknym kobietom wybaczają niemal wszystko.

Konwersacja podczas obiadów była najłatwiejsza, wystarczyło tylko zapamiętać jakąś plotkę i powtórzyć ją w możliwie najwymyślniejszy sposób albo rozmawiać o strojach, teatrze, o balach. Nie wolno tylko, pomyślała nie bez przykrości, wspominać o książkach.

Musiała przyznać, że miała trochę skrupułów. Nie zawracała sobie nimi specjalnie głowy, ale każdy głupi mógłby przejrzeć absurdalną maskaradę, którą odgrywała jej rodzina. Postanowiła bawić się nią, póki może. Te ich londyńskie maniery...

Klaudia, nowa Klaudia stała się dla niej wszystkim, co można sobie wymarzyć dla dojrzewającej sieroty. Słodki uśmiech już nie zapowiadał nowych okrucieństw. Gdy Taryn miała jakieś problemy z nie znanymi jej londyńskimi obyczajami, pełna troski Klaudia natychmiast spieszyła jej z pomocą. Podczas publicznych wystąpień nie chciała już mieć przy

sobie głupiutkiej dziedziczki, posłusznej niczym pokojowy piesek; przedstawiała ją teraz jako ukochaną córkę siostry. Taryn prawie uwierzyła, że ciotka zmieniała się w prawdziwą, dobrą matkę chrzestną. Prawie.

Nowy Giles, w przeciwieństwie do tego, do którego się; przyzwyczaiła, zaczął grać jej na nerwach. Jego nowo odkryte uczucie kazało jej porównywać zabiegi kuzyna z zachowaniami Woolfa: każdy dotyk Kingsforda przyprawiał ją o bicie serca, co nie znaczy, że nie lubiła Gilesa. Nawet jeśli jako dziecko często ją drażnił, miała dla niego wiele sentymentu, szczególnie kiedy Woolf odszedł, a Giles wstawiał się za Taryn u matki. Wiedziała, że Giles jej potrzebował i to jego uzależnienie od niej sprawiało jej nawet niejaką przyjemność. Woolf natomiast odtrącał jej sympatię; wolał cierpieć w samotności.

Oliver, który przybył do Londynu rażeni z nimi, zostawił Klaudii wolną rękę co do wydawania pieniędzy na ubiory dla Taryn. Znacząca to zmiana.

Gdyby którakolwiek z nich okazywało wcześniej tak szlachetne przymioty, nie byłaby czujna, podejrzliwa i sceptyczna. Poza tym przytłaczali ją i tęskniła do chwili samotności. Chętnie wróciłaby już do Kingsford, sama.

Pewnego dnia wymknęła się pokojówce i wzięła dorożkę do biura pana Fletchera, ale dowiedziała się, że prawnika nie było tam od kilku dni. Stropiona, zapewniała sama siebie, że Woolf zajął się jej sprawami i doradzi coś, kiedy się znowu zobaczą. Niepokój wzrósł, gdy zorientowała się, że krewni zajmują jej każdą chwilę. Nie miała czasu zdrzemnąć się za dnia ani myśleć czy planować czegokolwiek. Zaczęła podejrzewać, że pozwalając im na takie traktowanie, zachowuje się tchórzliwie.

Wśród tych chaotycznych przemyśleń zastanawiała się też nad tym, co robi Woolf, jakie gniazdo szerszeni właśnie - rozgrzebuje, jak wiele nieszczęść spowodował swoim grubiaństwem. Czy podczas jej nieobecności nie sprzedał Kingsford?

Najbardziej jednak zbijało ją z tropu, że złość na Woolfa zaczęła maleć. Ubolewała nad stanem majątku, tęskniła za domem, co jeszcze gorzej usposabiało ją do Kingsforda. Próbowała przypomnieć sobie wszystkie jego grzechy w nadziei, że może w ten sposób znajdzie siłę, by się od niego uwolnić.

Woolf był w swoim żywiole. Mieszkańcy Kingsford, zarażeni jego energią, zwijali się jak w ukropie.

Señor Esteban wyłożył na budowę torów wyścigowych na cyplu ogromne pieniądze, ofiarowując nadto swoje niezwykle zdolności organizacyjne. Młodzi hazardziści Woolfa z entuzjazmem głosili światu sensację i każdego dnia zwiększały się szeregi oszalałych

gladiatorów ryzyka.

W dolinie rada gminy, działająca pod przewodnictwem Rolfa, właściciela Latającej Gęsi, prześcigała się w ściąganiu ze wzgórz gości, którzy mieli dość pieniędzy, by je wydawać w Heritage.

Rodziny zwoływały do pomocy krewniaków z okolicznych miasteczek - przybywali tu i wciągali się do pracy. Puste i setnie dotąd sklepy nagle ożyły energią rozentuzjasmowanych wieśniaków, od młodniaty poddane działaniu pił, młotów, szmat, mioteł, pędzli i farby. Dzieci zamiatały bruki, przewoziły promem zapasy w psich zaprzęgach.

Woolf był wszędzie, na górze i na dole, niczym iskra rozniecająca energię, której eksplozje czyniły z Kingsford ewenement Wieści krążyły wszędzie, od Brighton po Londyn. Ludzie napływali zachwyceni i płacili za przywilej obserwowania niezwyklej przygody.

To dopiero początek, myślał Woolf wysiadając z dwukółki przed domkiem wikarego. Wstępował tu każdego ranka w trakcie objazdu miasteczka, postanowił bowiem zmienić wikarego w produktywnego, pożytecznego członka społeczności.

Asada stał obok dwukółki i przeciągał się.

- Podziwu godne - ziewnął spoglądając na wielkie drzewo pośrodku kościelnego dziedzińca.

- Cis - wyjaśnił Woolf. - Ma może tysiąc lat Zgodnie z angielską tradycją nie godzi się ścinać cisów.

Asada natychmiast ożywił się, a jego twarz, zwykle mówiąca niewiele, wyrażała zdumienie.

- Niektórzy powiadają, że cisy sadzono dla zapewnienia nieskończonego zapasu drewna na łuki, co ma sens Zważywszy, że pewnego dnia może to być broń ostatnia.

Asada pokiwał z uznaniem głową.

- Przy innych kościołach tych drzew nie widzieliśmy?

- Ależ tak, spodobałaby ci się ta część legendy. Dawno temu żyli na tych terenach bardzo zabobonni druidzi. Cztili cisy i sadzili je w świętych miejscach. Kiedy przybyli chrześcijanie, byli na tyle sprytni, by budować kościoły właśnie tam, gdzie one rosły.

- I na tym polega mądrość ludowa.

- Powitać! - Odwrócili się. Wikary wyszedł im naprzeciw.

Asada odwzajemnił pozdrowienie.

- Dzień dobry. Podziwiamy wasze święte drzewo, wielebny Seftonie.

- Moje święte drzewo?

Woolf, nie chcąc, by wymiana zdań przeistoczyła się w spór, przerwał:

- Asada doglądał robotników na wzgórzu, a ja chce teraz pokazać mu nasze postępy tutaj. Jako członek rady, potrafi pan wszystko mu wytłumaczyć.

Woolf musiał się uśmiechnąć. Biedny człowiek odsunął się, jakby proszono go o pracę fizyczną, co dla kogoś z jego posturą nie byłoby takie złe.

- Cóż, po wczorajszych zajęciach, doprawdy, zmęczony jestem...

Woolf przyjrzał mu się, lecz doszedł do wniosku, że choć narzucił wielebnemu wyczerpujący rozkład prac, nie wydawaj się być o krok od śmierci.

- Wielebny Seftonie, naprawdę jestem bardzo zajęty, a to by mi bardzo pomogło. Chyba że ma pan zamiar udawać chorego.

Wikary pobladł.

- Chorego? Nie - zaprzeczył; - Jestem bardzo delikatnej konstytucji i nie mogę...

- Świetnie, dajmy temu pokój. - Ruszył w stronę sklepów; jego długie, zamaszyste kroki zmuszały towarzyszących mu mężczyzn do nadrabiania truchtem.

Wikary patrzył na Woolfa niespokojnie, jakby coś mu ciążyło.

- Wasza lordowska mość nie wygląda na rozradowanego. Ufam, że między panem a panią Taryn wszystko jest w porządku - odezwał się wreszcie.

- Będzie, jak ma być, do czego wielebny zmierza? - spytał Woolf. Nadal przeżywał wyjazd Taryn, najwidoczniej zadowolonej, że może go unikać.

Wikary wytarł szkła i uśmiechnął się słabo.

- Myślałem, że wyjechała może dlatego, że... zerwaliście zaręczyny.

Ponieważ prosiła go o dyskrecję, mógł tylko albo ignorować pytania, albo kręcić, dopóki Taryn nie wróci z Londynu.

- Czekam, aż podejmie decyzję, wielebny. Wie pan, jakie są kobiety. Chcą mieć ostatnie słowo.

- Wasza lordowska mość będzie w niedzielę w kościele?

Woolf odruchowo skinął głową, zastanawiając się, czy stary kościół zniesie ten szok; dawno już tam nie był.

- Odwiedzimy teraz Latającą Gęś i Rolfa - rzucił, wskazując gospodę usytuowaną dziwnie blisko kościoła.

- Czarne i białe - wikary zwrócił się do Asady, określając architekturę budynku. Asada przytaknął, podążając za nim na dziedziniec, wokół którego zbudowano sypialnie, na dwu piętrach, galeria nad galerią. Woolf popatrzył na kilka stojących powozów; budynek był na tyle solidny, że mógł pomieścić znacznie więcej stałych gości.

Zirytowany wikary dreptał w tyle. Weszli do środka. Na dźwięk dzwonek u drzwi

rozległy się szybkie kroki gospodarza spieszącego powitać gości.

- Rolf, dzisiaj objeżdżam sklepy - oświadczył swobodnie Woolf, nadal niezadowolony z tego, w jaki sposób ludzie ze wsi kłaniali mu się, bijąc czołem niczym dawni chłopci pańszczyźniani.

Rolf niemal tańczył z ochoty pochwalenia się rezultatem swoich wysiłków.

- Pokażę wam, co zrobiliśmy z Latającą Gęsią. - Poprowadził ich do otwartych drzwi salonu dla dam. - Musi pan przyprowadzić tu panienkę Taryn - zwrócił się do Woolfa. - Mamy specjalny poncz dla pań, a to jest piękne miejsce na towarzyskie spotkania.

Woolf przytaknął odruchowo, jakby uwaga Rolfa nie była echem stów, które słyszał wszędzie, gdzie się udawał. To jasne, że Taryn była ulubienicą wszystkich, a jego wybrali na małżonka wystarczająco godnego, by mógł nieść jej sztandar. Miał tego serdecznie dość. ale był na tyle rozsądny, by nie mówić im tego i nie robić przykrości całej okolicy.

Idący przed nimi Asada stanął jak wryty podziwiając wielki pokój ze sceną na tyłach gospody.

- Wcześniej tego nie widziałem - zaciekawiał się Woolf; dumając, jak też mógł go przeoczyć.

- Używany był jako magazyn, ale teraz będą tu występy. Zamówiliśmy trupe wędrowną na lato, na czas wyścigów. Dawnymi czasy byłem przewodniczącym - powiedział, a twarz opromieniło wspomnienie minionej sławy. - Planujemy wznowić zebrania i występy, jakie się tu wówczas odbywały.

- Widywałem gospody, w których było specjalne miejsce dla politycznych oracji - stwierdził Woolf - i debatujących społeczności. Biesiadnicy to świetna publiczność. - W drodze do następnego pomieszczenia zapytał Rolfa. - Na co jeszcze masz zezwolenie?

- Oczywiście bilard i bagatelka, mamy karty i domina, chociaż aktualnie bez licencji. Pan Oliver, dopóki dawaliśmy mu zysk, specjalnie się o prawo nie troszczył.

Rolf minął jakieś drzwi bez zatrzymywania się, toteż Asada przystanął i nacisnął klamkę.

- A tutaj co jest?

- Niegdyś była tu drukarnia i oficyna wydawnicza - wyjaśnił Rolf, wyjmując pęk kluczy. - Z osobnym wyjściem na ulicę. Dawno już nikt tu nie pracował; zamknięte całe lata.

- Otworzył drzwi i uderzyło ich chłodniejsze powietrze. Wikary cofnął się, ale Asada szybko wślizgnął się do środka wiedziony ciekawością.

- Urządzenia są sprawne? - spytał, węsząc po kątach niczym pies myśliwski za lisem. - Woolfesan, możesz drukować tutaj swoje ulotki reklamowe. Nie trzeba będzie wysyłać ich do

Londynu. - W oczach Japończyka błysną! entuzjazm.

- Pomysł na czasie - dodał wielebny Sefton, dumny, że udało mu się coś powiedzieć, - Drukarz, przeniósł się do Wilmington. Mieszka z synem, ale rada może po niego posłać, żeby wrócił.

- Świetnie - podchwycił Woolf, zadowolony, że wikary podsunął następną sugestię. - Idźmy dalej, niech Asada zobaczy wszystko. - Kiedy szli w stronę frontu gospody. Woolf ciągnął karczmarza za język. - Jak tam twój chłopak, George? Pracuje z tobą?

- On, to znaczy... ? jąkał się Rolf. - Spędza czas w zatoce. - Unikał oczu Woolfa, najwyraźniej woląc nie mówić o synu. - Prawda jest taka, że ostatnimi czasy nie bardzo chce mnie słuchać.

- Rolf, przyślij go do mnie w poniedziałek rano.

Karczmarz przystanął niespokojnie.

- Nic mu się nie stanie, obiecuję - zaręczył Woolf. Karczmarz zmarszczył się, skinął głową, po czym poprowadził wszystkich do herbaciarni.

Wskazał barwny szyld i przeczytał: Polson & Simpson, Sklep z herbatą, słodkim pieczywem, a także pieczystym.

- Wdowa Polson często zamykała sklep z powodu reumatyzmu - wyjaśniał Asadzie - ale teraz dodaliśmy jej do pomocy Różę Simpson i nie tylko otwierają codziennie, ale jeszcze zaopatrują Heritage.

Weszli do sklepu. Woolf szedł, po swojemu wypytując kobiety; nagle poczuł, że brak mu złości Taryn.

Ilu klientów mają dziennie, czy wóz z piekarni przyjeżdża na czas, czy señor Esteban płaci regularnie, czy ich piec jest wystarczająco dobry, czy nie potrzebują lepszego?

Gdy usłyszał odpowiedzi na wszystkie pytania, popatrzył z troską na panią Polson, zastanawiając się, czy Taryn nie zarzuciłaby mu, że był zbyt szorstki. Tymczasem Kobieta uśmiechała się uszczęśliwiona, gotową dodać kilka uwag od siebie.

- Dziękuję panu bardzo za przywiezienie tu Róży, żeby mieszkała ze mną. Nie dziwi mnie, że panienska Taryn przekonała pana do tego pomysłu. Boże, błogosław jej dobre serce.

- I pomyśleć, że wszystko to dlatego, że panienska Taryn namówiła pana do odwiedzenia mnie - dodała Róża.

Woolf uśmiechał się i kiwał głową, głównie dlatego, że nic miał pojęcia, jak odpowiedzieć na niewłaściwie kierowaną wdzięczność. Gdyby to zależało od Taryn, obie panie siedziałyby w wygodnych fotelach popijając czekoladę przy ustrojonym kwiatami stoliku i gotową na każde skinienie pokojówką. Na samą myśl o tym, jak wspaniała byłaby

ich sprzeczką na ten temat, uśmiech zagościł mu na ustach.

Już miał wyjść, gdy Róża rzuciła ostatnie słowo:

- Proszę przyprowadzić panienkę, kiedy wróci do domu. Nic tak nie osładza życia jak herbata i talerz ciasteczek.

Szybka podszedł do rozpromienionego wikarego pałaszującego gorącą bułeczkę.

- Wielebny Seftonie, będziesz się paniami opiekował. Przypilnuje pan, żeby dostawcy ich nie krzywdzili i żeby Heritage płaciło uczciwie. Powiesz mi, jeśli będą pracować za ciężko i potrzebować pomocy. Wynajmij dziewczynę do dzieci. - Wikaremu oczy wyszły z orbit; omal się nie udławił. Woolf walnął go w kark i powiedział:

- Idziemy dalej.

Wyprowadził swoją grupkę na zewnątrz.

- Rolf, ty i wikary pokażecie Asadzie resztę sklepów. Ja muszę załatwić pewną sprawę. Powodzenia.

Nigdzie śladu Taryn, myślał, ani słycho o jej powrocie. Jak długo rodzina zamierza trzymać ją poza domem? Im więcej rozmyślał o prawdziwej naturze Olivera, tym mniej mu się to wszystko podobało. Nie miał zamiaru być wobec dawnego wroga w defensywie. Pragnął, żeby prawnik zakończył już swoje śledztwo - mógłby wtedy wyrzucić Chastaina z Kingsford.

A Taryn, ją także?

Musiał uporządkować myśli, również te, które jej dotyczyły. Nie pasowała do łamigłówek, z jaką miał do czynienia. W głębi duszy nie rozumiał, dlaczego, choć była zaręczona z Gilesem, drżała przy każdym dotknięciu. Pamięć pocałunku sprzed lat mieszała się ze świeżą, namiętnością, jaką ogarnęła ich raptem kilka dni temu. Taryn była wystarczająco niewinna, by mogła być zmieszana; wiedział o tym, ale znał ją na tyle, by wnioskować, że jej reakcja znaczyła coś więcej. Im dłużej analizował te sprawy z dystansu, tym bardziej zagadka zbijała go z tropu.

Na dodatek powróciła gorzka myśl, którą nosił w sobie latami, że ta dziewczyna nie jest lepsza, niż jej wujostwo. Tymczasem, za każdym nowym zachwytem, jaki słyszał o jej dobroci, jego oskarżenia brzmiały coraz bardziej fałszywie.

Kierowała nim złość i uraza, ponieważ kiedyś go odrzuciła; osądził ją pochopnie i wyklął. Teraz przyznawał, że zarozumiałością było wrócić po sześciu latach i Wbrew jej oczywistej niewinności zawzięcie szukać winy w tej jedynej prawdziwej miłości.

Rozejrzawszy się dookoła, uprzytomnił sobie, że niczym potępieniec sady wielkimi krokami przez las. Po chwili zorientował się, że idzie do Wierzbówki.. Uśmiechnął się.

Oczywiście, szedł do jedynej osoby, która mogła mu pomóc poznać prawdę. Kucharcia.

Spokojnie, nie może tak po prostu wpaść do środka. Musi zachować pozorny spokój, żeby Kucharcia nie domyśliła się, jak bardzo zależy mu na odpowiedzi. Musi zadawać mądre pytania i nie zdradzać się z niczym - Żeby przygotować się do spotkania z Kucharcią, obejrzał dom i otoczenie. Uważnie lustrował wierzby kalkulując, jak długo rosną brązowe, płowo - złote i białe witki, z których mogliby wyplatać śliczne koszyki dla pisków bogatych dam.

Jeśli zetnie się gałęzie tych wierzb i wsadzi je w wilgotną ziemię, po trzech latach można je będzie przyciąć, a potem każdego roku zbierać pędy. Nie byłoby to natychmiast, ale później przy wyplataniu mogłyby pomagać dzieci, a koszyki zawsze są poszukiwane: nosidla do butelek, kosze do powozów, wiecierze. Zastanawiał się, czy jacyś przedsiębiorczy wieśniacy parają się tym zajęciem, nie wiedział jednak, jak sprzedać wielkie partie plecionych wyrobów. Był w swoim żywiole rozważając sposoby zarobienia pieniędzy.

Do kuchni przyszedł w porę. Kucharcia była sama.

- Lord Kingsford - powitała go ukłonem, żeby mu dokuczyć. I jakby czytała w myślach, dodała: - Oliver przysłał wiadomość, że wróci do domu w piątek wieczorem.

- No tak, widzisz myślisz jak Cyganka - zaśmiał się: - Przyszedłem spytać o Taryn.

- We właściwym czasie - powiedziała popychając go do stołu niby krnąbrne dziecko. Wyjęła z kredensu talerz z ciastkami, postawiła na stole, obok dzbanek z herbatą i dwie filiżanki. Samą usiadła naprzeciw.

- Siadaj i mów wprost, bo oboje straciecie jeszcze więcej czasu.

Po dwu godzinach wędrował z powrotem pod wierzbami, z głową wypełnioną myślą o Taryn i tak daleki od zarabiania pieniędzy, jakby ich w ogóle nie było na świecie.

Mgła płynęła ulicą St. James jak rzeka. Przy takiej pogodzie nikt nie wysiadywał wieczorem przy oknie, zerkając zalotnie na przechodniów, na ulicy nie było młodych elegantów, którzy zwykle przechadzali się tędy szukając kłopotów. Ale Oliver Chastain, wchodząc frontowymi drzwiami do White, kłopot znalazł.

Wygląd Quinna zmienił się trochę. Wyłysiał, brwi zrosły się pośrodku czoła. Oklapł, przypominał wielką małpę o wygaszonym, złym spojrzeniu. Oliver zacisnął pięści, gdy bydlę przyjęło postawę obronną. Kazał mu usunąć się z oświetlonego wejścia.

- I co?

- W końcu znaleźliśmy służącego, który się wygadał.

- Kretynie, chociaż raz spróbuj powiedzieć dwa zdania.

- Tak, lordzie - zreflektował się Quinn. wiedząc, jaką wartość ma dla Olivera

tytułowanie. - Dobra - powiedział, szurając nogą. - Jest tak. Złapaliśmy stajennego, musieliśmy go spić, żeby puścić farbę. Wygląda na to, że pan Fletcher wyjechał za granicę więcej jak przed tygodniem. Chłopak powiedział, że pojechał do Kingsford i już nie wrócił.

Oliver stał bez ruchu i przez długą chwilę nie oddychał.

- Spal mu biuro - wysapał wreszcie.

- Jak pan chce, ale oni przewieźli wszystkie papiery do biura Hawksleya. Nie ma sposobu, żeby się tam dostać.

- Do diabła, czy to się nigdy nie skończy?

Quinn stał bez słowa. Oliver chodził lam i z powrotem.

- Nie możemy dłużej czekać. Jak dotąd ten bękart wyprzedza nas o krok. Czas z nim skończyć. Zbierz ludzi i zaatakuj w nocy Dwór. Opróżnij moje magazyny, zabij Woolfa i jego człowieka. Zostaw jakieś ślady prowadzące do przemytników. Ja będę w mieście w piątek. Spotkamy się przy plaży, tam zdasz mi raport. Chwilę milczał; głęboko odetchnął. - Teraz chcę się zabawić.

Wskoczył do powozu, zatrzasnął drzwi. Quinn wdrapał się na wysokie siedzenie woźnicy i strzelił batem nad głowami koni. Jechał pewnie, skręcając to tu, to tam. W końcu stanął przed którymś domem.

W drzwiach powitała Olivera zmysłowa kobieta o włosach nieokreślonej barwy. Uśmiechała się, dopóki nie spojrzała mu w oczy. Wtedy jej rysy stężały.

- Nie, lordzie, ja nie mam żadnej poniżej dwunastu lat.

Oliver otworzył dłoń. Brzęknęły monety. Licząc je, kobieta poruszała bezgłośnie wargami, po czym wyciągnęła po nie rękę.

- Jeśli ta mała nie będzie mogła potem pracować, zapłacisz drugie tyle zanim wyjdiesz.

Woolf zwlekał dwa dni. zanim pozwolił sobie na wypad do starej chaty, gdzie miał nadzieję odzyskać spokój. Kucharcia powiedziała mu, że Taryn chodziła tam czasami, kiedy czuła się samotna. Nikomu o tym nie mówiła, po prostu znikła.

Przez las szedł powoli, nogi same zaniósły go do niskiego. kamiennego domku, przycupniętego jak pustelnia pośród drzew. Dolina dźwięczała odgłosami robót, prace nad torami wyścigowymi na cyplu niosły tuman kurzu na całą okolicę.

Poprzedniej nocy wiał silny wiatr, więc pod drzwiami zebrało się pełno zeschniętych liści i gałęzi; odsunął je nogą, pchnął drzwi i wszedł do środka. Zamiast spodziewanego bałaganu zobaczył czystą izbę, poduszkę na bujanym fotelu, w palenisku świeży popiół. Wymarzone miejsce dla pary starszków lub samotnego mężczyzny; obszedł małe pokoje, pootwierał szary szukając zwierzęcych gniazd czy legowisk, zbutwiałego drewna. Niczego takiego nie znalazł.

Wysunął szufladę i zatrzymał się, by ją przejrzeć.

Smutna kolekcja skarbów dzieciństwa i skrawek materiału z wyblakłej lawendowej wstążki, zawinięty w chusteczkę z monogramem.

Przesuwając materiał między palcami wyszedł przed dom, usiadł mi stopniu i zadumał się. Poranne słońce padało na jego głowę i burki; chłodny wiatr rozwiewał włosy na karku.

Taryn, pomyślał, rozkładając wstążkę na kolanach i gładząc ją. jakby była bezcennym jedwabiem. Gdziekolwiek zawitał, wieśniacy wszędzie chwalili jej dobroć - swoje uposażenie rozdzielała tak. jakby ludzie ze wsi należeli do jej rodziny. Cichotka jak mysz siedząca pod miotłą Klaudii, buntowała się. kiedy ciotka zabraniała jej pomagać chorym lub kobietom w połogu. Kary za swoją pomoc przyjmowała bez słowa.

Wieśniacy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że gdy brata udział w spotkaniach towarzyskich, gdy zjeżdżali z Londynu przyjaciele jej rodziny, nie bawiła się dobrze. Wiedzieli, że była przedmiotem litościwych szeptów i lekceważenia Gilesa. Klaudii i ich znajomych.

Woolf myślał o tym, jak ją oskarżał i jak Taryn reagowała na zarzuty, zła niby osa. Uśmiechnął się na to wspomnienie; oparł się o nagrzaną ścianę domku i wystawił twarz do słońca.

Dlaczego jest na nią taki zły? I co wywołuje jej zawziętość? Woda i ogień, oto czym są. Walczą ze sobą jak nigdy wcześniej. Dotknęła go oskarżeniem, że Zamierza skrzywdzić

ludzi, i zabolalo go jej pragnienie, żeby wyjechał. Ją natomiast dotknęło to, w jaki sposób potraktował jej krewnych; jak grał na jej uczuciach, żeby zaspokoić własną próżność. Przeglądał listę win, zastanawiał się nad tym. Pociąg, jaki poczuli do siebie, jeszcze pogarszał ich wzajemne stosunki.

Czy miało znaczenie, że go nie kochała? Czy zasługiwała na życie pokutnicy pośród własnej rodziny? Na życie z Gilesem? Czy przez wszystkie te lata nie była jego jedyną, najśłodsza, pociechą? I tylko dlatego, że go nie chciała, czuje się usprawiedliwiony opuszczając ją w potrzebie?

Już raz ją zostawił, wyrzucił ze swojego serca z taką samą bezwzględnością, z jaką zapomniał o nim ojciec. Mógłby postawić ją teraz, po tym, jak okłamała wikarego, żeby pomóc Kucharci, po zniewagach, jakich doznała od przyjaciółek Gilesa. po przerażeniu, które widział na jej twarzy, gdy na stypie pojawiła się rodzina? Tchu jej zabrakło, nie mogła oddychać. Czekala na pijanego, pełnego pretensji Gilesa bez słowa skargi.

Czy kiedykolwiek widział ją szczęśliwa? Z dzieckiem Róży, a przecież nie własnym. W kuchni z Kucharcią, z Alicją, wtedy się śmiała. W jego ramionach, podczas niezapomnianego pocałunku, jakiego nie doświadczył nigdy.

Postanowił, że nie zostawi wieśniaków bez pomocy. Był pewien, że nie gorzej potraktuje Taryn. Już raz ją zostawił, zamknął przed nią serce i umysł z młodzieńczą zawziętością odrzuconego chłopca. Jednak teraz...

Obiecał sobie, poprzysiągł niezachwianie, że wyratuje ją z rąk Gilesa, nawet gdyby miał wziąć ją na plecy i zanieść tam. gdzie nie ma chciwego wuja i zachłannej ciotki. Nie zasłużyła sobie na nich ani oni na nią. Na Boga, dopilnuje, żeby już nie sprawiali jej bólu, żeby już jej nie okradali.

Tymczasem w Londynie Taryn, buntowniczką, która w młodości ze względu na Woolfa odłożyła tarczę i miecz, szukała sposobu, by wydostać się z niewoli. Nie, nie zamierzała wdać się w otwartą walkę, jeszcze nie. Obserwowała, patrzyła innymi oczami; wolność wisiała w powietrzu, a Taryn ostrożnie z rozkoszą, sprawdzała temperaturę otoczenia.

Czasami nie mogła uwierzyć, że kiedykolwiek bała się i podziwiała przyjaciół Gilesa za ten sofizmaty i swobodę, Teraz miała to w małym palcu; tańce, popołudniowe herbatki, wieczorki muzyczne i poetyckie, operę, sztuki teatralne i Almack. Nauczyła się kilku rzeczy. Nie wszyscy byli takimi ignorantami, jak Giles i jego przyjaciele. Tak. ignorantami. Niektórzy londyńczycy byli oczytam, wiedzieli o okrutnej wojnie” o biednych żołnierzach

brytyjskich, którzy ginęli, gdy wielki świat się bawił.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni znalazła w Londynie jeszcze parę rodzinów. Chodzenie po sklepach sprawiało przyjemność, jeśli mogła sama wybierać. Lubiła teatr, jeśli mogła śledzić sztukę, ponad hałasem prostackich bywalców. Taniec ją rozweselał, nawet jeśli musiała wieść nudną konwersację, a partnerzy zalotnie zerkali na głęboki dekolt sukni. Przykro było mijać bibliotekę wiedząc, że nie wolno tam wchodzić, przynajmniej jeszcze nie teraz - pracowała nad tym.

Odkryła ponadto coś niepokojącego: londyńscy znajomi Gilesa... nudzili ją. Byli płytki, słabi psychicznie i fizycznie. Tak jak Giles. Kamerdynerzy wciskali ich w groteskowe ubrania, a ci sterroryzowani, ulegali najbardziej absurdalnym kaprysom mody. Próżnowali i dźwigali do oczu monokle. Jakby to była najbardziej wyczerpująca rzecz na świecie. Klepali bezmyślnie niesmaczne komplementy, znikali w salonach do gry w karty, tracili wszystkie pieniądze. Gdyby ktoś ich zapytał, w jaki sposób zarobią na życie, odpowiedzieliby, że Bóg im pomoże. W rzeczywistości pomagał tym, których krewni zarabiali na życie, bo na przykład mieli sklep.

Nie była tak ślepa, by nie zdawać sobie sprawy z tego, że porównywała ich wszystkich z Woolfem - energicznym, bystrym, nawet jeśli niekiedy nazbyt wścibskim. Drżała na samo wspomnienie jego imienia. Na myśl o jego muskularnych nogach, szerokiej piersi, opalonej skórze i silnych dłoniach. Na myśl o szorstkim kciuku pieścącym wargi działały się z nią rzeczy niezwykle; pragnęła go wszystkimi zmysłami, a wąż londyńskie bawidamki tylko ją irytowały.

Była w tym czasie bardzo dzielna. Po latach upokorzeń, wreszcie patrzyła na świat inaczej. Potrzeba było przesadnej Uprzejmości rodziny, żeby mogła zrzucić maskę uległości. Najskromniejszym sposobem na drobną zemstę było nadużywanie ich cierpliwości, zmuszanie, by trzymali się wyznaczonej sobie roli słodkich wujostwa, choć robiła wszystko, żeby doprowadzić ich do szaleństwa. Nie chodziło tylko o zemstę, ale o przekonanie się, jakiej siły potrzebuje, żeby przez następne lata być przy nich sobą - kobietą niezależną.

Dzisiaj wieczorem, na przykład, postanowiła zmącić nieco ład obiadowej konwersacji. Chociaż Klaudia zaprosiła sir Lionela i jego dobrego przyjaciela, pana Tristina, wieczór zdawał się znakomicie odpowiadać jej planom. Uśmiechnęła się do Gilesa, kiedy usadowił ją za stołem; nie miała wyrzutów sumienia, że ma zamiar mu dokuczyć - uważała, że robi to w ich wspólnym, dobrze pojętym interesie. Ceniła sobie przyjaźń kuzyna, ale nie miała zamiaru pozwalać mu wiecznie znęcać się nad nią, jak znęcała się jego matka. Powinien był o tym wiedzieć.

Powiedziała spokojnie:

- Sir Lionel mówił mi, że Woolf i señor Esteban budują w Kingsford tory wyścigowe, żeby rywalizować z Brighton.

Klaudia rzuciła jej zabójcze spojrzenie, Oliver mordercze, a Giles się zaczerwienił. Przyjemność obserwowania, jak próbują stłumić swoje prawdziwe uczucia pod pozorami grzeczności, była tak dobra jak przyrządzona przez znakomitego kucharza zupa żółwiowa, którą właśnie jedli. Podnosiła do ust łyżkę i smakowała nie tylko zupę, ale też nowo zdobytą umiejętność panowania nad sytuacją.

Wdowy, niepomne na podteksty związane z lordem Kingsfordem. zaczęły wynosić go pod niebiosa, sir Lionel z kolej począł się rozwodzić na temat koni.

- Dawni przyjaciele Geoffreya rozpuścili tę wieść po Londynie. Dają tam lekcje jazdy, choć ledwie zaczęto przygotowywać miejsca dla publiczności. Ale wydaje się, że tłumom to nie przeszkadza; przychodzą, żeby oglądać prace. Słyszałem, że Woolf wynajął woźnice, otworzył szkółkę jazdy i Heritage przypomina akademię dla obłąkanych młodzieńców. Ścigają się po cyplu, jakby ich diabeł opętał. - Zachichotał. - Sam myślę tam jechać.

- Taryn, kochanie, nie pozwól, żeby ci dżentelmeni zamienili stół w klub. Zmień temat - wtrąciła Klaudia.

Czas na odrobinę pustki, pomyślała Taryn, po czym wdała się w zupełnie niewinną konwersację.

- Śliczna była dziś rano pogoda - zaczęła. - Po raz pierwszy od kilku dni nie było chmur. - Z pewnością nikt nie mógłby dopatrzeć się w tych słowach niczego zdrożnego.

Georgia Lawnsdale uśmiechnęła się do niej, ale jej siostra Nancy nie omieszkała rzucić subtelnego a kwaśnego komentarza, który sugerował, że przyzwoite damy nie mają tak wczesnych zajęć.

- Panno Burnham, my nie wstajemy przed południem, a po południu było mglisto.

Cóż, Taryn chciała być miła. ale skoro Nancy rzuciła wyzwanie, chętnie pozwoli sobie na odrobinę erudycji sawantki.

- Ja lubię mgłę, a ty nie? Uwielbiam siedzieć przy kominku i czytać.

Nancy spojrzała na nią. jakby posługiwała się obcym językiem, lecz dobrodusznia Georgia podjęła z litości.

- Jaką książkę czytasz?

Zachwycona, że może przejść do tematu cudownie irytującego, wyznała prawdę.

- Ostatnio nie miałam zbyt wiele czasu, więc dzisiaj przeglądałam gazety.

Giles, nadal zły, że padło imię Woolfa, wrócił do swej prawdziwej skóry i

wyprowadzony z równowagi, wznosił oczy do nieba, gdy Nancy wbiła wzrok w talerz, żeby nie parsknąć śmiechem. Sir Lionel popatrzył na nich niechętnie i spróbował podtrzymać miłą wymianę zdań.

- Podziwiam cię, że chcesz być na bieżąco. Ma się wrażenie, że wystarczy dzień lub dwa zaniedbania, a już tracisz kontakt z wydarzeniami i nawet o tym nie wiesz.

- O. właśnie. - Taryn entuzjasmowała się niewinnie. - Ale i tak bardzo trudno zorientować się, czego się właściwie szuka. Na przykład, czy słyszałeś coś o siedmiotygodniowym zawieszeniu broni, na jakie zgodził się Napoleon na konferencji w Pelstwitz? W jednej gazecie napisano, że może zostać przedłużone, ale nie czytałam nic więcej...

- Taryn, kochanie - wtrąciła słodko Klaudia, z trudem dusząc złość. - Cóż to za konwersacja? - Zsiniąła z wściekłości i ma po temu powody, myślała Taryn. Damy nie śledzą wiadomości wojennych, a ona wprawiła Gilesa w zakłopotanie w obecności przyjaciół. Była z siebie niezwykle zadowolona. Chciała już wysunąć pazurki, gdy Georgia zmieniła temat:

- Panowie obiecali nam, że w sobotę wezmą nas do sklepów w Kingsford. Możemy pojechać tam razem?

Klaudia wzdrygnęła się, ale uśmiechnęła się wdzięcznie.

- Nie, dziękuję, będę zbyt zajęta, jedzcie beze mnie.

Wspomnienie o Kingsford znowu przeszło Taryn dreszczem. Ujrzała w wyobraźni twarz Woolfa. Nie chciała, by pociąg, który do niego czuła, przekroczył sferę marzenia, lecz myśl, że za kilka dni może go zobaczyć, była podniecająca. Były i inne powody, dla których nie mogła się tego doczekać.

Gdyby Jerzy Rybka, obecnie Jerzy Rybka IV, herszt przemytników z Kingsford, spotkał Asadę w sprzyjających okolicznościach, okazałoby się, że mają wiele wspólnego. Matka Rybki, która wierzyła, że imię znaczy wiele, uważała, że powinien mieć szczęście, skoro panował mu Jerzy IV. Tak jak Asada, Jerzy Rybka IV wierzył w szczęście i łaskawość bogów.

Tej nocy miał złe przeczucia. Decyzję rodził w bólach. Już miał powiedzieć Quinnowi, żeby sam robił swoją brudną robotę, gdy ten napomknął o sowitym wynagrodzeniu za odzyskanie zawartości magazynów z Dworu.

Dużo pieniędzy to było to, co obaj świetnie pojmowali. Nikt nie dojdzie, jak to się dzieje, że pieniądze podejmują decyzje za ludzi, ale podejmują.

Dlatego szedł teraz tajemnym przejściem do piwnicy i na razie było nieźle. Quinn stał na górze, w domu, na czatach. Ludzie Jerzego nie hałasowali, żeby nie obudzić mieszkańców, choć wedle jego oceny nie powinni być zbyt groźni nawet gdyby się obudzili, ponieważ Quinn rzekł, że zajmie się nimi w razie potrzeby, a jego słowu, gdy szło o uciszanie kogoś, można było dać wiarę.

Co więcej, tamtych dwu nie powinno stanowić problemu. Obcy i Burnham... sam wiesz, przekonywał Quinn, Burnham trwoni całe dnie na grze po klubach, a nocami tańcuje na balach. Nawet jeśli będą walczyć, obcy jest krótki, a Burnham cienki.

Pierwszą oznaką nieszczęścia były puste magazyny.

Drugą - makabryczny rumor, który rozległ się, kiedy otworzyli pomieszczenie, w którym rzekomo miały znajdować się trunki. Kiedy tylko uchylili drzwi, otwarły się niebiosa i runęły im z łoskotem na łby jakieś wielkie przedmioty - Zadudniło, jakby kto walił w dzwony kościelne w niedzielę. Spadało to wszystko na głowy i plecy, dając Jerzemu IV wiele do myślenia na temat czekającej ich nagrody.

Trzecią był pies. Nawet prawdziwy Jerzy JV nie chciałby walczyć ze starym Molly, terierem Johna Spauldinga, szybkim psem obronnym, który gonił każdego, kto nie proszony wdarł się na jego terytorium. Latające, kłuszące małe monstrum, szybkością i gwałtem nadrabiając niedostatki postury poganiało trzech wrzeszczących mężczyzn, gdy Jerzy IV przypomniał sobie, że miał zostawić coś, co zmyli ślady. I tak zrobił. Rzucił płonąca pochodnię.

Woolf i Asada obudzili się natychmiast, ze zdziwieniem - konstatując, że alarmujące

dźwięki dobiegają z podziemi.

Spotkali się w holu; Asada w czarnych, luźnych spodniach wiązanych na troczki, Woolf w obcisłych, wygodnych do biegania. Obaj boso, bez świec, nie zamienili słowa, ponieważ między dwoma mężczyznami, którzy zwalczali zbójców w miejscach trudnych nawet do opisania, słowa nie były potrzebne. Bez pistoletów, bo błysk ognia zdradziłby, gdzie się znajdują.

Czekali, aż umilkły hałasy, odgłosy podkradania się; szczenięcia drzwi, szelest ubrań, skrzypnięcia desek.

Po kilku minutach wiedzieli już, że idzie jeden tylko człowiek. Wielki, ciężki, pewny siebie i na tyle głupi, że szedł sam, tym bardziej że posuwał się ciasnymi schodami.

- Jest mój - - szepnął Woolf do Asady, poznając Quinna. Cieszyła go perspektywa spotkania. Schodził w dół przy ścianie, cicho jak kot. Poczul woń Quinna. zanim go osiągnął - informacja. jakiej nie udziela prawdziwy zabójca, który wybiera się na mord czysty i bezwonny.

Quinn nie wiedział, skąd przyszedł cios. Został uderzony lub kopnięty w pierś, rękę trzymającą pistolet przeszył ból. Poleciał w dół, a za nim spadał jego pistolet.

Asada, jak Jerzy IV, nie miał tej nocy szczęścia. Obijający się po schodach pistolet wystrzelił i trafił go.

Na dole, skowycząc i stękając, jak to wielkie zbiry, kiedy się skaleczą. Quinn gramolił się na nogi. Z otwartych drzwi piwnicy napływał dym. Woolf nasłuchiwał, wahał się, czy biec za ociekającym Quinnem, czy zająć się pożarem. Jego ukochany Dwór się palił. Wrócił do Asady, który kłął biegle we wszystkich możliwych językach.

Asada próbował przekonać Woolfa, żeby go nie niósł na górę i nie tracił czasu. Na próżno. Zaniósł go do jego pokoju, zamknął drzwi na klucz i w świetle lampy dokładnie obejrzał. Krwawiąca pręga na muskularnych pośladkach Japończyka powinna zagoić się wcześniej niż zraniona duma. Wiele minut upłynęło, zanim Woolf przebadał Kingsford w poszukiwaniu intruzów i wyprowadził panią Maloney na zewnątrz. Na koniec razem ze Spauldingiem zajęli się ogniem. Okazało się, że dym pochodził z pochodni leżącej na brudnej podłodze piwnicy.

Quinn siedział na burcie małej łodzi rybackiej, wyciągniętej na brzeg. Oparł głowę na łokciach. Mimo że słyszał kroki nadchodzącego Olivera, nie zareagował - jego ciemna, niezgrabna sylwetka na tle bladego księżyca srebrzącego piasek, (rwała bez ruchu. Oliver kopnął go w but, okazując niezadowolenie.

- Zabiję ich wszystkich - stęknął tak, że zadziwił Oliviera, który z wrażenia zaniechał drugiego, kopnięcia; Quinn nigdy nie odzywał się pierwszy.

- Zrobisz, co ci każe - warknął, jakby stał na Beczce prochu z krótkim lontem. - Zabijesz dopiero wtedy, kiedy pozwolę. - Powoli docierały do niego słowa Quinna. - Kto ci się aż tak nie podoba?

- Jerzy i jego ludzie. Grożą, że zbiorą gang poza Alfriston. a ja mam zamiar wytłuc ich jednego po drugim. No i tych z Dworu.

- Jeszcze żyją? Nie zabiłeś Woolfa? - Lodowate słowa Olivera poderwały Quinna na równe nogi; chciał się wytłumaczyć.

- Szkoda, że cię nie było w tym piekle; ogień i dym. Zaatakowała nas cała armia. Czaili się w ciemności, z pałami i gnatami.

- A magazyny?

- Puste. Musieli wcześniej sprzedać towar, żeby dostać szmal. Wiedzieli, że tam jesteśmy! - krzyknął.

- Być może...

Oliver zaczął chodzić tam i z powrotem, po swojemu, dziesięć kroków do przodu, dziesięć do tyłu.

- Tym zajmę się później. - Po czterech krokach zatrzymał się. - Mam inny plan.

- Tylko nie w ciemnościach!

Oliver przyjrzał się mężczyźnie szukając oznak buntu, który mógłby zniweczyć jego zamiary.

- Zobaczymy... - odpowiedział łagodnie, z humorem:

Następnego ranka młodzi ludzie przyjechali z Londynu do Wierzbówki, a stamtąd poprowadzili swój zgrabny ekwipaż do wsi należącej do Kingsford i zatrzymali na trawniku. Taryn wysiadła pierwsza; muślinowa sukienka; błękitna w zielone listki, opływała ją zgrabnie, gdy podekscytowana schodziła po stopniach. Włożyła tego dnia swój ulubiony strój, nieśmiało zastanawiając się, jak zareaguje Woolf, jeśli ją przypadkiem zobaczy.

Zapatrzyła się na wieś - stała jak wryta, a reszta towarzystwa obchodziła ją dookoła. Powiew od łąki uniósł jej kapelusik daleko na trawę. Złapał go dopiero chłopak bawiący się obręczą. Odwróciła się powoli; z włosów wysunęła się szpilka i wiatr rozwał je po twarzy. Bezwiednie odgarnęła na bok niesforne kosmyki.

Co ten Woolf uczynił z Kingsford, pomyślała ze złością. Gdzie się podziała jej spokojna, mała wioska?

- Czarujące - westchnęła Georgia, patrząc na sklepy i piękne ubrane damy spacerujące uliczkami.

- Bardzo małe - jęknęła Nancy, obrzucając pogardliwym wzrokiem stawiane na trawie stragany.

Giles popchnął Taryn do przodu. Osłonił twarz dłonią.

- Co do...? Skąd się tu wzięli ci ludzie?

Lionel promieniał.

- Pewnie budują nowy tor wyścigowy na cyplu. - Zatarł dłonie. - Mam nadzieję pojechać tam dzisiaj i zapisać się na lekcje jazdy, ponieważ nie pozwolą się ścigać, jeśli najpierw nie zapłaci się za lekcje.

- Wyścigi! - Nancy uniosła parasolkę i popatrzyła w stronę cypla. - A co my, damy, mamy robić, gdy mężczyźni spędzają dni na wyścigach? - Ruszyła przez ulicę w stronę sklepów. Taryn, jak w transie, poszła za nią.

- Bale z zapisami? - wykrzyknęła naraz, czytając ozdobną ulotkę w witrynie drukami Rolfa. - Piątkowe wieczory w sali balowej Heritage? - Odwróciła się plecami do sklepu i popatrzyła dookoła, próbując oswoić się ze zmianami. Mała wioska, przepełniona energią i groźną siłą, huczała jak w czasie burzy. Niewątpliwie to Woolf, niczym Zeus gromowładny, ciskał piorunami.

Wzdłuż ulicy, tam gdzie stały dawniej zwykle puste sklepy, pojawiły się nowe szyldy. Polson & Simpson. Herbata, Ciasta, Kingsford. Materiały Francuskie, Koronki & Modne Ozdoby, Meble kontynentalne i Malowidła. Biuro Biletowe Heritage i Latająca Gęś z mniejszym napisem poniżej: Co wieczór sztuka teatralna.

Robotnicy wyposażeni w drabiny i pędzle pracowali przy frontonach innych sklepów, których przeznaczenie jeszcze nie zostało określone. Z trawnika dobiegały odgłosy młotów i piłowania, wszędzie czuło się zapach świeżego drewna; budowano stragany. Na trawie bawiły się dzieci, gospodynie obserwowały mężczyzn zza stołu zastawionego jagodowym kordialem i szklanicami czekającymi na napełnienie. Oburzona Taryn zastanawiała się, czy to w ten sposób Woolf rozbudzał energię? Wokół wrzała radosna praca. Czyżby poił ludzi grogiem?

Jaki rodzaj presji zastosował wobec wieśniaków, żeby wywołać takie ożywienie? Umierała z ciekawości, by porozmawiać z nimi, dowiedzieć się, co naprawdę czują. Zaklinała się, że jeśli znajdzie najmniejszy bodaj ślad okrucieństwa lub przymusu, Woolf usłyszy od niej coś więcej, niż kilka szorstkich słów.

Giles stanął obok.

- Pan hrabia zrobił tu cyrk - szydził. - Zniszczył wieś. Popraw włosy - dodał.

Taryn nie odezwała się, zbyt przejęta własnym zmieszaniem. Pociągnęła dłonią po głowie zastanawiając się, co się stało z kapeluszem.

Damy ruszyły świeżo wymiecionym chodnikiem, Zachodziły do sklepów, zaglądały w każdy kąt, badały oferowane towary, jak to zwykle czynią przyjezdni, gdy znajdują się w nowym miejscu. Jakim cudem tak szybko to wszystko zrobiono. zastanawiała się Taryn widząc nowe witryny i świeżo odmalowane elewacje. Niektórych robotników w ogóle nie poznawała.

Przy drzwiach gospody mignął jej Ralf, więc namówiła Gilesa i jego przyjaciół na wejście do środka.

- Proszę wejść - zapraszał serdecznie, zwracając im uwagę na świeżo malowane ściany. - Proszę na tyły do salonu dla dam, proszę się rozejrzeć. - Kiedy reszta sunęła do przodu, Taryn zatrzymała się, żeby wysłuchać zwierzeń Rolfa.

- Jego lordowska mość dał: mojemu chłopakowi pracę przy młodych elegantach z Londynu. Ma otworzyć szkółkę jeździecką. Spodziewamy się, że miasteczko zapełni się gośćmi, więc wynajęliśmy wędrowną trupeń na występy w Gęsi. Proszę zajrzeć do kuchni - pochwalił się. Każdy wiedział o słabości Taryn do gotowania.

Natknęli się na Solly'ego, hodowcę świń; który dostarczał zamówienie pod kuchenne drzwi. Nisko ukłonił się Taryn.

- Odkąd żona mi zmarła, nie byłem tak zajęty. Sprzedaję do Heritage, a jego lordowska mość mówi o dostawach mięsa do Brighton.

Zapytała go o zdrowie.

- Dawno nie czułem się tak dobrze.

Solly ustąpił miejsca farmerowi, który przyniósł kosz warzyw i powiedział:

- Ziarno wkrótce dojrzeje, ale plony będą mizerne. W przyszłym roku powinno być lepiej, bo lord Kingsford ma zamiar tej zimy odgrodzić owce. On nie rzuca słów na wiatr.

Gdy zapytała, jak Woolf traktuje ludzi, spojrzał na nią, jakby powiedziała coś głupiego, ale zanim zdążył odpowiedzieć, nadszedł Giles.

Całą grupą odwiedzili herbaciarnię Polson i Simpsom.

- Jest tu tego więcej - pochwaliła Nancy. - Stwierdzam, że jest tak ślicznie jak u Guntera, tyle że wygląda jak dom dla lalek, Georgia, możemy zatrzymać się na herbatę? - zwróciła się do siostry i z lubością przeciągnęła dłonią po talii. - Na linię i cerę nie ma nic lepszego niż śmietanka. - Zerknęła na szczupłe biodra Taryn. - Proszę, przyłącz się do nas, panno Burnham, dobrze ci to zrobi.

Pani Polson, piękna, siwowłosa dama z pofalowanymi włosami i szlachetnymi

zmarszczkami, przypominała Taryn dobrą wróżkę; ukłoniła się głęboko i powoli podeszła do gości.

Po chwili certowania wdowy pozwoliły, by Lionel posadził je za okrągłym stołem koła okna. a Giles przysunął dla Taryn dodatkowe krzesło od sąsiedniego stolika. Uśmiechnęła się widząc, że stał się zazdrosny nawet o swojego przyjaciela.

Rozglądała się po sklepie, zdziwiona, że pełen jest gości. Przyjemny gwar pogawędek nadawał miejscu odświętny nastrój. Od sąsiedniego stolika wstał młody dżentelmen, ukłonił się Taryn i wpatrywał w nią oniemiały. Odpowiedziała uśmiechem, co wyraźnie popsło humor Gilesowi. Rzucił niewinnemu młodzieńcowi nienawistne spojrzenie.

Dotknięta Nancy dumnie zadarła głowę, obniżona, że Taryn budzi zaciekawienie i przyciąga uwagę Gilesa. Georgia wypytywała panią Polson:

- Proszę powiedzieć, jaka jest wasza specjalność?

Nancy skupiła się na niełatwym zadaniu wyboru odpowiedniego poczęstunku, a Taryn powróciła do swoich rozmyślań. bezwiednie kierując oczy w stronę okna.

Naraz obudziła się i zamrugła.

Przed Latającą Gęsią, bez koszuli, z odkrytą szeroką pierśią, w narzuconym na ramiona płaszczu, stał Woolf: niby kapitan na mostku szeroko rozstawił nogi. Obok wikary pokazywał coś na trawnikach, a Asada ciężko wspierał się na parasolu. Wpatrywała się w Woolfa, w jego ciemne, rozwiane włosy, i zastanawiała się, co by powiedział o omdlewających poetach z Londynu.

- Taryn - szepnął Giles, trącając ją lekko. Odwróciła się szybko, żeby nie spostrzegł, co ją tak zajęło. Kuzyn na chwilę wpił w nią wzrok, lecz zaraz spojrzał na zewnątrz. Jego humor, i tak już zepsuty widocznymi wszędzie efektami pracy Woolfa, popsuł się jeszcze bardziej. Krew napłynęła mu do twarzy.

Uśmiechnęła się jeszcze raz, żeby go ułagodzić. Widząc to, spróbował być miły.

- Pytano cię, moja droga, co zechcesz zjeść. Czekamy, aż się ockniesz.

Próbowała przypomnieć sobie, co polecała pani Polson, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

- Niech to Ucho, Taryn - syknął. - Uważaj! - Próbował powiedzieć to miękko, ale słowa ostro cięły powietrze.

Spojrzała nań srogo i zwróciła się do gospodyni:

- Wezmę herbatę i ciastka, jakiegokolwiek dzisiaj macie.

Pani Polson uśmiechnęła się pobłaźliwie i Taryn pomyślała, że to chyba najmilsza rzecz, jaka ją spotkała tego dnia.

Niemłoda gospodyni oddaliła się powoli. Nancy śledziła ją spod przymkniętych powiek.

- Daję słowo, nisza się jak mucha w smole. Zanim przyniesie śmietankę, będzie warzona - rzuciła donośnym głosem.

Taryn puściły nerwy.

- A więc z pewnością będzie ci smakować, bo kotki lubią zwarzoną, droga Nancy. - Patrzyła w dal, niepomna, że przy stole zaległa cisza, że obraziła swoich gości. Zła była nie tylko dlatego, że nie wolno jej zobaczyć, co Woolf zrobił w Kingsford, ale że wpadła między tych dyletantów, którzy nie mają nic lepszego do roboty, niż naigravanje się z miłej starszej kobiety, co już było nie do zniesienia. Pragnęła, żeby sobie pojechali i nie wracali już nigdy, albo zostawi ich tutaj, spakuje się i odjedzie, gdziekolwiek, byle dalej od nich wszystkich.

Zadzwoił dzwonek przy drzwiach i Nancy obróciła się czujnie, wysuwając do przodu imponujący biust. Rzuciła wchodzącemu załomy uśmiech.

- Proszę, nie zechciałby pan, lordzie Kingsford, przyłączyć się do nas?

Propozycja z pewnością uszczęśliwiła lorda, szydziła w duchu Taryn, widząc, że lord baczenie lustruje uwodzicielską postać wdowy. Taryn czuła, że mocno bije jej serce. Woolf przyciągnął do ich stołu drugi stołek i usiadł naprzeciw prowokującej Nancy. Zażywny wikary usiadł obok niego, lecz Asada pokręcił tylko głową i sta! nadal, wsparty ciężko na parasolu.

Woolf popatrzył na Taryn. O, Boże, zapatrzył się.

Kiedy jego oczy badały każdy centymetr ciała dziewczyny, od rozwichrzonych włosów po niemal nagie ramiona, okryte ledwie cienkimi bufami rękawów, piersi w obcisłymi lekko drapowanym muślinie, reszta obecnych milczała. Zaczął jeszcze raz. pochylony, z dołu do góry, kończąc spojrzeniem, które poruszyło ją do głębi. Dziwiła się, że w ogóle mogła próbować porównywać jego reakcje z zachowaniem londyńskich hulaków. Żadne uwodzicielskie spojrzenia nie mogły równać się z jego parzącym wzrokiem.

Zanim Giles zdążył zaprotestować, Woolf stał się naraz miły dla wszystkich. Już po chwili kontuar został opróżniony ze wszystkiego. Z zaplecza bit aromat nowych wypieków.

- A teraz, drogie panie, powiedzcie mi - powiedział Woolf mrugając do Nancy - co robicie najlepszego tracąc czas z tymi tu dwoma hulakami, skoro mogłyście udać się do Brighton, gdzie kilku miłych panów mogłoby was kwietnie zabawić?

Sir Lionel zaśmiał się swobodnie, ale Giles pochylił się do przodu i wstał, jakby chciał rzucić się na Woolfa. Taryn miała wrażenie, że go do tego popchnęła, ponieważ sama nie była daleka od przypuszczenia ataku. Ów nowy Woolf najwidoczniej lubił czarować i flirtować z

każdą kobietą w zasięgu wzroku. Jednak milczała i tylko pogłaskała Gilesa po dłoni, więc rzucił jeszcze ostatnie ostrzegawcze spojrzenie i usiadł.

Wdowy poczęły odpowiadać na nonsensy Woolfa z dźwięcznym szczebiotem, jak doświadczone damy, którymi wszak były. Nadeszła pani Polson z tacą, za nią rozpromieniona Róża Simpson. Taryn uniosła się z krzesła, uściskała ją i wykrzyknęła:

- To dlatego na szyldzie widnieje Simpson! Tak byłam zdumiona zmianami w miasteczku, że nie zwróciłam na to i uwagi. Och, Różo, co za cudowny pomysł, żebyś robiła tu i swoje wspaniałe ciasteczka. Jak dzieci?

- Przeprowadziliśmy się tu, do sklepu. Dzieci są na górze z najstarszą i dziewczyna najęta przez wikarego - powiedziała Róża radośnie. - Chociaż pani Polson, kiedy tylko może, woła je na dół do zabawy.

Róża uśmiechnęła się radośnie do Woolfa. Była tok podekscytowana, że chciała wszystko Taryn opowiedzieć. Cofnęła się do okna ciągnąc Taryn za sobą.

- Panienska powinna była co widzieć - szeptała. - Lord Kingsford sam dźwigał moje rzeczy na wóz, więc wszyscy ładowali je także, nawet wikary. Co mieli zrobić, skoro lord pracował jak robotnik?

Taryn spojrzała na Woolfa, ten jednak zwrócił się w kierunku drzwi, które zadzwoniły oznajmiając przybycie Iris i jej gromadki. Wszyscy podnieśli się, z entuzjazmem witając znajomych. Róża uciekła, a Taryn wróciła na miejsce. Wokół lorda Kingsforda zrobiło się nowe zamieszanie.

Taryn przyglądała się wszystkim, notując, z jaką radością Woolf przyjął zaproszenie pani Johns na wydawane przez nią przyjęcie, a także to, jak Iris z niewinna miną ocierała się o niego.

Świat wirował przed nią niby bak. w kółko i w kółko, a ona tkwiła z boku. niezdolna go zatrzymać; z każdym obrotem następowały nowe zmiany, od świata takiego, jaki sobie wymyśliła, do takiego, jaki był naprawdę.

Całe życie wszystkich przepraszała, wmawiając sobie głupstwa, ogłupiając się to takim pomysłem, to innym. Klaudia ją pokocha, ona uratuje Kingsford dzieląc się z wieśniakami swoim kwartalnym uposażeniem, a Woolfowi zmięknie serce i pokocha ją na zawsze.

Prawda zaś była taka. że po jej wielkich wysiłkach Woolf wrócił do domu i jej minimalne sukcesy zalał oceanem zmian, tak. że poczuła się zbędna, jak liść unoszący się na stawie. Natomiast ona sama na tle wspaniałych, doświadczonych kobiet zainteresowała go na tyle tylko, ile czasu zajęło mu przyjrzenie się zmianom w jej wyglądzie. Całe życie starała się

sprawić innym przyjemność i dla niej samej już nic nie zostało.

Rzuciła kilka słów z przeprosinami, nie zwracając się do nikogo bezpośrednio, i opuściła herbaciarnię. Gdyby pozostała tam, z tymi... pustymi, próżnymi ludźmi jeszcze choć przez chwilę, mogłaby eksplodować. Skręciła w pierwsze lepsze drzwi i weszła cicho do środka. Sklep wypełniały Stare książki, zakurzone, poszarpane, jak jej własne życie. Skierowała się na ryły sklepu i wdychała zapach kartek.

Woolf widział, że wyszła. Przeprosił obecnych i ruszył za nią. Zauważył, jak wchodziła do księgarni i już miał tam za nią wejść, kiedy dopadł go wikary, który wybiegi zaraz za nim, Spojrzał na Woolfa dziwnie.

- Czy pan i panna Burnham doszliście do przyjacielskiego porozumienia?

- Co wielebny ma na myśli? - spytał Woolf, zamyślony.

Wikary rzucił niespokojne spojrzenie na drzwi księgarni i pociągnął Woolfa za sobą.

- Zastanawiam się, czy ona dała panu odpowiedź.

Woolf pomyślał o własnych decyzjach związanych z Taryn i o tym, z jaką rozkoszą wyrwie ją z rąk Gilesa.

- Musimy jeszcze ustalić kilka spraw, ale wierzę, że wszystko ułoży się dobrze.

Zastanawiał się chwilę. Obraz Taryn wślizgującej się do księgarni nie dawał mu spokoju. Odwrócił się szybko, pozostawiając wikarego z rozdziawionymi ustami. Wszedł do środka. Zatrzymał się, nasłuchując, a no chwili poszedł za odgłosem przewracanych kartek na tył sklepu. Taryn siedziała na krześle, w połowie bocznego przejścia. Opuściła książkę na kolana. Spojrzała do góry, ze strachem w oczach, lecz rozluźniła się, widząc go. Natychmiast podjął decyzję.

- Taryn - powiedział, siadając obok niej na małej drabinie. Szukał w myślach słów, od których mógłby zacząć.

Jej ostry głos szarpnął nim w tył.

- Po tych zmianach zażadasz za Kingsford wysokiej ceny. Robisz to rozmyślnie, żeby powstrzymać mnie od kupna?

Rozwagał jej słowa i ton, daleki od przyjacielskiego. Tak bardzo pragnął podzielić się z nią swoim postanowieniem, ale teraz się zawahał. Czyżby nienawidziła go za to, że zatrzymuje Kingsford? Nie wiedział, co o tym myśleć.

- Nie sprzedaję. Zostaję i odzyskuję moją własność.

Obserwował jej reakcję z ulgą i zadowoleniem. W pierwszej chwili się uradowała, zaraz się jednak zachmurzyła.

- A co z Wierzbówką? Zostanę wygnana z mojego domu?

- Wygnana? - wyrzucił to słowo z niesmakiem, zaraz jednak napomniął się w duchu, że potyczka na słowa nie wróci mu jej łask. Nie był dobry w górnolotnych przemowach; w zasadzie uważał, że są raczej śmieszne niż wzruszające. Powinien uważać. Był wszak na straconej pozycji.

Pokręcił głową dając do zrozumienia, że źle go pojęła, i po raz pierwszy powiedział szczerze, co myślał.

- Brakowało mi ciebie.

- Naprawdę? - spytała ostrożnie, zakładając palcem wybrane miejsce w książce. Była to, jak zauważył, książka grecka, więc nic się nie sianie, jeśli wyjmie ją jej z dłoni. Zapewne spostrzegła to, ponieważ nie sprzeciwiła się, ale siedziała czekając, aż położy książkę na półce i powie, co miał na myśli.

- Wdarłem się między twoich krewnych jak doprowadzony do szału byk, kiedy pierwszy raz pojawili się w domu - mówił, pragnąc być z nią szczerzy. - Nie o to chodzi, że nie myślałem tego, co wtedy powiedziałem, ani że oni na to nie zasługiwali. Wierzę, że należy mi się odrobina sprawiedliwości, nawet jeśli jest już na to tak późno. Nie zzymaj się. Podejrzewam, że jesteś po prostu zła, że nie zdążyłaś się odegrać.

Uśmiechnęła się i napięcie opadło. Miał nadzieję, że będzie mieć dość czasu na troskliwe odbudowanie ich przyjaźni, lecz powinna najpierw poznać takty. Nie należał do ludzi cierpliwych.

- Życie uczyniło mnie twardym, będę dążyć do sukcesu, ale poprzysiągłem sobie, że zaopiekuję się ludźmi z Kingsford. Nie mogę obiecać, że zrozumiesz, jak to robię, albo że zaakceptujesz moje poczynania, ale... jesteś zadowolona, że zostaję?

Zwlekąła z odpowiedzią, lecz kiedy już się zdecydowała, odrzekła szczerze.

- Myślę. Woolf, że tak właśnie powinieneś postąpić. Nadszedł czas, żeby Burnham stanął mocno nogami na lądzie. Musze jednak przyznać, że martwię się tym, jak obchodzisz się z ludźmi. Każesz im tak ciężko pracować, kiedy i tak byli już wystarczająco źle traktowani.

- Pracować? - Rozzłościły go jej słowa, ale postanowił zachować spokój. Powiedział miękko: - A co, twoim zdaniem, powinienem robić? Albo lepiej, co ty zamierzałaś zrobić dla nich?

- Robiłam, co mogłam, rozdając swoje uposażenie, ale tego nigdy nie było dość. Czekam na spadek. Wtedy będę mogła dać im wszystko, czego im potrzeba.

- Taryn, ta droga nie ma końca. Ludzie nie lubią ofiar i datków, wolą być niezależni, bo są dumni. Wcale by ci na koniec nie podziękowali, szczególnie gdybyś wydała wszystkie

pieniądze.

- Ale kiedy im coś daje, są tacy szczęśliwi...

- Pomyśl, Taryn. Czy teraz nie wyglądają na szczęśliwych? Czy nie lepiej, że Róża sama zarabia na życie, buduje swoją przyszłość? - Widział jej zmieszanie, więc mówił ciszej, spokojniej. - A Giles? Nie byłby lepszy, gdyby matka go nie zepsuła? Myśli tylko o własnej wygodzie i nie ma pojęcia o uczuciach innych. Nie byłby lepszy dla Kingsford od Olivera, ponieważ nie wie, jak to robić.

Zobaczył, że nieopatrznie wpłynął na wzburzone wody, ale nie miał cierpliwości udawać, wyczekiwać, przeszedł więc wprost do sedna sprawy.

- Ty nie kochasz Gilesa.

Widział, że ją zaskoczył, ale to go tylko ośmieliło.

- Nie wychodź za niego, Taryn. On ciebie nie kocha, on kocha tylko siebie. Nigdy nie będziesz dla niego najważniejsza...

- Woolf, nie musisz się martwić o Gilesa...

- Nie ogłupiaj się, Taryn - przerwał jej, coraz bardziej rozdrażniony. - Próbowałem powiedzieć ci to wszystko, bo boję się, że pozwolisz odebrać sobie cały posag i nic nie dostaniesz w zamian.

Widział, jak jej twarz zmienia się, jak wzbiera w niej opór. Czuł, że powinien ją objąć. Czekał już wystarczająco długo. Wiedział też, że to, co miał na myśli, łatwiej odwiedzie ją od nieszczęsnego małżeństwa niż wszystkie słowa, jakie mogłyby mu przyjść na myśl.

- Dowiodę ci, że nie kochasz Gilesa.

Puścił jej dłonie i ujął ją pod brodę, przyciągnął do siebie, pochylił głowę i pocałował ją, starając się wyrazić pocałunkiem Wszystko to, czego nie śmiał powiedzieć. Topniała w jego ramionach, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi i usłyszeli głosy dobiegające od wejścia. Po chwili dzwonek zabrzmiał raz jeszcze. Jej towarzystwo wzywało ją do siebie. Woolf trzymał ją jeszcze chwilę, ich wargi nadal były złączone. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze.

- Woolf, muszę ci powiedzieć - szepnęła pospiesznie.

- Zobaczymy się jutro w kościele. Wtedy porozmawiamy - szepnął jej do ucha.

- Taryn! - usłyszeli rozwścieczony głos Gilesa.

Odsunęła się od Woolfa, rzucając mu spojrzenie pełne udręki, i zawołała w stronę drzwi:

- Jestem tutaj, przeglądam książki - Wejdźcie, panie, i same popatrzcie, ale ostrożnie, bo tu wszędzie zalega kurz.

Głosy milkły. Woolf słyszał jeszcze, że Taryn woła Gilesa, po czym zamknęła za sobą drzwi.

W ciągu następnych godzin Taryn trzymała swoje emocje na wodzy, widząc wszędzie, gdziekolwiek się udała, kolejne ślady działalności Woolfa. Wszystko działo się tak szybko; pierwszy smak swobody, nowo odkryta pewność siebie, karuzela z Woolfem, odnowienie ich przyjaźni.

Czy jej troska o to, jak traktował mieszkańców miasteczka, miała uzasadnienie? Nie słyszała, żeby narzekali, nie widziała przestraszonych spojrzeń rzuconych spode łba. Przeciwnie, nigdy nie spotkała ludzi tak zdecydowanych i podekscytowanych przyszłością.

Ostatnia scena, jakiej była świadkiem, tylko dołała oliwy do ognia palących wątpliwości. Stała obok Gilesa, gdy po drugiej stronie trawnika dojrzała Woolfa i grupę farmerów bez koszul. Nie mogła nic poradzić na to, że porównywała jego silne, muskularne ciało ze zniewieściałą sylwetką Gilesa.

Jego mięśnie lśniły potem w promieniach słońca. Proste włosy opadły na wilgotne policzki. Widziała zmrużone oczy, nawet gdy ocieniał je uniesionym ramieniem. Zafascynował ją widok ciemnego cienia biegnącego przez jego pierś - przez jedną malutką chwilkę zastanawiała się, co by czuła dotykając tych połyskujących włosów.

W ogóle nie rozumiała swoich uczuć, wiedziała tylko tyle, że coś ją gniewa, ale co, nie miała pojęcia. Może to, że Woolf ją omamił, a może świadomość, że jest po prostu jedną z tych kobiet, które nie potrafią się uprzeć.

Następnego ranka pani Maloney zapukała do drzwi jego sypialni. Rzucił na ziemię jeszcze jeden zmięty krawat i podszedł sztywno do drzwi.

- Tak? Ubieram się do kościoła...

- Dlaczego pana człowiek nie pomaga panu?

- Już mówiłem, on nie jest moim służącym. Co więcej, nie wie nic na temat krawatów.

Gospodyni ani trochę nie przejęta wybuchem jego złego humoru wsparła się pod boki i powiedziała:

- Lordzie, proszę zejść na dół. Nie byłabym pana niepokoiła, gdyby nie to, że przy drzwiach czeka ktoś, kto powiada, że jest prawnikiem markiza Hawksleya.

Woolf sięgnął po świeżo wykrochmalony fular.

- Dobrze. Zawołaj też Asada i przyprowadź tutaj prawnika, a ja jeszcze raz spróbuję zawiązać to tak, żeby nie wyglądało jak ścierka do kurzu.

Zszedł do sieni i z miejsca polubił jasnowłosego prawnika o bystrym spojrzeniu, którego krawat wyglądał tak naturalnie, jakby gość nie miał podobnych problemów.

- Dzień dobry, lordzie Kingsford, Jestem Paul Lloyd - przedstawił się gość, wyciągając dłoń i unosząc brew na widok fularu w ręce gospodarza. - Lord Hawksley mówił mi, że zależy panu na czasie, a ja nie chciałem powierzyć informacji poczcie.

- Kochany człowiek - odezwał się Woolf, akurat gdy przyłączy! do nich Asada. Przedstawił ich sobie i kontynuował.

- Podróżował pan całą noc?

- Nie. Wyruszyłem wczoraj dosyć późno i po drodze zatrzymałem się na nocleg. - Odchrząknął. - Zamierzał pan wyjść?

- Tak. Mógłby pan powiedzieć mi ogólnie, czego się pan dowiedział, powiedzmy, w dziesięć minut? - Poprowadził ich z powrotem do sypialni i usiadł przed lustrem. - Proszę mówić, a ja będę walczył z tą przeklętą szmatą.

- Oczywiście - odrzekł Lloyds, obserwując nieudolne wysiłki Woolfa. - Istota sprawy polega na tym, że pan Chastain sfałszował wiele dokumentów, przywłaszczając sobie większość albo prawie wszystkie pieniądze. Pana kuzynce, a wcześniej jej wujowi, wypłacał żałośnie skąpe sumy.

- Dotyczy to Kingsford czy także majątku panny Burnham? - pytał Woolf wymieniając z Asada znaczące spojrzenia.

- Krótko mówiąc, ma on sfałszowany podpis Ryszarda na sprzedaż jego domu i gospody na cyplu.

Woolf zagwizdał i odwrócił się z na wpół zawiązanym krawatem.

- Sprzedaży jego domu? Geoffrey mówił, że wydzierżawił ziemię pod Wierzbówkę. Zatem oszukał także señora Estebana?

Lloyds skinął głową.

- Lub też obaj są w zмовie. Co się tyczy majątku panny Burnham, w raportach bardzo zawyżał wydatki na jej rzecz.

- Znalazł pan jakiś ślad, że mój kuzyn wszczął dochodzenie na prośbę Taryn?

- Tak, rzeczywiście, ale wygląda na to, że pan Fletcher całkowicie zignorował jego polecenia.

Woolf przez chwilę siedział i milczał, rozważając na wszelkie sposoby znaczenie odkryć prawnika.

- Ma pan ze sobą notes i raporty Geoffreya?

- Wobec powagi sprawy, z jaką mamy do czynienia, mam dla pana dokładne kopie

tych dokumentów. Oryginały znajdują się w moim sejfie. Wysłałem też kopie lordowi Hawksleyowi. w zalakowanej kopercie, która zostanie otwarta w przypadku pańskiej... - prawnik zaczerwienił się, ale nie przerwał. - Musze robić to, co uważam za stosowne.

- Proszę nie przeproszać. Lloyd. Wart jest pan tyle złota, ile pan waży, tak jak powiedział Hawksley.

Jasna twarz gościa ponownie oblała się czerwienią.

- Mogę wnieść sprawę przeciwko panu Chastainowi w tym tygodniu?

- Tak, Lloyds, chociaż wiąże mi to ręce. Panna Burnham ma poślubić syna Chastaina, co sprawia, że sprawa staje się nader delikatna. Namawiam ją. by tego nie robiła... tymczasem spóźnię się do kościoła.

- W takim razie - zaproponował z wahaniem Lloyds - pozwoli pan, że pomogę mu zawiązać krawat?

Kwadrans później Woolf podjechał dwukółką na tyły kościoła, gdzie było miejsce na postój.

- Nie miałem pojęcia, że w Kingsford mamy tylu bogobojnych ludzi - mruknął do Asady.

Pojazdów było mnóstwo. Grupa stangretów kłóciła się zawzięcie, który koń jest lepszy. Woolf ustawił swój powozik wśród innych, jak najbliżej głównych drzwi kościoła.

Wśliznęli się cicho do środka, ale i tak wszyscy odwrócili ku nim głowy. Wikary, w pierwszej chwili zdziwiony, rozpromienił się; szczęśliwy, że lord Kingsford zaszczycił swoją obecnością jego nabożeństwo. Woolf stanął speszony, jakby się zreflektował. Jego twarz oblał rumieniec.

Rzeczywiście, zdawało się, że dla zgromadzonych jego przybycie miało wielkie znaczenie. Cóż, nie przekroczył drzwi tego kościoła od dnia, gdy zniknął jego ojciec.

W obawie czy nie czerwieni się pod wpływem ucisku krawata, uniósł dłoń do szyi, chcąc się go pozbyć. Wszyscy nadal na nich patrzyli i Woolf uświadomił sobie, że czekają, aż on i Asada zajmą miejsce w ławce zarezerwowanej dla hrabiego Kingsford, po lewej stronie nawy.

Ruszył do przodu i ujrzał, że ławka jest zajęta przez Olivera. Klaudie. Gilesa i Taryn. Przeklął bezgłośnie złodzieja, który życie jego i Taryn zamienił w piekło, a teraz przywłaszczał sobie miejsce należne jego rodzinie.

Nie potrafił usiąść obok niego i milcząco uznać uzurpacji Olivera. Nie mógł też ugiąć się i pokornie usiąść gdzie indziej. Wahał się; jego uwagę przykuła Taryn, czarująca, z różowymi wstążkami przy stanika i różami przypiętymi do szyfonowego czepka. Miała

całkowite prawo do miejsca w ławce Kingsfordów. ale Woolf czuł, że pozostałych musi wyrzucić. Do diabła z manierami! Wpatrywał się w Olivera uporczywie.

Ten wstał, jakby coś go podniosło; na jego twarzy malowała się nienawiść. Skinął ręką na rodzinę, by podążyła za nim przez nawę. Woolf ruszył do ławki. Klaudia i Giles opierali się, lecz posłuchali, gdy Oliver wymamrotał w ich kierunku lulka ostrych słów. Bala szeptów przeszła przez kościół.

Woolf skinął na odchodzącą Taryn, by została. Rzuciła mu błagalne spojrzenie i poszła za wujostwem, siadając w ławce dokładnie po drugiej stronie głównej nawy. Całe to przedstawienie odbyło się w martwej ciszy, ale Woolf był zbyt poroszony, żeby zwracać na to uwagę. Później przysiągł sobie, że Taryn ostatni raz dokonała podobnego wyboru: wkrótce uwolni ją z ich rak.

Poprowadził Asadę przed sobą, po czym zajął miejsce. Rozglądając się bacznie dookoła zauważył nie bez dumy, że potrafi rozpoznać większość z obecnych, zarówno farmerów, jak i kupców. W kościele sporo było wytwornych gości, ciekawych nowego hrabiego, z jego skandalicznymi przedsięwzięciami.

Woolf uśmiechnął się i usadowił wygodniej. Wikary odchrząknął, przerzucił na ambonie kartki, po czym przystąpił do kolejnej części ceremonii.

- Pan Chastain, honorowy członek naszego zgromadzenia. Poprosił, bym ogłosił zapowiedzi jego bratanicy. Taryn Burnham. - Wielebny Sefton zamilkł i obrzucił Woolfe niespokojnym spojrzeniem.

Zapowiedzi Taryn?!

Rozległy się szepty. Woolf odwrócił się, by spojrzeć na Taryn. Pod wpływem trudnego do określenia uczucia, może szoku, oczy miały szeroko otwarte. Giles szeptał jej coś do ucha. Woolf czuł się tak, jakby go kopnął koń - miał mdłości, nie mógł złapać tchu... i bał się, że traci rozum.

Wstał ignorując uciszające posykiwania, owładnięty przemożnym pragnieniem odejścia z Kingsford bezzwłocznie: niech wszyscy mieszkańcy znajdą się na łasce pierwszej lepszej osoby, której będzie mógł sprzedać cały ten bałagan.

Popatrzył na Taryn. Zaczerwieniła się, nie wiedząc, do czego Woolf zmierza. Przypomniał sobie, jak jej usta przywarły do jego ust poprzedniego dnia, w księgarni; nie umiała powiedzieć, że kocha Gilesa, przypomniał sobie, jak przywarła do niego sześć lat temu. Co mu wtedy powiedziała?... ..Mam wyjść za Gilesa, Woolf. Tak stanowi ostatnia wola mojego ojca, a nie, że go kocha.

Jakimże był głupcem, wtedy i teraz.

Taryn Jest jego. Zawsze była jego, od pierwszej chwili, kiedy wziął na siebie uderzenie bicia, a ona poświęciła swoją wolną: wolę, żeby go ratować.

Miał tylko jedną krótką chwilę, żeby uczynić swój ruch. Stał, nie odwracając wzroku od jej oczu.

Jesteś moja, Taryn, zdawał się mówić.

Patrzyła, jak Woolf idzie w jej kierunku, z oczami rozpalonymi tak silnym pragnieniem, że traciła oddech. Jeszcze raz pomyślała o wczorajszym pocałunku, o spotkaniu ust, w którym zagubiła się cała, a świat dookoła przestał istnieć. O tym, jak odzyskała chęć życia, kiedy wrócił do domu, a serce w niej ożyło.

Woolf oderwał od niej wzrok i spojrzał na wikarego. Słyszała szepty wokół siebie. Obok coś burczał Giles. Odegnęła głosy, jakby były brzęczeniem pszczoł. Skupiła uwagę na Woolfie i wikarym.

Ten przełknął ślinę; okulary zsunęły mu się z nosa, przytrzymał je i spojrzał na kartkę, którą trzymał w dłoni. Jego wzrok błąkał się od Olivera do Woolfa i z powrotem.

Znowu spojrzał na kartkę i powiedział:

- Niech więc zapowiedziane będzie małżeństwo panny Taryn Burnham i. . . - Głos załamał mu się w fałszu, gdy Woolf wyszedł z ławki do nawy. Okulary jeszcze raz zsunęły się biedakowi z nosa, spadły na pulpit, stamtąd na podłogę.

Wikary cofnął się i patrzył pod nogi, próbując je zlokalizować. W martwej ciszy kościoła rozległ się głośny trzask. Schylił się pod pulpit, zniknął z pola widzenia i niewidoczny dla wszystkich, jęknął. W końcu pojawił się z pogiętymi szklami na nosie, próbując wsadzić Uchwyty za czerwone uszy. Wreszcie udało mu się.

Gromki chichot szybko ucichł. Wikary patrzył gniewnie na wiernych. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Wygładził zmięty papier i zaczął od nowa.

- Niech więc zapowiedziane będzie małżeństwo panny Taryn Burnham i... - znowu przerwał; dopiero teraz dostrzegł, że lewa soczewka jest pęknięta.

Zamrugnął i nie dając za wygraną, ciągnął:

- Taryn Burnham i... - Umilkł przerażony widząc wyraźnie przez prawe, całe szkło, że Woolf kroczy sztywno w jego stronę, a na twarzy ma wypisaną zbrodnię.

- I Woolfa Burnhama, hrabiego Kingsford - dokończył szybko mdlejącym głosem.

Chociaż wszystko rozegrało się w ułamkach sekund. Taryn miała wrażenie, że następujące po sobie epizody dzieją się w zwolnionym tempie, niczym jakaś podwodna scena.

Ciągle wstrząśnięta przewrotnością Olivera i sposobem, w jaki ją swatał, nie była w stanie zrozumieć tego, co słyszy.

Wikary ogłosił zapowiedzi jej i Woolfa?

Nie mogła oderwać oczu od kuzyna, który odwróciwszy się j tyłem do wikarego, spoglądał na wiernych lodowatym wzrokiem, sztywny z gniewu, z wściekłością malującą się na twarzy. Zdjął ją lek nie o siebie, ale o Woolfa, jakby raptem znowu byli dziećmi i jakby Woolf, który rozgniewał Olivera, miał zostać ukarany. Podniosła się. by iść mu z pomocą, lecz Giles ją powstrzymał.

Chciała protestować. Zerknęła na Olivera i w tej samej chwili, rozległ się głos Woolfa, brzmiały w ciszy niczym uderzenia bębna:

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie, ale zatrzymał mnie mój adwokat, który przybył przed chwilą z ważnymi wieściami.

Taryn zobaczyła zaniepokojenie na twarzy Olivera i gest, którym próbował uspokoić Klaudię. Spojrzała na Gilesa - zdawał się równie wściekły jak bezradny. Pojęła, że Oliver z jego strony również nie życzy sobie żadnej reakcji.

Odrząciła dłoń Gilesa i skupiła się na powrót na słowach Woolfa, który właśnie wyciągnął rękę w jej kierunku. Chciała mu powiedzieć, że nie powinien tego robić, że wikary się pomylił; ale nie mogła go zawstydzić w obecności wszystkich tych ludzi, teraz, kiedy po latach upokorzeń zaskarbił sobie wreszcie ich szacunek.

Podeszła do niego. Czuła, jak bardzo jest zły. Ujęła jego dłoń. Przyciągnął ją do siebie, objął w talii i mówił dalej:

- Wiem, że wy wszyscy, szczególnie rodzina Taryn, życzyście nam wszystkiego najlepszego...

Spojrzała na krewnych i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że przecież powinni chcieć jej szczęścia. Czy rzeczywiście tak jest? Oliver patrzył na nią, jakby jej nie było, jakby znaczyła tyle, co użyteczny czasami przedmiot. Na twarzy Klaudii malowała się nienawiść. Nie chodziło nawet u pieniądze, których mogła pragnąć. W jej nienawiści było coś bezinteresownego, czysto osobistego.

Giles? Nawet teraz zachowała dla niego serdeczne uczucia, on nie spoglądał na nią jak

inni. Widziała, że jest zażenowany, wstydzi się przed przyjaciółmi, jak zwykle zły na Woolfa. Zależało mu na niej? Pragnął jej szczęścia? Jeśli pomyłka wikarego miałaby okazać się prawdą, czy chciał, żeby się jej powiodło, nawet gdyby miało się to stać jego kosztem?

W głowie brzmiały jej echem słowa Woolfa: „Wiem, że wy wszyscy, szczególnie rodzina Taryn, życzyście nam wszystkiego najlepszego... Nie znała odpowiedzi Gilesa, przyjaciela z lat dziecińczych, ale rozumiała przynajmniej pytanie.

Woolf, jut spokojny, kontynuował nie bacząc na coraz głośniejsze szepty zebranych.

- Jedne zapowiedzi nie czynią jeszcze małżeństwa, zatem za waszym pozwoleniem wypożyczę sobie Taryn; by rozwinąć przed nią swoją technikę zalotów.

Pociągnął ją za sobą ku wyjściu; towarzyszył im gwar podnieconych głosów. Zachwycona miejscowa śmietanka planowała już listy do przyjaciół, w których podzieli się z nimi sensacyjną nowiną. Młodzi robili zakłady o przyszłotygodniowe zapowiedzi. Giles, który tak się chełpił małą dziedziczką, wyglądał teraz tak, jakby miał ochotę zamordować Woolfa. Kmiotkowie siali Woolfowi pocziwe rady, jak utrzymać narzeczoną. Taryn z rumieńcem na twarzy słuchała dosadnych komentarzy: a to, że powinien zrobić jej czym prędzej dziecko, a to wystarać się o lubczyk albo inny wywar o podobnym działaniu, sporządzony według starych receptur.

Asada skłonił się Taryn i życzył jej wielu synów, a Woolfowi zakomunikował, że zamierza spędzić dzień z señorem Estebanem. John Spaulding zaofiarował się zabrać panią Maloney na długi spacer, w razie gdyby Woolf miał ochotę pokazać Taryn, jak postępują prace we Dworze. Alicja podskoczyła i uściskała ją, szepcząc, by nie wypuszczała okazji z ręki; Kucharcia ciągnęła Woolfa za surdut, ten zaś na oczach wszystkich pochwycił Taryn w ramiona.

- Wybaczysz mi, prawda? Powiniennem zacząć zaloty, zanim zapomnę wszystkie twoje rady - powiedział z uśmiechem i wyprowadził ją z kościoła.

- Och, Woolf, nie miałam pojęcia, że Oliver miał zamiar ogłosić dzisiaj moje zaręczyny z Gilesem - oznajmiła, kiedy siedzieli już w powozie.

- Domyśliłem się tego, kiedy zobaczyłem wyraz twojej twarzy.

- Tak wystraszyłeś wikarego, że ze strachu wymienił twoje nazwisko zamiast Gilesa, - Popatrzyła na kamienną twarz Woolfa. Wiele by dała, żeby wiedzieć, o czym on myśli. - Nie musiałeś udawać, że wszystko jest w porządku. Mogłeś przecież powiedzieć, że wikary się pomylił.

- Tak uważasz? - zapytał od niechcienia, jakby rozmawiali o drzewach rosnących przy drodze.

- Dlaczego go nie poprawiłeś? Ludzie by to zrozumieli.

Spojrzał na nią ze smutkiem pełnym goryczy.

- Ty także?

- Co masz na myśli?

- Czy zrozumiałabyś, gdybym raz jeszcze bez słowa protestu oddał cię Gilesowi?

Nie miała odpowiedzi na to pytanie; prawdę powiedziawszy, zaparło jej dech w piersiach. Nie śmiała prosić, by wyjaśnił, co ma na myśli - wiedziała, że w tej uwadze mogło kryć się wiele intencji. Duma nie pozwoliła jej zapytać, czy naprawdę chce jej dla niej samej, ani dowiedzieć się, czy przystał na pomyłkowe zapowiedzi jedynie z chęci zranienia Gilesa i jego rodziców.

- Chcesz zobaczyć, jak postępują roboty we Dworze? - zapytał uprzejmie i ten towarzyski ton stropił ją do reszty.

- Tak - odpowiedziała, rada, że zyska trochę Czasu, co może ułatwić jej znalezienie odpowiedzi na tak ważne pytania.

Jechał powoli w stronę Dworu, z dumą pokazując jej poczynione ulepszenia. Krzewy przycięto. Z fasady zdjęto porastający ją bluszcz. Pod oknami biblioteki rosły krzewy róż, odbijające ciemną zielenią od bieli kamieni. Ciężkie drzwi frontowe wyglądały jak nowe, mosiężna kołatka złociła się niczym wielki cygański kolczyk.

Woolf wyskoczył z dwukółki i pociągnął ją za sobą. Inaczej niż w Wierzbówce, gdzie do sieni wiodły okazałe schody, wejście do Dworu podniesione było ledwie o jeden stopień. Zastanawiała się, ile czasu upłynęło od jej ostatniej tutaj bytności i raptem zdała sobie sprawę, że nie pojawiła się we Dworze od chwili wyjazdu - Nie, kiedy utrapiona samotnością chciała wspomnieć Woolfa, szła do chatki i tam o nim rozmyślała.

- Powinienem poprosić panią Maloney, żeby służyła nam za przyzwoitkę - oznajmił. - Zatrudniłem ją w miejsce Parsons.

Taryn zdawała sobie sprawę, że musi teraz przełknąć gorzką pigułkę. Woolf jeszcze raz pokazał, w jak bezwzględny sposób potrafi odpłacić pięknym za nadobne. Cała ta historia coraz bardziej zaczynała wyglądać na rewanż.

Poprowadził ją do starej biblioteki, by pochwalić się swoimi osiągnięciami. Ujął jej dłoń szczerząc zęby w pełnym dumy uśmiechu, jakby stworzył arcydzieło. Rzeczywiście stworzył pomyślała - arcydzieło chaosu. Wnosząc z jego miny, że bardzo pragnie pochwały, nie miała serca powiedzieć mu, co myśli. Podłoga została ogołocoana do nagich desek. Zbutwiały dywan czekał zwinięty na wyniesienie obok sterty spleśniałych książek. Wyszorowane regały stały na środku pokoju, odświeżona boazeria połyskiwała głębokim

brązem. Uważnie spojrzawszy doszła do wniosku, iż było to arcydzieło - w trakcie powstawania.

Kiedy mu to powiedziała, obnażył zęby w radosnym uśmiechu i pociągnął ją na piętro, rozprawiając o planach odnowienia pustej teraz, rozbrzmiewającej echem sali balowej i smutnego pokoju muzycznego, ogołoczonego z pianina należącego do matki Woolfa. Zastanawiała się, czy wie, że stoi ono teraz w domu Klaudii.

Nie zachodząc już do pozostałych pokoi, poprowadził ją jeszcze wyżej i zatrzymał się przed drzwiami wiodącymi do apartamentów pana domu. Weszła do środka zafascynowana zaszły tu zmianami.

Pociemniałe boazerie oczyszczono i położono nową politurę. Dotknęła z podziwem nowych, zielonych kotar z mięsistego aksamitu, tak miłego w dotyku, że miała ochotę owinać się w miękką materię. Szedł za nią wyczuwając jej zachwyty.

- Prezent od miejscowych przemysłowców.

Zdjęta nagłą myślą odwróciła się do niego. Stał oparty o wspornik łóżka.

- Czy nowe wyposażenie sklepów we wsi...?

- Wyraz szacunku przemysłowców Olivera. Pamiętasz, że chciałem puścić wszystko płazem, jeśli pokaże mi kwity, ale on odmówił i nasłał ich na Dwór, Na szczęście przytarliśmy im nosa.

- To straszne! - krzyknęła Taryn. - Woolf wzruszył ramionami, jak zwykł czynić zawsze, kiedy triumfował. - Chcesz odwetu - dokończyła zniżając głos.

- Chcę, żeby przestał.

- Nie możesz pójść do sędziego? Masz chyba dowody?

Usiadł na zielonej aksamitnej kapie z miną, która nic jej nie mówiła.

- Powiedziałem prawdę. Dzisiaj rano przyjechał mój adwokat z interesującymi wieściami. Geoffrey dowiadywał się u pana Fletchera o stan twojego majątku, ale nic nie wskórał. Mój prawnik powiada, że znalazł dowód, iż Oliver systematycznie kradł z naszych spadków. Sfałszował nawet akt kupna Wierzbówki i Heritage.

Taryn zaparło dech; przez chwilę nie mogła powiedzieć słowa. Usiłowała zrozumieć to, co właśnie usłyszała.

- Jest tu teraz? Ma papiery? Chciałabym z nim mówić.

- Wrócił do Londynu. Ma wnieść sprawę przeciwko Oliverowi.

- Ach, tak - powiedziała powoli. - City ty... - Wykonała odruchowy gest dłonią, jakby chciała powstrzymać gniew Woolfa. - Zapowiedzi... Zrobiłeś to po to, żeby odplącić Oliverowi i Klaudii?

Patrzył na nią uważnie, zanim odpowiedział:

- Poprosiłem wikarego, by nie ogłaszał zapowiedzi twojego ślubu z Gilesem - odparł wymawiając wyraźnie każde słowo. - Chciałem powstrzymać cię przed fałszywym, niewybaczalnym krokiem. Ja...

Serce ścięło jej lodem.

- Niewybaczalnym? Wtrąciłeś się nieproszony, ponieważ uznałeś...

Nagle bunt, który tłumiała od tygodni, wybuchł z całą siłą. Uniosła brodę.

- Wiedz, że mam już tego dość. Ciągłe ktoś podejmuje decyzje w moim imieniu.

Woolf próbował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu.

- Klaudia postanowiła, że mam z nią mieszkać i poślubić Gilesa. Oliver uznał, że może dysponować bez pytania moimi pieniędzmi. - Mówiła coraz bardziej porywczo. - Ty uznałeś, że powinieneś się wtrącić, kiedy mnie biją, i narazić na lata niebezpieczeństw. Potem, ni stąd, ni zowąd, nagle mnie całujesz i nie troszcząc się nawet, co czuję, znikasz, zostawiając mnie na ich łasce. I to po tym, jak dałeś mi do zrozumienia, że mnie kochasz! Może rozmawiałeś ze mną, co? Martwiłeś się i wróciłeś, żeby zobaczyć, jak mi się wiedzie? O, nie, nie mogłeś. Ta twoja przeklęta krew Burnhamów. Zostawiłeś mnie we łzach - Miałam płakać nad twoim złamanym sercem i pocieszać się myślą o własnej szlachetności Przecież odprawiam cię, żeby ratować twoje nieszczęsne życie i żałosne sny o bogactwie!

Woolf zdawał się nic nie rozumieć. Patrzył na nią oszołomiony, otwiera! usta, chcąc coś wtrącić, ale ona mówiła dalej:

- Kiedy mnie zostawiłeś, rozumiałam, że mogę sobie poradzić bez was - wujostwa, Gilesa, a szczególnie ciebie. Błagałam Geoffreya, żeby obalił testament mojego ojca. Od niego się dowiedziałam, że ojciec nie nakazywał mi wyjść za Gilesa, dawał tylko swoje pozwolenie, gdybym sama tego chciała.

Nie zważała na jego zdumioną minę.

- Geoffrey twierdził, że ojciec najprawdopodobniej ustanowił powiernictwo, które powinno zapewnić mi niezależność, gdy przejmę majątek, ale lękał się, że Oliver uczynił powiernikiem swojego zausznika.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? - zapytał głosem pełnym urazy.

- Pomyśl, Woolf. Byłeś wściekły, myślałeś tylko o tym, jak wziąć odwet. Nie ufałam ci. Mogłeś w przypływie złości zdradzić się przed Oliverem, nie myśląc o tym, jaka krzywdę mi to wyrządzi. Widzę, że miałam rację, zważywszy na to, co zrobiłeś dzisiaj rano. - - Podeszła do niego i energicznie chwyciła go za fular. - Myślisz, że jestem idiotką?

Szarpnęła go z całej siły.

- To ty jesteś idiotą, jeśli sądzisz, że możesz traktować mnie jak pionek w twojej rozgrywce z Oliverem. Jesteś imbecylem, jeśli uważasz, że pozwolę ogłosić drugie zapowiedzi, nie mówiąc już o trzecich. Poniżysz ich, ukarzesz, a potem zostawisz mnie znowu, tyle że tym razem przed ołtarzem.

Po chwili namysłu ciągnęła:

- O, nie. Będziesz kontynuować dzieło Geoffreya i uwolnisz mnie od Olivera. Potem zaakceptujesz moją ofertę kupna Kingsford. Nie pozwolę ci rozmyślić się po kilku tygodniach i ruszyć na kolejną wyprawę dookoła świata, łamiąc przy okazji serca wielu ludzi.

Uśmiech zniknął z jego ust.

- Nie ufasz, że zadbam o ciebie?

- Nie słuchałeś, co mówię? Nie chcę być zależna od nikogo. Zamieszkam z Kucharcią i Alicją. Nigdy nie wyjdę za mąż. Nikt już nie będzie sprawował kontroli nad moim majątkiem czy moim życiem.

Odwróciła się w stronę wyjścia, rzucając przez ramię ostatnią cierpką uwagę:

- Teraz, kiedy jestem bogata i niezależna, powinnam chyba wziąć sobie kochanka. Może Gilesa? Co ty na to?

Bez słowa chwycił ją w pasie i pociągnął za sobą na łóżko. Usiłowała się wyswobodzić, ale nie zwalniał uścisku. Nie trzymaj mnie, nie dotykaj, bo przestanę myśleć, błagała go w duchu.

Spróbowała bronić się szyderstwem, zakpić z niego.

- A może jednak zrobię tak, by biedny wikary był tym, który będzie śmiał się ostatni ze swojej pomyłki. Najesz się wstydu, a ja wyjdę, za ciebie i będę cię katowała przez resztę życia. Wystarczy, że pozwolę na drugie i trzecie zapowiedzi, Kiedy jut ślub zostanie ogłoszony Wszem i wobec, nie będziesz mógł się wycofać.

Widząc jego minę gotującego się do skoku drapieżnika, pożałowała, że wypowiedziała te słowa. Już wołała, kiedy śmiał się z niej, jak to miał w zwyczaju. Pamiętała cały czas, że leży w sypialni i igra z mężczyzną, którego trzech pocałunków zapewne nigdy nie zapomni.

Nie, myślała uwalniając się z jego objęć i opierając o zagłówek łóżka. Nie dopuści, by się zorientował, jak silne wywiera na niej wrażenie, zwłaszcza że spogląda na nią w ten sposób.

Woolf usiłował wymyślić jakąś ciętą odpowiedź, która sprowokowałaby kolejny zachwycający atak gniewu i wywołała rumieniec na jej policzkach. Jednocześnie uśmiechał się w dachu podziwiając krągłość piersi Taryn, rysujących się pod delikatną tkaniną letniej sukienki i kształtne nogi obciążone pończochami.

Taryn najwyraźniej czekała, by jej powiedział, co ma zamiar zrobić w sprawie następnych zapowiedzi.

Prawdę mówiąc, nie miał zamiaru nic robić całą rzecz zawierzywszy Bogu. Niech błogosławiony będzie wikary, który je ogłosił na prośbę Woolfa, chcąc zatuszować własne sprawy. Niech błogosławiona będzie Taryn, że okłamała wikarego. Błogosławiony niech będzie sposób, w jaki reaguje na jego dotknięcie, Cholera, pomyślał, niech wszyscy będą błogosławieni.

Na pierwszym miejscu jednak błogosławiona niech będzie jego własny sprytny upór i wytrwałość. Zastanawia} się, jak sprawić, by zrozumiała, że pragnie go bardziej niż kogokolwiek z Kingsford, bardziej niż niezależności, o którą tak zabiegała, Choćby nie wiem jak się opierała, odwzajemni w końcu jego miłość. Będzie szczęśliwa, już on o to zadba.

Najpierw powinien zacząć zaloty. Najlepiej zaraz.

Objął ją i przygarnął do siebie. Czuł, że jest mu dobrze, że to właściwe i konieczne. Zadrżała, kiedy przesunął palcami po jej nagich ramionach, a on zdziwił się, że tak bardzo, do bólu, pragnie jej, że tak pociąga go jej różano - kobiecy zapach.

- Woolf - zaprotestowała, ale on tylko ukrył twarz w jej włosach. Głęboko wchłania odurzający aromat, walcząc z ogarniającą go namiętnością, pragnieniem zbliżenia. Poszukał wargami jej szyi - delikatnej, cieplej, o pulsujących gwałtownie żyłach.

Nie mógł się zatrzymać, nie teraz, po tylu latach bolesnej tęsknoty za spełnieniem. Nabył jej usta, pożerał je, cała delikatność gdzieś zniknęła. Brał to, czego tak pragnął, łączył się z nią całą duszą. Objęła go i przytuliła się mocno. Poczul dotyk jej piersi. Tak, Taryn, myślał, i ty mnie chciej, powitaj mnie wreszcie w domu.

Całował ją coraz mocniej, smakował jej wargi, zagłębiał się w jej ostach...

Zdyszana odsunęła się, kręcąc zawzięcie głowa. Tak bardzo pragnął przyciągnąć ją do siebie na powrót, ale to była Taryn, jego Taryn, a on nie był dzikim zwierzęciem i nie chciał jej wystraszyć. Czekał, aż złapie oddech, zaczął żartować, by oboje mieli czas ochłonać.

- Czy nie urągałaś mi właśnie, kochanie? Mam ci dać kij od szczotki, żebyś mogła złoć mi skórę?

Chciała posłać mu mordercze spojrzenie, ale oczy jej się śmiały. Przesunęła się czujnie na skraj łóżka.

- Och, Woolf, całkiem tracę przy tobie głowę, wiesz o tym.

- Wiem i przepraszam. Tak długo czekałem na sposobność, żeby z tobą porozmawiać. W księgarni nam przerwano. Chciałbym odwołać te wszystkie niegodziwości, których ci nagadałem - Znamy się przecież od dziecka. Tyle razem przeszliśmy.

Położył dłoń na jej dłoni, nie chcąc, by się odsuwała.

- Chyba pisane nam jest być razem i chociaż życie nas rozdzieliło, chociaż poszliśmy każde swoją drogą, nie znaczy, że straciliśmy to, co nas łączy: wzajemną troskę i sympatię, ;wiarę w siebie. Wbrew pozorom nie wierzę, że mogłabyś źle mi życzyć... i chyba wiesz, mam nadzieję, że i ja nie życzę ci źle.

Poczuł dławienie w gardle. Zamilkł, uniósł jej dłoń do ust, ucałował, po czym odchrząknął i ciągnął dalej:

- Kiedy usłyszałem dzisiaj rano, jak wikary czyta zapowiedzi, zrozumiałem, dlaczego wróciłem do domu, dlaczego tak bardzo nie chciałem, żeby dostał cię Giles. - Gładził jej włosy, aż wypadły z nich, jedna po drugiej, wszystkie spinki - . - Kocham cię, Taryn.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami; jej biała jak kość słoniowa skóra spąsowiała.

- Taryn, najdroższa, kocham cię od tak dawna. O niczym innym nie mogę myśleć. Sądziłem, że zapomnę o tobie wyjeżdżając, że wyrzucę cię z serca... ale kiedy znowu cię zobaczyłem, poczułem się tak, jakby ktoś zdzielił mnie w głowę. Pojąłem, że nadal masz nade mną władzę, że możesz mnie zranić. Walczyłem ze sobą i skrzywdziłem przy okazji nas obydwójce.

Bawił się jej lokami, wdychając ich słodki zapach.

- Wiem, że nie powinienem być taki samolubny, że powinienem dać ci sposobność, byś się przekonała, czy potrafisz pokochać kogoś innego. Nie masz przecież żadnego doświadczenia. Gdybym był dżentelmenem, pozwoliłbym, żeby inni mężczyźni o ciebie zabiegali. Nie jestem dżentelmenem, Taryn, ale zjeździłem pół świata i nigdy nie spotkałem nikogo, kto byłby ciebie wart albo kochał cię tak jak ja. Skoro już tu jestem, nie pozwolę ci spojrzeć na nikogo innego. Składam swoje życie i swój majątek u twych stóp. Zrobię dla ciebie wszystko... nie pozwolę ci tylko odejść.

Uśmiechnęła się cudownym, niewinnym uśmiechem i nachyliwszy się, musnęła jego usta. Delikatne dotknięcie wstrząsnęło nim do głębi, Siłą powstrzymywał się, by nie zacałować jej na śmierć. Musi być delikatny, strzec jej cnoty przed własną żądzą. Nachyliła się ponownie i oparła dłonie na jego piersi, by pocałować go raz jeszcze.

W chwili, kiedy jej usta dotknęły jego warg, poczuł, że zaczną się kłopoty. Jakże ma zachować rozwagę, kiedy miękła pod jego pierwszym dotknięciem? Odsunął się, ale wydała cichy jęk protestu i oplotła jego szyję rękoma, przywierając do niego ustami niczym niemowlę szukające pokarmu.

Opadł z powrotem na łóżko i przytulił ją do siebie. W pieszczocie przesunął dłoń w dół, na jej biodro. Oplotła go nogami. Serce waliło mu jak oszalałe; brakło mu tchu, a jego

ciało przenikały niepohamowane pragnienia.

Bez słowa odwrócił ją na plecy, nie przestając całować i pieścić.

Taryn mruczała jak kotka, wijąc się w jego objęciach. Zamknęła oczy, rozchyliła wargi - Musi położyć temu kres, mówił sobie w duchu, ale kiedy poczuł, jak jej gorący język odpowiada na jego pieszczoty, przepadł z kretesem.

Jęknęła cichutko. Wiedział, że i ona myśli o tym, jak niebezpiecznie daleko posunęli się w pieszczotach. Oderwała się wreszcie od niego i zwinęła w kłębek u jego boku, skazując na nie znane dotąd męki.

- Och, Woolf - powiedziała bez tchu. - - W głowie mam zupełny zamęt Jeśli się teraz nie pohamujemy, będą z tego dzieci i żadnych szans na odwołanie zapowiedzi.

Uważasz zatem, że naprawdę chcę odwołać zapowiedzi? - zapytał zdumiony. Nie doczekawszy się ani słowa, bacznie obserwował jej twarz uroczo zaróżowioną po chwili zapomnienia. - Jednego możesz być pewna, nie mam zamiaru niczego odwoływać. Myślę w tej chwili tylko o tym, żeby znaleźć się z tobą w małżeńskim łóżku i nie wypuszczać cię z niego przynajmniej przez rok, i choćby i do śmierci, jeśli ta wcześniej mnie nie dopadnie - ostatnie słowa wybąkał pod nosem, myśląc. o tym, w jakim stanie zostawiła go przed chwilą.

- Woolf, rozumiesz chyba, że jeszcze bardzo niedawno miałam zupełnie inne plany, a ty teraz całkowicie je zmieniasz, pomyśl, jak rzadko się widywaliśmy od chwili twojego powrotu, powinniśmy poznać się od początku. Muszę się upewnić, że mnie kochasz...

Usiadł na łóżku i pomógł jej się podnieść. Oparta głowę na jego ramieniu.

- Proszę, niech cię nie ranią moje słowa, bądź mi przyjacielem i postaraj się zrozumieć, jak dawniej. Nie chce byś ty, czy ktokolwiek inny, decydował za mnie. Nie jestem jednym z twoich wieśniaków, kimś, z kim możesz poczynać sobie wedle własnej woli, grzecznie wypytywać o życzenia; by w końcu i tak postawić na swoim. Jeśli mnie kochasz, musisz zobaczyć mnie taką, jaka jestem, słuchać, co mówię...

Ujął ją pod brodę i spojrzał w oczy.

- Słucham cię, Taryn. Chciałbym, żebyś chociaż raz powiedziała, że mnie kochasz.

Uśmiechnęła się; oczy jej rozpromieniły się wewnętrzną tajemnicą.

- Myślę, że pokochałam cię, ledwie się poznaliśmy. Czułam taką... pustkę po twoim wyjeździe. - Pochylił się ku niej, ale odtrąciła go łokciem. - Dość tego. Muszę poprawić włosy, zanim ktokolwiek zdąży pomyśleć najgorsze. - Podeszła do toaletki i wzięła jego szczotkę. Obserwował ją wygodnie wyciągnięty na łóżku, rozmyślając o ich wspólnym życiu.

Kiedy już doprowadziła się do porządku, ruszyła do drzwi.

- Muszę porozmawiać z Gilesem, wytłumaczyć mu, że nie mogę za nieco wyjść. To okropne, że muszę zadać mu ból, ale...

- Nie masz chyba zamiaru wracać do tego domu.

- Ależ tak, Woolf - odparła gotowa do sprzeczki. - Nie mogę wprowadzić się tutaj, nie mogę wynieść się nie mówiąc nic Kucharci i...

- Prosisz, żebym nie mówił ci. co masz robić, jeśli jednak mam posłuchać twojej prośby, musisz postępować trochę rozważniej. Pamiętasz chyba, jak cię pilnowali, kiedy z nimi zamieszkałaś, jak, nie spuszczała cię z oka. Zastanów się dobrze, jak zareagują, kiedy

zrozumieją, że wymykają, im się twoje pieniądze.

Mówił to z poważną miną. Ona też się nie uśmiechała.

Tak zastał ich Oliver. Chociaż jak wszyscy wiedzieli, nigdy nie nosił broni, zawsze wyrażając się innymi przy brudnej robocie, tym razem sam przystawił jej pistolet do skroni. Towarzyszył mu Quinn, z batem w dłoni.

- Planujemy pokoik dziecinny, moja panno? - zapytał zakładając jej rękę na szyję. - A może rozmawiamy o tym, co zrobić z moimi pieniędzmi?

- Ona się stąd nie ruszy, Oliverze - oznajmił Woolf, ruszając w stronę napastnika.

- Prędejj ją zabiję, niż oddam tobie - wycedził Oliver lodowatym głosem.

Wiedziała, że tak myśli, tak jak wiedziała, że i Woolf nie rzuca słów na wiatr.

Woolf zatrzymał się. Chciało jej się płakać na widok wyrazu jego twarzy. Gorączkowo myślała, jak wybawić ich oboje z opresji. Próbowwała się uwolnić, ale Oliver trzymał ją w żelaznym uścisku. Krzyknęła widząc, jak Quinn krępuje Woolfa wyjętym z kieszeni kaftana sznurem.

- Puść go - błagała. - Jeśli zrobisz mu krzywdę, nigdy nie poślubię Gilesa. Wszyscy się dowiedzą, jakim jesteś potworem. Jeśli go zabijesz, zabije siebie albo ciebie, przy pierwszej sposobności.

- Powiedziałem prawdę w kościele, Chastain. Dzisiaj rano był u mnie adwokat lorda Hawksleya. Ma w sejfie dowody twoich ciemnych interesów, ma też gotowy pozew, by wszcząć dochodzenie przeciwko tobie. Jeśli umrę albo zniknę, albo jeśli zmusisz Taryn do poślubienia Gilesa, stracisz wszystko, nie wyłączając głowy. Puść ją.

- Dobrze, pójdźmy na kompromis - odparł Oliver po namyśle. - Dopóki Taryn nie wyjdzie za Gilesa, Woolf będzie moim zakładnikiem, uwolnię go dopiero po ślubie.

- Nie wierz mu. Taryn!

Na znak Olivera Quinn zdzielił Woolfa w głowę kolbą pistoletu. Padł bez czucia.

- Zabierz go stąd, ukryj, a potem znajdź tego diabła cudzoziemca i zabij.

Asada oszczędzając chrome biodro szedł powoli przez las w stronę Dworu. Słyszając szelest liści, zaczął bacznie nasłuchiwać i rozglądać się wokół. Stanął teraz czujnie. Kiedy zbliżył się do podejrzanego miejsca, skoczył przed siebie i zanim ofiarą zdążyła pojąć jego intencje, już ją miał.

Wyciągnął schwytanego na ścieżkę. W światło księżyca.

- Zostawcie mnie, panie Asada. Czekałem na was.

- Spaulding? - Puścił nieszczęśnika. - Co się stało?

- Pan zniknął. Wyszedł razem z panna Taryn z kościoła. Pewnie pojechali do Dworu, ale teraz ich tam nie ma. Dwukółka stoi na podjeździe, konie w stajni. - Potarł gardło. - Najpierw poszedłem do Wierzbówki, zobaczyć, czy nie ma tam panny Taryn, ale pan Chastain otoczył dom swoimi przemytnikami. Kiedy wróciłem, zobaczyłem, że zbiry pana Olivera kręcą się koło Dworu, no to przyczałem się tutaj, w razie gdyby dybali i na was.

- Poczciwiec z ciebie. Gdzie pani Maloney?

- We Dworze, niczym prawa ręka Giwera:

- To już trup.

- Pan? - Spaulding cofnął się o krok, przerażony.

- Nie - odparł Asada. - Oliver Chastain. - Zatrzymał się na moment. - Wracaj i zachowuj się, jakby nic nie zaszło. Gdyby pani Maloney zaczęła coś podejrzewać, zabierz ją w bezpieczne miejsce, gdzie nie znajdą was ludzie Olivera. Wyjedźcie z miasta, jeśli będzie trzeba, ale bez hałasu. Ufam, że będziesz miał dość rozumu.

- Niech was Bóg prowadzi, panie Asada - powiedział prostując się niczym żołnierz przyjmujący rozkazy, po czym ruszył w stronę Dworu.

Kilka godzin później Asada wślizgnął się do prywatnych apartamentów señora Estebana. Stał cicho, nasłuchując. Czuły słuch poprowadził go ku łóżu. Tu modląc się o mądrość i roztropność przyłożył sztylet do szyi Estebana.

- Señor Esteban, mam z wami do pomówienia.

Esteban leżał bez ruchu.

- Służę ci. Asada.

- Oliver Chastain, zanim pożegna się z życiem, pojmał mojego przyjaciela Woolfesana. Chcę wiedzieć, czyś mi tu wrogiem, czy przyjacielem.

Esteban szarpnął się, próbując usiąść. Asada zwiększył nacisk sztyletu - Esteban opadł na poduszki.

- Oliver pojmał Woolfa? Żyje jeszcze?

- Tego nie wiem. Zabrał go dzisiaj rano z Dworu. Poszedłem do Wierzbówki. ale strzegą domu niczym fortecy - Nie mogę znaleźć Quinna, pewnie jest z Woolfem. On też jest już trupem - przerwał, wpatrując się w twarz Estebana, po czym usiadł na skraju łóżka.

- Jestem po twojej stronie, Asada. Pozwól mi wstać.

Japończyk spoglądał na niego przez chwilę.

- Przysięgnij!

Señor Esteban posłał mu wściekle spojrzenie.

- Przysięgam na życie mojego syna, Woolfa Burnhama - powiedział z ciężkim

westchnieniem.

Asada schował wreszcie nóż, lecz atmosfera padała była napięta.

- To ty jesteś tym łajdakiem piratem, którego szukał Woolfesan? Ciesz się, że nie wie, ktoś zacz, bo poczułbyś już jego sztylet na gardle.

- Nienawidzi mnie?

- Obejrzyj blizny na plecach twojego syna. wstawił je bat Quinna, zausznika Olivera. przez całe lata był na ich lasce.

Esteban słuchał z lodowatą twarzą.

- Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś, Asada. - Usiadł powoli i odrzucił kołdrę, odsłaniając ukryty pod nią pistolet.

- Widzisz, mogłem cię zabić w każdej chwili - powiedział z chępliwym uśmiechem. - Był wycelowany w twoje serce.

Napięte rysy Asady rozluźniły się.

- Wątpię, señor Esteban.

- Gdybym chybił, odgłos strzału sprowadziłby tu moich ludzi. Rozerwaliby cię na kawałki.

Asada uśmiechnął się.

- Musieliby być szybsi niż ci dwaj, którzy leżą nieprzytomni w sieni. - Wstał niecierpliwie. - Dość tego. Trzeba coś postanowić.

Esteban ubierał się w pośpiechu.

- Trzeba rzecz załatwić sprytnie. Asada. Klnę się, że niczego tak nie pragnę jak zaatakować Wierzbówkę i zabić tego robaka Olivera. ale nie możemy tego zrobić, bo skazałibyśmy Woolfa na śmierć. Oliver nie może się domyślić, że jestem jego wrogiem. Nie wolno nam też dopuścić, żeby cię znalazł. - Asada skinął głową, a Esteban kontynuował: - Poślemy moich ludzi na przeszpiegi, ale musimy postępować ostrożnie, co spowolni nasze działania. Tymczasem będziemy śledzić każdy krok Olivera. Miejmy nadzieję, że doprowadzi nas do Woolfa.

Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i weszła Klaudia. Siedząca przy oknie Taryn odwróciła głowę. Patrzyła na zagniewaną ciotkę z lękiem i niepokojem.

- Dopięłaś swego, Taryn Burnham. Zachęcałaś tego łajdaka, Woolfa, by się znowu za tobą uganiał, i upokorzył naszą rodzinę w kościele. I pomyśleć, że ten dzień miał być dniem naszego triumfu, naszym świętem. Wystawiłaś na pośmiewisko swojego kuzyna. Biedny Giles nie może dojść do siebie.

- Przykro mi. ciociu Klaudio. Wcale nie zachęcałam Woolfa. Spytaj kogokolwiek, kto widział nas razem, a powie ci, że zawsze się kłóciliśmy.

Klaudia podeszła bliżej i prychnęła w twarz Taryn:

- Nie opierałaś się, kiedy wychodziliście razem z kościoła, ty zuchwała dziewczyno. Wszyscy widzieli. Zniknęłaś na kilka godzin. Bóg wie, co robiłaś.

- Poszłam z rum porozmawiać, przemówić mu do rozsądku. Pokazał mi Dwór, a potem pojawił się Oliver, żeby mnie zabrać. - Nie miała pojęcia, co Klaudia wie o niecnym pogrózkach Olivera, ale próbowała zaskarbić sobie jej wsparcie. - Wuj Oliver pojął Woolfa. Chce zmusić mnie, bym poślubiła Gilesa. Wiedziałaś o tym, ciociu?

Klaudia wyglądała na zaskoczoną, ale nie okazała zaniepokojenia.

- Być może uznał, że Woolf jest groźnym człowiekiem, więc usunął go dla bezpieczeństwa twojego i Gilesa. Nie zaszkodzi mu, jak posiedzi kilka dni w zamknięciu. Oliver uzyskał już specjalne pozwolenie. W najbliższą niedzielę poślubisz Gilesa i uczynisz to bez oporów, na oczach świadków. W ten sposób nikt nie unieważni małżeństwa.

Taryn poczuła się tak, jakby ktoś zadał jej cios sztyletem w serce. Woolf był w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Oliver jest groźnym człowiekiem. Klaudio. Mówi, że uwolni Woolfa po naszym ślubie, ale ja wiem, że go zabije.

Rozwścieczona ciotka wymierzyła Taryn siarczysty policzek. W oczach dziewczyny pojawiły się łzy.

- Nie zmyślaj przewrotna pannico. Nic dziwnego, że Oliver cię zamknął. Jesteś jak twoja matka, uganiaś się za mężczyznami. Same kłopoty z tobą.

- Moja matka? - zapytała Taryn cicho.

Klaudia zaczęła krążyć niespokojnie po pokoju, z nieobecny wzrokiem, jakby oglądała sceny z przeszłości.

- Twój ojciec zalecał się najpierw do mnie. Wiedziałaś o tym? Tak, uwielbiał mnie. Potem wmieszała się ta suka, uwiodła go i zmusiła do małżeństwa. Śmiałam się. Kiedy umarli.

Taryn nie dała jej poznać, jaką zgrozą napęliły ją ostatniej słowa.

- Jestem zdziwiona, że po tym wszystkim zabrałaś mnie do siebie.

- Miałam w tym swój interes, czyż nie? Teraz mój Giles dostanie wszystko.

- Nie widziałam go jeszcze. Chciałabym go przeprosić.

- Zobaczysz go dopiero w niedzielę. Nie dopuszczę, żebyś wyrządziła mu kolejną krzywdę przed dniem ślubu, później nic już nie wskórasz, będzie za późno...

W monolog ciotki wdarł się ostry głos.

- Klaudio, mówiłem ci. żeby nikt nie odwiedzał tej dziewczyny.

- Miałam jej kilka słów do powiedzenia. Oliverze. Wychodzę już.

Taryn wiedziała, że musi się zobaczyć z Woolfem i że nie może zdradzić się przed Oliverem, że wie od Klaudii o specjalnym pozwoleniu na ślub. Gorączkowo szukała słów, które by go przekonały.

- Wuju Oltarze, chciałabym zobaczyć się w najbliższą sobotę z Woolfem, w następną także. Jeśli mi nie pozwolisz, nie będę ci posłuszna. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli go zabijesz, zrobię prawdziwe piekło.

Oliver spoglądał na nią przez długą, męczącą chwilę nieruchomym wzrokiem węża.

- Dobrze, w sobotę wieczorem, przed kolacją.

Woolf obudził się na podłodze jaskini na zwoju lin. Usiłował wstać, ale natychmiast poniechał tego zamiaru. Był związany i każdy ruch ciała wywoływał okropny ból. W grocie panował zaduch.

Poruszył się raz jeszcze, ostrożnie, krzyżąc niemal z bólu. Chwil, kiedy uwalniał przywiązane do zwoju lin włosy, wolałby nie przeżywać ponownie w przyszłości, jeśli miał w ogóle przed sobą jakąkolwiek przyszłość. Zmęczony wreszcie wysiłkiem i panującą wokół duchotą, zapadł w zbawcze omdlenie.

Pierwsza myśl, jaka mu przyszła do głowy, gdy odzyskał przytomność, to poszukać ochłody. Ciągle miał na sobie surduty i koszulę, w których był w kościele. Gdyby mógł je zdjąć... Spróbował poruszyć rękoma i nogami, chcąc sprawdzić, czy zdoła uwolnić się z więzów.

Nie minęło kilka sekund, gdy usłyszał powłóczące kroki Quinna. Zbir obrzucił Woolfa spojrzeniem pełnym satysfakcji, rozwiązał mu nogi i skrupował ręce z przodu, po czym umocnił więzy łańcuchem.

- Tym sposobem sam będziesz mógł zadbać o swoje potrzeby, la cię niańczył nie będę - oznajmił wlokąc Woolfa do skalnej ściany, w której tkwił żelazny pierścień, i tam przytwierdzając łańcuch.

- Tu masz wodę - powiedział, wskazując na ciemną strużkę na ścianie. Woolf idąc za jego wzrokiem zobaczył wyżłobienie w skale, gdzie zbierała się woda, skapująca kroplami przez brzeg zagłębienia.

Quinn przytaskał skądś wiadro i postawił je obok nogi Woolfa. Z dołu dochodził zapach wędzonych ryb i chleba. A więc zakładali, iż będzie jeszcze jadł i żył przynajmniej

przez kilka dni.

- Chastain przysłał nas tutaj dwóch. Jak ci przyjdą do głowy jakieś głupoty, to pamiętaj, że mam kompana i broń. Spróbuj się tylko wydostać, to trupem położę.

Woolf spojrział niechętnie w stronę wyjścia, gdzie majaczyła w ciemnościach lampa drugiego strażnika.

Tak mijały dni. Quinn i jego towarzysz grali w karty, pili i kłócili się między sobą, zaś Woolf snuł plany ucieczki: Codziennie chodził w tę i z powrotem na odległość, na jaką pozwalał łańcuch. Ból głowy po uderzeniu zmniejszał się, siły wracały, acz bardzo powoli. Ciągnął stale metalowy krążek raniąc sobie nadgarstki, chociaż wiedział, że miesiąc minie, zanim go obluzuje. Tyle czasu nie miał.

Umierał z niepokoju o Taryn. Ody pewnego wieczoru usłyszał jej głos, pomyślał, że traci rozum.

- Weź ode mnie te brudne łapy. Łajdaku - mówiła gniewnie.

Co się dzieje? Serce skoczyło mu do gardła. Próbował się podnieść, ale zanim zdążył uklęknąć, stała już przed nim.

Oliver zawołał Quinna. Ten pojawił się z bronią gotową strzału. Taryn uspokoiła się i spoglądała nieobecny wzrokiem w przestrzeń, z dłonią zaciśniętą na uchwycie lampy. Wściekły, bezradny, Woolf patrzył, jak Oliver bezwstydnie przesuwając dłońmi po jej ciele.

- Szukam tylko broni, przyjacielu.

Kiedy skończył, przemówiła lodowatym tonem:

- Zostaw nas teraz, tak jak się umówiliśmy.

- Masz pięć minut, moja panno - prychnął Oliver i oddalił się w towarzystwie Quinna.

Taryn popatrzyła z troską na Woolfa.

- Och, Woolf, strasznie wyglądasz - szepnęła odstawiając lampę. - Osunęła się na kolana i gładziła go po zarośniętej twarzy, całowała w usta. Usiadła na brudnej podłodze jaskini, a on przysunął się bliżej. Widząc jego poranione nadgarstki, sięgnęła do kieszeni i wydobyla małą buteleczkę brandy.

- Uparłam się, że przyniosę ją ze sobą, na wypadek gdybyś był ranny. Przemyć ci nadgarstki?

Woolf skinął głową. Jeden z jego planów zaczął nabierać realnych kształtów.

Uniosła dłoń do skroni i zaczęła mówić głośnym, afektowanym tonem.

- Od tego wszystkiego rozboleła mnie głowa. Mam takie uczucie, jakby włosy ścisnęły mi czoło niby w imadle: - Zaczęła wyjmować spinki i rozpuszczać włosy.

- Jak się naprawdę czujesz? - zapytała szeptem, wsuwając spinki pod jego kolano.

- Jak widzisz, Taryn. A ja ty się miewasz?

- Trzymają mnie zamkniętą w moim pokoju, ale poza tym dobrze. Myślisz; że mogą nas usłyszeć?

- Chyba nie. Dlaczego?

- Wplotłam we włosy nożyczki, masz je teraz pod nogą, razem ze spinkami. Są mocne, solidne. To jedyne, co udało mi się znaleźć w moim pokoju.

Nie wiedział, czy śmiać się z jej pomysowości, czy wyć do księżyca nad tym, jak znikomą pomocą będą mu jej nożyczki.

- Dziękuję, Taryn. Wiesz, co się dzieje z Asada?

- Nie. - Zamikła na chwilę, po czym dodała powoli: - Oliver kazał Quinnowi zabić go. Nie potrafię powiedzieć, czy wykonał już polecenie. - Głos jej zadrżał. - Posłuchaj. Woolf, jutro Oliver dostanie pozwolenie na ślub. Chce, żebym natychmiast wyszła za Gilesa. Dzisiaj w nocy musisz uciec, wiem, że on sam nigdy cię nie wypuści.

- Niech go piekło pochłonie - szepnął Woolf. - Teraz ty mnie posłuchaj, Taryn. Nie pozwól, by wydał etę ta Gilesa. Kiedy położy już rękę na pieniądzech, twoje życie będzie tyle warte co moje, Zaaaranżuje jakiś wypadek, tak, żeby prawda nigdy nie wyszła na jaw.

- I ja o tym pomyślałam. Masz, oczywiście rację. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pokrzyżować mu plany.

- Dobra dziewczyna. - Spojrzał na nią czule. - A teraz powiedz mi, że mnie kochasz.

Przełknęła ślinę.

- Kocham cię, Woolf - powiedział ledwie słyszalnym szeptem. - Żałuję, że nie uciekłam z tobą sześć lat temu.

- We Dworze mówiłaś, że odesłałaś omie, żeby ratować moje nędzne życie. Czy to prawda? Kochałaś mnie już wtedy?

Wyciągnęła dłoń i pogłaskała go po policzku.

- Zrozumiałam to dopiero przed samym twoim wyjazdem. Gdybyś został, nic byśmy nie osiągnęli, mając cały czas Olivera za plecami. Quinn znalazłby sposób, żeby cię usunąć.

- A więc kłamałaś.

- Mówię ci, że do ostatniej chwili była to dla mnie prawda. Serce omal mi nie pękło, że musisz wyjechać. - Nie odezwał się słowem, mówiła więc dalej: - Nigdy nie dałeś poznać, że mnie kochasz, Woolf. Zawsze byłeś taki diabelnie wyniosły.

- Duma. Nie chciałem prosić, Taryn.

- Powinieneś był przynajmniej pozwolić mi domyślić się, co czujesz. - Pocałowała go w policzek. - Następnym razem, kiedy będziesz się oświadczał, daj mi przynajmniej dziesięć

sekund na zastanowienie.

- Następnym razem, kiedy będę się oświadczał - powiedział muskając jej wargi - zarzucę cię na plecy i będę uciekał, ile sił w nogach.

Na chwilę zapomnieli się w pocałunku zaskoczeni jego magią. Woolf oderwał się wreszcie od ukochanej.

- Jeśli tylko zdołasz, uciekaj - powiedział nagle. – Nie wiem, co planują, ale nie cofną się przed niczym. Ratuń się. Ja też mam nadzieję się uwolnić, dzięki tobie - skłamał. - Teraz mają nas obydwójce.

Milczała przez moment po czym zaczęła płakać.

- Taryn... - szepnął cichutko; przytulił ją i zamknął oczy.

Gdzieś przy wejściu do jaskini zaszurały kroki Quinna, które zagłuszył zaraz głos Olivera.

- Quinn. wyprowadź dziewczynę!

Taryn ostatni raz przytuliła Woolfa i podniosła się. Minęła Quinna i ruszyła energicznie w stronę wyjścia z jaskini.

- No i co, Woolf - powiedział Oliver spoglądając w dół na więźnia. - Nasmakowałeś się, ale nie najadłeś.

- Bardzo jesteś odważny, Oliverze. przy związanym mężczyźnie i bezbronnej kobiecie.

- Wolę dziewczęta, młode dziewczęta - powiedział Oliver bardzo z siebie zadowolony. Okropna myśl przyszła Woolfowi do głowy.

- Takie jak Marta? - zapytał jadowicie.

- Właśnie - przytaknął chętnie Oliver. - Lubię młódki zbyt zaleźnione, żeby walczyć. - Wzruszył ramionami, jakby chciał odpędzić wyrzuty sumienia. - Dziewka zaczęła się stawiać i wypadła z okna.

- Pewnego dnia zapłacisz za wszystkie swoje grzechy. Kiedy dowody wyjdą na jaw...

- Zanim pojawią się twoi namolni adwokaci, będziesz już pod ziemią, a ja będę miał tyle pieniędzy do swojej dyspozycji, że przekupię wszystkich prawników, także sędziów. Albo wyjadę z kraju. Jeśli idzie o wszelkie niezgodności w dokumentach, Fletcher weźmie winę na siebie. – Spoglądał przez chwilę na Woolfa z chytrym uśmiechem, po czym dodał: - Nie więcej będę miał z tobą zachodu niż z twoim ojcem.

Woolf poderwał głowę. Oliver zaśmiał się.

- Wiesz, że twój ojciec był prowincjuszem? Kiedy nie siedział z nosem z buchalterii, rozrzuczał gnój. Nie zależało mi osobiście na tym, żeby się go pozbyć, ale stał mi drodze, a ja

chciałem mieć jego robotę. Wsadziłem go na statek i sprzedałem jak niewolnika.

Na odchodnym Oliver udzielił jeszcze Quinnowi ostatnich wskazówek:

- Kiedy usłyszysz weselne dzwony, zabij go!

Oliver wprowadził Taryn do jej pokoju w chwili, gdy pani Parsons właśnie je stamtąd wychodziła. Taryn usiadła przy toalecie patrząc z obrzydzeniem na obiad pozostawiony przez stara.. Po spotkaniu z Woolfem nie przełknęłaby kęsa, przerażona tym, co zobaczyła i zagrażającym im niebezpieczeństwem. Upiła ze szklanki parę łyków owocowego kordiału. Nagle usłyszała; ze Oliver mówi przed wyjściem do pani Parsons:

- Nie zamykaj jej dzisiaj w nocy na klucz..

Taryn z wrażenia zakrztusiła się tak, że aż zaczęła kasłać.

- Fuj! - Skrzywiła się, jako że kordy miał obrzydliwy smak. Sięgnęła po kawałek chleba, żeby przegryźć cokolwiek, i dłoń jej zamarła w pół ruchu.

Smak laudanum... i to złowieszcze polecenie Olivera.

Usiłowała uspokoić myśli. Dlaczego Oliver to powiedział? Czy zamierzał w nocy wyładować na niej swoją, wściekłość?? Dlaczego dał jej środek nasenny?

Wstała i poczęła oglądać szklankę. Była do połowy opróżniona. Aż tyle wypić? Za dużo. Zaraz zmorzy ją sen. Nie, postanowiła. Nie będzie leżała tutaj bezbronna, wystawiona na - zakusy Olivera. Musi zneutralizować działanie narkotyku, ale jak? Jak przeciwdziałać skutkom laudanum?

Sól... a może olej... coś, co spowoduje wymioty. Chwyciła dzban z wodą, stojący w drugim kącie pokoju i wróciła do stołu, gdzie stała taca z jedzeniem. Wzięła szklankę z kordialem i podeszła do okna. Cały czas czuła niesmak w ustach.

Wylała przez okno kordiał i napełniła szklankę wodą. Potem sięgnęła po stojącą na tacy solniczkę, odkręciła, wsypała zawartość do wody, zamieszała łyżeczką, zagniewana, że sól wygląda, jakby nie chciała się rozpuszczać. Bez namysłu wypić mieszanek jednym haustem. Litości, co za obrzydliwość, jakby łykała żwir. Połowa soli została w ustach, druga na dnie szklanki. Ponownie napełniła szklankę wodą. Gardło protestowało, ale nie udało się jej wywołać wymiotów. Żadnej reakcji.

Raz jeszcze przemierzyła pokój, wzięła miednicę, ustawiła na toalecie. Spojrzała w lustro: zmierzwiłone włosy, zaczerwienione oczy, sól na wargach, twarz lunatyczki. Wzięła głęboki oddech i włożyła palce do gardła. Nic. Zaczęła się tylko krztusić. Spróbowała użyć łyżeczki, wpychając ją głęboko do gardła. Bez skutku.

Otarła wargi rękawem, rozglądając się dookoła. Musi uciekać, ale jak? Jej pokój

znajdował się na drugim piętrze, pod oknem żadnego drzewa. Raz jeszcze spróbowała sprowokować wymioty, przerażona myślą, że lada chwila zmorzy ją sen. Postanowiła walczyć. Nie pozwoli, by w nocy spotkało ją coś złego.

Przysięgła sobie, że nie będzie leżała bezradna czekając na to, że ktoś pojawi się w jej pokoju. Sól w końcu zacznie działać. Musi podziałać. Tymczasem poszuka jakiegoś narzędzia obrony.

Na gzymsie nad kominkiem stała mosiężna statuetka tak ciężka, że kiedy ją uniosła, poczuła ból w nadgarstku. Postawiła ją na szatce nocnej obok łóżka i dalej myszkowała po pokoju szukając się do walki.

Wreszcie położyła się do łóżka nie zdejmując sukni. Chociaż powieki same jej się zamykały, usiłowała walczyć z sennością. Usłyszała cichy szcęk klamki. Ktoś wślizgnął się do pokoju. Szelest zdejmowanego ubrania, stąpanie bosych stop po dywanie, coraz bliżej łóżka.

Sięgnęła po statuetkę, choć nie była pewna, czy potrafi jej użyć. Nocny gość odgarnął kołdrę. Kiedy ułożył się obok niej, poczuła odór alkoholu. Uniosła figurkę i rąbnęła nią Intruza - celowała w barki. Kiedy chciała zadać cios w głowę, statuetka wyslizgnęła jej się z dłoni i upadła na podłogę.

Słyszała jęki bólu. Zdyszana, ożywiana strachem, użyła kolejnej broni. Dźgała plecy napastnika szpilką od kapelusza. Raz, drugi, trzeci.

Intruz opadł ciężko na poduszki.

- Na Boga, Taryn, przestań, zabijesz mnie - usłyszała głos pijanego Gilesa.

- Giles - wykrztusiła, wyskakując z łóżka. - Co ty tu robisz? - W głowie się jej mąciło.

- Ojciec kazał mi tu przyjść.

Zapaliła świecę i przyjrzała mu się. Ze skroni płynęła krew, w ramieniu ciągle tkwiła szpilka od kapelusza.

- Kazał ci mnie zgwałcić?

- Musiałem. Taryn - odparł wyciągając szpilkę z ciała. - Mam francuską chorobę. Jedynym sposobem, żeby ją wyleczyć, jest pójść do łóżka z dziewicą.

Nie wierzyła własnym uszom. Wymyślił tę historyjkę na poczekaniu? Znała ten ton jego głosu - wyrażaj tępy upór. Nagle zrozumiała, że robi to, po co przyszedł, nie licząc się z jej uczuciami.

- Do diabła, jeśli pozwolisz mi raz jeden być z tobą, potem dam ci spokój, nawet kiedy będziemy już małżeństwem.

- Co? - Wielkie nieba, mówi, jakby dostał pałką w głowę i jakby umysł mu się zmacił.

Zamknęła oczy zbierając myśli, a kiedy nie mogła ich na powrót otworzyć, zaczęła gwałtownie trzeć powieki i szczypać policzki, żeby nie usnąć.

- To rozsądne - bełkotał. - Kiedy się wyleczę, nie będę z tobą sypiał, bo mógłbym się znowu zarazić.

Zrobiło jej się niedobrze, tyle że już nie od soli. Giles mówił prawdę. Łamał jej serce, potwierdzając domysły Woolfa. Jej Giles, któremu przez wszystkie te lata okazywała tyle serdeczności, bez wahania skazałby ją na taki los, Opanowała się] wreszcie i przykucnęła, by podnieść z podłogi statuetkę. Giles obrócił się, zobaczył broń w jej dłoni. Nawet w słabym świetle świecy dostrzegła w jego oczach przerażenie. Postanowiła wykorzystać chwilową przewagę.

Uniosła figurkę.

- Nie zgwałcisz mnie, Giles. Nie dotkniesz mnie nawet... przerwała, ciekawa efektu, jaki wywarły ostatnie słowa. Popatrzyła na Gilesa i zrozumiała, że nie ma zamiaru ustąpić. Myśląc gorączkowo, ciągnęła dalej: - ... to znaczy, dopóki nie będziemy mężem i żoną - Nie jestem z tych, które można mieć przed ślubem i nic mnie nie obchodzi czy masz francuska chorobę. czy jak tam to zwiesz.

Doskonale wiedziała, jak bardzo groźna to przypadłość, jako że służba zwykła mówi o wszystkim bez ogródek, ale nie miała zamiaru dzielić się z nim swoją wiedzą. Mówiła dalej:

- Możesz poczekać z kuracją do ślubu. Oliver dał już na zapowiedzi, jutro ogłoszą je w kościele, - Omal nie wspomniała o specjalnym pozwoleniu, ale wtedy Oliver dowiedziałby się, że Klaudia zdradziła jego sekret.

- W kościele? Nie, przecież jutro nie niedziela - bełkotał Giles, podnosząc rękę do głowy, - Nie ma mowy o żadnym kościele. Nie dość, że na mnie napadłaś, to jeszcze kiedy ojciec się dowie, że mnie pobiłaś, wyśmiej mnie.

- Dlaczego sądziłaś, że wyjdę za ciebie, kiedy mnie zgwałcisz?

- Jak służba zobaczy krew na prześcieradle, rozpowiedzą o tym i nie będziesz miała wyjścia. Woolf już nie będzie cię chciał - westchnął. - Dzisiaj nic z tego nie wyjdzie, Taryn, nawet gdybym chciał. Bola mnie wszystkie kości.

Słuchała go ze zgroza. Każde jego słowo świadczyło o tym, jak strasznym stał się egoistą. Zajęty tylko sobą. nie zawahałby się zniszczyć ani jej reputacji, ani jej samej. Dlaczego nie dostrzegła dotąd, jak bardzo jest podobny do swoich rodziców? Nawet jeśli będąc dzieckiem okazywał jej dobroć, teraz był nieodrodnym synem Olivera i Klaudii.

Alicja i Kucharcia będą przerażone, kiedy im o tym powie, pomyślała ocierając łzy spływające po policzkach. Historia się rozejdzie, ona będzie napiętnowana, a na Gilesa ludzie

będą patrzeć jak na kogoś, kto wziął, co mu dano.

- Ojciec przyjdzie sprawdzić, czy zrobiłem, jak kazał. Nie mam wyboru - biadolił Giles; użalając się nad sobą. - Przyrzeknij, że nie powiesz, że ty to zrobiłaś - powiedział dotykając dłonią zakrwawionej skroni.

Taryn myślała gorączkowo. Jest sposób, żeby uniknąć jego zakusów, przynajmniej dzisiejszej nocy. Wyrwała mu skrwawioną spinkę z drżącej ręki i schowała do szuflady.

- Nie ruszaj się, dopóki nie założę koszuli nocnej. – Pobiegnę za parawan, zrzuciła suknię, wzięła koszulę i szybko wróciła do łóżka. - Posuń się - poleciła.

Usiadł podciągając kołdrę i zasłaniać się wstydliwie.

- Gdzie twoja skromność, Taryn? Jestem nagi - - Spojrzała na niego mimochodem, zbyt zajęta własnymi myślami, by zwracać uwagę na odmienności męskiego ciała.

- Przesuń się na drugą stronę, to nie zobaczy rany na głowie - nakazała. Patrzyła, jak niezgrabnie gramoli się ku drugiej krawędzi łóżka, okrywając nagość kołdrą niczym płochliwa dziewczica. Potarła prześcieradło skrwawioną poduszką, by wyglądało tak, jakby Giles wykonał polecenie ojca, odwróciła ją na drugą stronę i okryła się kołdrą.

- Jak wyglądam? - zapytała niespokojnie.

- Co masz na myśli?

- Gdybyś zrobił to, co miałoś zrobić, jakbym wyglądała?

- Wyglądałabyś na uszczęśliwioną - odparł Giles bez wahania, - Na ogromnie uszczęśliwioną.

Taryn leżała spokojnie, przytrzymując palcami opadające powieki i słuchając chrapania Gilesa, gdy do pokoju wsunął się Oliver, by sprawdzić, jak też sprawił się jego syn. Słyszając go Taryn oblekła twarz w błogi uśmiezek i spróbowała oddychać równo, głęboko, jak we śnie. Skóra jej ścierpła, kiedy Oliver uniósł na sekundę kołdrę, po czym przesunął palcami po jej włosach. Gdy już myślała, że dłużej nie wytrzyma, wyszedł z pokoju.

Wtedy wyskoczyła z łóżka.

Woolf spędził resztę wieczoru próbując uporać się z kłódką, którą mocowała łańcuch do żelaznego pierścienia tkwiącego w skalnej ścianie. Szpilki łamały się, gubił je w ciemnościach, kłął i zaczynał od początku. Zdesperowany spróbował użyć małych nożyczek; natychmiast złamał koniuszki, po czym przez jakiś czas męczył się próbując przeciąć krępujące go sznury.

Czas płynął. Woolf był coraz bardziej zdesperowany. Łamał sobie głowę, szukając jakiegoś wyjścia z sytuacji. Wreszcie pomyślał, że Taryn chyba podsunęła mu pewien pomysł. Otworzył przyniesioną przez nią buteleczkę brandy, przepłukał usta alkoholem, resztę wylał na koszulę i wyciągnął się na skalnym podłożu.

- Hej tam, Quinn, ty tchórze - ryknął głosem pijanego chwata.

- Czego tam? - odrzyknął Quinn idąc w jego stronę i ciągnąc za sobą broń.

- Boi się mnie - oznajmił Woolf pod adresem kompana Quinna postępującego krok za nim. - Dużą strzelba, mały człowieczek, wiesz, co mam na myśli. Dałem mu wycisk sześć lat temu w bójce, teraz nie zbliży się do mnie bez broni.

Quinn wymierzył mu cios kułakiem. Zabolało okropnie, ale Woolf wiedział, że nie może tego okazać.

- Rozumiesz, o czym mówię? - zapytał ze śmiechem. - Nie śmie stanąć do równej walki. - Tu zwrócił się do Quinna: - Oddaj broń swojemu kompanowi i stań przeciwko mnie jak mężczyzna, ty nędzniku - szydził.

Quinn zamierzył się ponownie, ale nie uderzył, zdetonowany śmiechem swojego towarzysza. Posapując wręczył mu strzelbę, po czym odwrócił się do Woolfa, gotowy do walki. Woolf potrząsnął łańcuchami.

- Nie będę walczył spętany. Nie biję przerażonych niemowlaków - osunął się na podłogę, jakby był całkiem pijany.

- Rozwiąż go - powiedział towarzysz Quinna z obrzydzeniem. - Będę go trzymał na muszce.

Quinn wyjął klucz i otworzył kłódkę. Zamiast rozplątywać sznury, przeciął je nożem. Woolf podniósł się. Quinn wsunął nóż za cholewę buta cofając się ostrożnie, gotowy do ataku. Woolf potoczył wzrokiem wokół, jakby miał kłopoty z patrzeniem w jeden punkt.

Zatoczył się, jakby próbował złapać Quinna, przysunął się do zbira trzymającego strzelbę. Ten skłonił mu się z głupawym uśmiechem:

- Jaśnie pan z was. Może i ja kiedy będę jak wy.

Woolf odwrócił się obojętnie, po czym wykonał nagły zwrot i uderzył strażnika w głowę. Mężczyzna ze strzelbą, osunął się na ziemię.

Quinn z rykiem rzucił się przed siebie, Woolf odskoczył, wymierzając cios rozpędzonemu przeciwnikowi. Quinn potrząsnął głową i zaatakował ponownie, niczym rozwścieczony byk. Jego potężne palce zacisnęły się wokół szyi Woolfe, przydarzając go do ziemi. Woolfa ogarnęła panika. Czuł, jak bardzo osłabł przez ostatnie dni, lecz nagle przypomniał sobie długie nauki j Asady i zdzielił Quinna w nasadę karku. Drań ryknął z bólu, przekreślił się i poderwał na równe nogi Woolf skoczył także, z trudem łapiąc, oddech. Przesunął się w stronę skalnej ściany.

Quinn raz jeszcze natarł, ale Woolf zdążył uskoczyć. Przeciwnik z rozpędu grzmotnął w ścianę. Teraz pozbawienie wieloletniego wroga przytomności było już tylko kwestią sekund.

Nagle w jaskini rozległy się głośne dźwięki, krzyki, szczek broni, odgłosy wystrzałów. Woolf zaklął na widok pochodni, która zabłysła w przejściu. Słyszając miękki odgłos zbliżających się kroków, przycupnął w mroku za skalnym występem. Wyskoczył, gdy poczuł na twarzy ciepły podmuch powietrza, i natychmiast leżał rozciągnięty na ziemi.

- Woolfesan, to ja, Asada. Jesteś zbyt powolny, jak zawsze.

Na dźwięk znajomego głosu na twarzy Woolfa pojawił się promienny uśmiech.

- Bałem się, że cię zabili.

- Nie, Woolfesan, to dni twoich wrogów są policzone. - Asada wyciągnął rękę i pomógł mu się podnieść. - Jest tu ktoś zbrojny? - zapytał szeptem.

- Quinn i jeszcze jeden. Nie obudzą się szybko.

- Zwiążę ich. Potem się nimi zajmę.

Woolf spojrział w stronę wyjścia z jaskini.

- A reszta?

- Załatwieni. Idź do wyjścia i powiedz Estebanowi, żeś cały i zdrowy.

- Esteban jest z tobą? Ufasz mu?

- O, tak. - Asada popchnął lekko Woolfa. - Czeka na zewnątrz. Pojedziemy do Heritage.

- Nie. Musimy jechać po Taryn.

- Wierzbówka jest obstawiona niczym forteca, Woolfesan. Mamy plan, ale musimy poczekać, aż wróg wyjdzie z nory. To cud, że twoja pani udaje się jutro do świętego miejsca odprowadzana przez zbrojnych. To wojenna część naszego planu.

Woolf walczył ze sobą, przewyciężając ochotę do krzyku. Potem, rozważając plan Asady i Estebana, uśmiechnął się. wdzięczny za kolejną lekcję, której udzielił mu japoński przyjaciel. Wreszcie ruszył do wyjścia. Wdychał głęboko wilgotne morskie powietrze, nigdy dotąd nie rozkoszował się tak żadnym zapachem.

Z mroku wytopił się Esteban.

- Woolf. - Kłepnął go po ramieniu i dodał szorstko: - Rad jestem, że widzę cię całym.

Woolf skinął głową szczerząc zęby w uśmiechu.

- Dziękuję za pomoc, panie.

Kiedy dołączył do nich Asada, ruszyli spiesznie w stronę Heritage. Woolf z Asada weszli głównymi drzwiami, Esteban wejściem dla służby; by zaordynować gorącą kąpiel i obfity posiłek.

- Wkrótce będzie kąpiel i jedzenie, Woolf - powiedział Esteban, kiedy spotkali się w salonie.

- Powiniennem raczej iść do stajni - odparł Woolf pocierając wielodniowy zarost. Nareszcie czuł się bezpieczny. - Nieraz się zastanawiałem, czy nie jesteś w zmowie z Oliverem - wyznał szczerze.

Esteban skrzywił się.

- Co za bzdura Czym kiedy dał ci powód byś mnie podejrzewał o gustowanie w tak złym towarzystwie?

- Zacząłem coś podejrzewać, kiedy zobaczyłem Rembrandta Burnhamów u ciebie na ścianie.

Twarz Estebana rozpogodziła się.

- Ach, tak, Zawsze ogromnie mi się podobał. Kupiłem go od Giwera, On jest ślepy na piękno. Wisiał w Wierzbówce. jak wiele innych skarbów z Dworu.

- Odkupię go od ciebie. Wróci na swoje miejsce - powiedział Woolf ponuro.

- Cóż, jeśli chodzi o Rembrandta. mój chłopcze... - Esteban podniósł głos, gotów do sprzeczki.

- Panowie - przerwał Asada wyraźnie rozbawiony - może zawieszicie te negocjacje. Chciałbym powiedzieć coś. czego Esteban sam, jak widać, nie ma ochoty wyznać. Esteban? - zapytał.

Gospodarz zaczerwienił się.

- Dziękuję.

- A więc - ciągnął Asada. - Woolfesan, oto twój ojciec we własnej niegodnej osobie. Zamieszkał na tyra wzgórzu i czekał na twój powrót do domu.

Woolf przez chwilę czuł pustkę w głowie; serce mu waliło, targały nim rozmaite emocje. Jego ojciec? Popatrzył na Estebana, potem utkwiał wzrok w mroku za oknem. Ojciec, który go zostawił... człowiek, którego teraz podziwiał i... skanował, jest jego ojcem? Znowu spojrzał na Estebana, porównując wyblakły obraz, jaki nosił w pamięci, z pokrytą bliznami twarzą. Jediną realną rzeczą, której mógł się w tym momencie uchwycić, była świadomość, że Asada nigdy nie kłamie.

- Wiesz, że Oliver cię wykorzystał? - wypowiedział pierwszą myśl, jaka mu przyszła do głowy.

- Do diabła...

- To było ponad piętnaście lat temu, Esteban - ciągnął lodowato.

Asada poczuł, że musi zaprotestować.

- Nie sądz, nie znając sprawy, Woolfesan.

- Żałuje... - zaczął Esteban schrypniętym od emocji głosem - bardziej, niż przypuszczasz... że nie było mnie tutaj, kiedy zdarzyło się to, o czym opowiedział mi Asada. To było... - Tu przerwał na chwilę. - Wiem, że nie możesz mnie kochać tak, jakbyś kochał, gdyby Oliver nie zabrał nam tych lat. Proszę tylko o jedno: daj mi szansę, bym mógł lepiej cię poznać. Może uda się nam stworzyć coś wartościowego.

Woolf szukał słów, które wyjaśniłyby jego wrogość, jednocześnie starając się dać ojcu nadzieję, której tak potrzebował.

- Przyznaje, że nienawidziłem cię za to, że mnie opuściłeś; Potrzebuję czasu, by zmierzyć się z faktami, jakiegokolwiek one są. Mogę tylko dodać, że byłem bardzo rozczarowany, kiedy odkryłem, że utrzymujesz buskie kontakty z Oliverem, chociaż właśnie wtedy czułem, że między nami zawiązuje się przyjaźń.

- Bardzo to szlachetnie - odparł Esteban skwapliwie, a po chwili zapytał: - Dlaczego ten diabeł. Oliver, mnie porwał? Nic z tego nie rozumiem. Prawie go nie znałem.

- Żeby dostać twoją pracę. To była część planu mającego doprowadzić do przejęcia kontroli nad Kingsford.

Esteban stał bez słowa, zatopiony w myślach.

- Chcę prosić was obu o przysługę. To dla mnie ogromnie ważne.

- Tak? - zapytał Woolf, rozbawiony, że nawet w najbardziej doniosłych chwilach ojciec myśli o targach i korzyściach.

- Oliver jest mój.

Woolf wahał się przez moment, po czym odparł z uśmiechem:

- Dogadamy się co do Rembrandta?

Niedzielny ranek Taryn przywitała w wojowniczym nastroju. Wyrzuciła Gilesa, zanim zdążył otrzeźwieć, po czym spaliła dowód potrzebny Oliverowi - - zakrwawione prześcieradło. Powzięła mocne postanowienie, że zrobi wszystko, by niecne plany Olivera spaliły na panewce i że Woolf wyjdzie z tej potyczki z życiem. Nie przestawała się modlić o jego bezpieczeństwo. Teraz wszystko w jej rękach - i w jego, jeśli zdołał uciec.

Kiedy pani Parsons ubierała ją do kościoła. Taryn udawała, że jest oszołomioną laudanum - starała się uspić w ten sposób czujność Olivera. Chciała też odegrać się na wstrętnej służącej. Która poprzedniego wieczora wsypała środek nasenny do jej szklanki, Bawiła się znakomicie, udając na wpół przytomną, Kiedy pani Parsons otyła jej twarz, osunęła się, jakby usnęła. Kiedy stara chciała włożyć jej suknie, zarzuciła jej ręce na szyję, tak że upadły razem na podłogę z głośnym łomotem. Przy zaplataniu warkoczy zsunęła się trzykrotnie z taboretu. Zrezygnowana służącą przewiązała w końcu nie zaplecione Włosy wstążką.

Gdy pojawił się Oliver, komedia się powtórzyła. Ciągnąc go za surdut Taryn padła na podłogę i musieli ją dźwigać. Przy okazji z przerażeniem wyczula pistolet ukryty pod kaftanem Olivera.

- Ile jej dałaś, idiotko? - syknął wściekły.

Pani Parsons popatrzyła na niego tępo i nic nie odpowiedziała. Po schodach musieli Taryn sprowadzić, a kiedy na dole zobaczyła Gilesa, rzuciła mu się na szyję z rozkosznym uśmiechem.

- Giles, najdroższy! - krzyknęła nie zważając na jego Ogłupiałą minę.

Najtrudniejsza chwila przyszła, kiedy zawstydzony Giles szepnął jej do ucha:

- Przepraszam, Taryn. Tak mi przykro. Nie mogę uwierzyć, że ja...

W pewnym momencie w sieni pojawiła się zaniepokojona Kucharcia:

- Przebóg, co z naszą Taryn?

- Wracaj do kuchni. - Oliver prychnął. Kucharcia, zdziwiona jego reakcją, wycofała się z niejakim ociąganiem. Taryn podniosła głowę wtuloną w ramię Gilesa i spojrzała na Kucharcię przytomnym wzrokiem pełnym niepokoju. Kucharcia podniosła fartuch do oczu i uciekła.

Na zewnątrz Taryn przystanąła. Wiedziała, że nie może przesadzać z udawaniem, bo nie pozwolą jej pójść do kościoła. Wzięła głęboki oddech.

- Umm. jak przyjemnie - powiedziała opierając się lekko na ramieniu Gilesa.

W powozie dołączyła do nich Klaudia, która potraktowała Taryn jak powietrze.

Kiedy weszli do kościoła, zaległa martwa cisza, Oliver i Klaudia, młodzi za nimi, podeszli do ławki Kingsfordów. Tak jakby należała do nich i zasiedli tam majestatycznie, parafianie i goście stłoczeni w ławkach obserwowali spektakl, po chwili podniósł się szmer szeptów.

Taryn siedziała bez ruchu, udając rezygnację i pokorę, ale spod oka rozglądała się za Asadą. Kiedy go nie dojrzała, zrozumiała, że od nikogo innego nie może oczekiwać pomocy. Gotowa była jednak wykrzyknąć w głos swe oskarżenia przeciwko Oliverowi nie bacząc na to, że jest uzbrojony.

Wielebny Sefton na Uginających się ze strachu kolanach godził wzrokiem po kongregacji, chcąc zlokalizować miejsce, skąd mogło nadejść niebezpieczeństwo. Zatrzymał oczy na rodzinie Chastainów zasiadającej w ławce Kingsfordów. Za nimi siedziała służba: Alicja Kucharcia i... co u czarta?... brzydka kobieta w purpurowym czepcu; miała małe oczy i ciemna cerę.

Cóż, pomyślał z rezygnacją, pełno tu obcych, większość to przybysze, których przywiodła do kościoła czysta ciekawość i plotki na temat dziwnych mieszkańców Kingsford. Rozpoznawał ich na pierwszy rzut oka.

Ludzie z socjety ściągnęli swoich przyjaciół przekonanych, że wydarzenia w Kingsford będą lepszą rozrywką, niż martwy sezon w Londynie. Pojawiła się też młoda Iris Islington ze swoją kompanią. Ci, jak słyszał wikary, nie mogli sobie darować, że nie przyjechać tu w minioną niedzielę. Na krzesłach wypożyczonych z Heritage i ustawionych w bocznych nawach zasiedli hazardziści i teraz szeptem robili zakłady między sobą.

Nowy wikary, który wybrał stan duchowny licząc na spokojne, wygodne życie, tego ranka musiał jeszcze raz stawić czoło wielkiemu tłumowi.

Odrywając wzrok od utkwionych w nim groźnych oczu Olivera, wikary poprawił nowe okulary, na których zdobycie w Londynie poświęcił cały tydzień. Okulary dobrze trzymały się na uszach. Odchrząknął dwukrotnie, przerażony, że jeszcze raz będzie musiał przejść przez ten koszmar i niepewny, czy stanął po właściwej stronie.

- Polecono mi ogłosić drugie zapowiedzi Taryn Burnham i... wtem ujrzał pośród parafian swojego bohatera, hrabiego - i Woolfa Burnhama, hrabiego Kingsford.

Parna Taryn Burnham zrobiła zdumioną minę. Na widok łez radości spływających po jej policzkach wikary poczuł, jak coś chwyta go za gardło.

- Nie! - krzyknął Oliver podrywając się z ławki. Twarz mu poczerwieniała, kiedy na próżno usiłował wyswobodzić ręce, które skrępowała kobieta w czerwonym czepcu.

Wikary równie mocno jak Olivera obawiał się Klaudii Chastain. Chwyła właśnie siostrzenicę za ucho i coś jej szeptała rozwścieczona. Siedzący po drugiej stronie Giles ukrył twarz w dłoniach, jakby wygłaszał monolog do podłogi.

Okrzyki zachwytu świadczyły o tym, po której stronie jest sympatia wieśniaków i młodych hazardzistów. Wikary nauczył się laika rzeczy od chwili, kiedy budzący lęk hrabia Kingsford powrócił do domu. by przewrócić do góry nogami życie w dolinie. Widok parafian wiwatujących na cześć nowego psota sprawił, że w dufnej i pełnej ignorancji postawie wikarego pojawiły się szczeliny. Zamrugał kilka razy i patrzył uważnie, co dzieje się wśród jego stadka.

Każdy szczegół obserwowanych wydarzeń wrył mu się w pamięć. Nikt już nie siedział w ławkach, panowało radosne zamieszanie, a gwar był niczym w ulu.

Nikt poza wikarym nawet nie zauważył, że stanowiący obiekt podniecenia zakochani, Woolf i Taryn, nie mogą przebić się do siebie przez gwarny tłum.

Taryn z wypiekami na twarzy spoglądała tęsknie w stronę swojego hrabiego. Usiłował przedrzeć się do niej między wiernymi, lecz z trudem torował sobie, drogę. Taryn starała się z jednej strony uwolnić od ciotki, z drugiej precyzyjnie obok Gilesa. W końcu zaciśniętą w kułak dłońią zdzieliła Klaudię dwa razy w prosto w twarz. Wikary przez chwilę rozkoszował się tą sceną. Chciał na zawsze zapamiętać widok tej kobiety, przyjmującej w milczeniu nauczkę; zapuchnięte oczy, rozkwaszony nos, krople krwi spływające na suknię.

Jego lordowska mość, hrabia Kingsford, który najwyraźniej stracił resztki cierpliwości - ledwie usunął jedną przeszkodę na swojej drodze, natychmiast ktoś inny blokował mu przejście - podniósł w końcu głowę i zaczął głośno nawoływać o cisze, kładąc kres tumultowi.

Uniósł dłoń i powiedział.

- Nie chcę, by weszło mi w krew wygłaszanie przemówień W każdą niedzielę i proszę wielbego Seftona o wybaczenie, że czynię to dzisiaj, ale pojawił się problem, o którym moi ludzie mają prawo wiedzieć. Zanim powiem, w czym rzecz, chciałbym na chwilę wziąć w ramiona swoją narzeczoną. - Gdy z tymi słowami podszedł do Taryn, przyskoczyła do niego z euforią. Kobiety przyjęły tę wzruszającą scenę z głębokim westchnieniem aprobaty.

- Oliver Chastain - zaczął hrabia Kingsford, obejmując mocno swoją ukochaną - rządził w dolinie, służąc niby to rodzinie Burnhamów. Kradł, fałszował dokumenty, obchodził się okrutnie z moimi ludźmi. Co więcej, próbował mnie zabić, opłacając zbójów, którzy napadli na mój powóz, i więził mnie przez ostatni tydzień zamyślając dzisiaj ze mną skończyć. Każde z was mogłoby zapewne dodać coś do tej listy, ale najgorszą jego zbrodnią

w dolinie było spowodowanie śmierci Marty Dresden, córki naszej ukochanej Kucharci.

Po tych słowach, jak to określał wikary, przypominając sobie ową scenę, „rozpętały się żywioły piekielne. Kucharcia zdzieliła Olivera torebką w głowę, lecz gdy zamierzyła się, by poprawić.. niechcący uderzyła paskudną kobietę w czepcu, która puściła Olivera; wtedy on, korzystając z okazji, natychmiast dobył pistolet.

Kludia skoczyła ku niemu z krzykiem:

- Uprawiałeś swoje nieczne praktyki pod moim dachem, ty zboczeńca? Odłóż ten pistolet, głupcze, sąsiedzi patrzą. Szarpała go tak, że Oliver najwyraźniej przestał panować nad sobą.

- Ty suko! - krzyczał. - Zamieniłeś moje życie w piekło! Pomyśleć, że poważylem się na to wszystko i nie zdobyłem pieniędzy dziewczyny!

Wycelował pistolet w żonę i pewnie by ją zabił, gdyby czarownica w czerwonym czepcu nie wytrąciła mu broni z ręki. Oliver obejrzał się. spojrział na nią i rzucił się biegiem do wyjścia.

Koniec końców był to najbardziej pamiętny dzień w życiu wikarego, coś na kształt objawienia: zrozumiał, że jednak lubi swoją pracę.

Oliver zatrzymał się przed kościołem jak wryty na widok señora Estebana, który siedział spokojnie w swoim powozie.

- Cóż to, Oliverze Chastain? - wycodził kpiącym tonem. - Wyglądasz jak ktoś, kto marzy o podróży za ocean.

- Dziękować Bogu. jesteś tutaj - odparł Oliver wskakując do powozu.

- Amen - rzekł Esteban poważnym już tonem. - Moje modlitwy zostały wysłuchane.

Nie chcąc zmącić swego szczęścia Taryn odwlekała budzącą lęk rozmowę z ciotką i kuzynem. Pośród męczących wątpliwości nie potrafiła pokonać własnego tchórzostwa i podjąć decyzji, co bardzo ja martwiło. W końcu Woolf zapakował ją do dwukółki i zawiózł do Wierzbówki.

- W przeciwieństwie do ciebie. Taryn, tylko na to czekałem - powiedział, kiedy, zajechali na miejsce.

- Czekaleś? - Zatrzymała się w połowie schodów. - Nie mam pojęcia, co im powiedzieć. Z jednej strony jestem wściekła na oboje, a z drugiej tak mi przykro, że z powodu Olivera Klaudia i Giles najedli się tyle wstydu, stracili szacunek przyjaciół... Woolf jęknął.

- Taryn, twoja miłosierna natura pozbawia cię poczucia sprawiedliwości. Pozwól, że będę mówił za ciebie.

Wyprostowała się i ruszyła schodami w górę.

- Obiecuj, że pozwolisz, bym mówiła za samą siebie, nieważne, co.

- Zobaczymy. - Pocałował ją w policzek.

Drzwi się otwały. U szczytu schodów stanęła Klaudia. Miała purpurowo - żółte oko i spuchnięty nos, a na jej twarzy malowało się okrucieństwo.

- O, niech to... - Taryn sieknęła widząc efekty swoich rękoczynów. Cofnęła się i oparła o silną pierś narzeczonego.

Klaudia Schwyciła ją za rękaw, żeby wciągnąć do środka, lecz Woolf natychmiast rozczepił jej palce - Oczy Klaudii rozszerzyły się, jakby ujrzała go po raz pierwszy w życiu. Potrząsnęła głową i weszła z powrotem do środka.

- I co, panienczko - zaczęła, gdy Taryn weszła za nią. - Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu.

Woolf wszedł do holu i zamknął za sobą drzwi.

Oczy Klaudii błyszczały z wściekłości.

- Jak śmiałaś zniknąć z tym... tym łajdakiem. Cóż. Niejeden wstąpił tu z odwiedzinami, więc wiem, co ludzie mówią. Od pani Parsons wiem, że w dolinie aż roi się od naszych przyjaciół. Goście wyszli wtedy tak szybko, że nie zdążyłam opowiedzieć im o tym, jak podły jest Woolf. Jak ja się ludziom na oczy pokażę po tym, jak puściłaś się we Dworze z Woolfem Burnhamem?

Woolf opanował się z takim trudem, że omal się nie udusił. Taryn podeszła do ciotki.

- Puściłam? Proszę wybaczyć, ciociu Klaudio. Woolf wysłał wiadomość do swojego prawnika, by najął właściwą dla mnie opiekunkę. Sam z panem Asada przenieśli się do Heritage. Tymczasem jestem pod opieką Kucharci, Alicji i pani Maloney ...

- Właśnie, nieszczęsna dziewczyno. Jak śmiałaś wywabić Kucharcię i jej córkę z Wierzbówki, gdzie jest ich miejsce? Chcę, żeby natychmiast wróciły.

Woolf już nie umiał utrzymać się w ryzach.

- To śmieszne... Taryn, ta kobieta nie ma poczucia rzeczywistości. Po co w ogóle...

- Klaudio - mówiła cierpliwie Taryn, nie zważając na jego wybuch - jak możesz oczekiwać, że wrócą do domu Olivera, skoro to on jest odpowiedzialny za śmierć Marty? Zdajesz sobie z pewnością sprawę.

- A czy ty masz pojęcie, jakie posiłki zmuszeni jesteśmy jadać? Albo jakiego upokorzenia doznaliśmy dzisiaj rano, gdy sklepy odmówiły honorowania naszych zamówień? Bez Olivera. który płacił rachunki, wszyscy myślą, że zostaliśmy biedakami. Marsz do sklepów naprawić to!

Taryn mówiła do Klaudii tonem, jakiego używa się wobec krnąbrnych dzieci.

- Nie jestem twoją służącą, ciociu...

Twarz Klaudii wykrzywiła się drwiąco. Z jej ust wydobyły się straszne, pełne złości słowa:

- Cóż, powinnam była wiedzieć; że wyrośniesz na... nieodrodną córeczkę swojej mamusi, egoistkę do szpiku kości, gotową odebrać mi wszystko, na co tylko będziesz miała ochotę. Nie chciałam mówić, jak ona unieszczęśliwiła twojego ojca i jak żałował dnia, w którym go uwiodła...

Taryn schwyciła ciotkę za syknie.

- Jeśli nie chcesz mieć drugiego oka w takich samych kolorach. nie powiesz już ani słowa o mojej błogosławionej matce. Tego dnia, w którym ojciec wybrał moją matkę, nie ciebie, uchronił się przed okrutnie złym losem, Klaudio. Jesteś najbardziej nieszczęsną, okrutną kobietą na świecie. W dwu, w którym się tu pojawiłam, zmieniłaś moje życie w piekło.

Woolf uśmiechnął się widząc, że Taryn bierze głęboki oddech, żeby dokończyć:

- Gorsze, niż moje nieszczęścia, które zawdzięczam tobie, było znęcanie się nad Woolfem, który niczym nie zasłużył, by go bić. Próbował tylko powstrzymać twojego potwornego męża przed krzywdzeniem dziewięcioletniego dziecka, które właśnie straciło rodziców.

- Taryn? - Ze schodów dobiegł głos Gilesa.

Spojrzała do góry ciężko dysząc. Puściła sukienkę ciotki, która odsunęła się w kierunku syna, wściekła, ale czujna.

- Giles... - Taryn wydawała się lekko zdziwiona jego nadejściem.

- Taryn, gdzie się. do diabła, podziewałaś? Służąca mówiła, że byłaś z nim. - Rzucił na Woolfa nienawistne spojrzenia. - Nie powiesz chyba, że wierzysz w kłamstwa, jakie opowiada o moim ojcu?

- Uważasz, że to kłamstwa?

Giles schodził na dół przewracając oczami na znak zniecierpliwienia. Woolf przyglądał się obojgu uważnie - widział, że Taryn mówi do Gilesa jak do obcego.

- Co niby ma być kłamstwem? Że przez niego zginęła Marta? - pytała dalej, teraz już agresywnie.

Giles obejrzał się na matkę, szukając pomocy, ale natychmiast zrozumiał - wiedziała, że to prawda. Odwrócił się znowu do Taryn, która ciągnęła dalej:

- A może kłamstwem jest, że twój ojciec oszukiwał i Woolfa, i mnie? Nasz prawnik posiada dowody, sfałszowane dokumenty nabycia Wierzbówki i Heritage.

- Wierzbówka nie należy do nas? - spytał Giles, siadając ciężko na stopniu.

- A może wątpisz w to, że Oliver zamierzał zamordować Woolfa? - pytała Taryn. - Sama słyszałam, jak polecał zabić Asadę i wiem na pewno, że chciał zabić nie tylko Woolfa, ale i mnie.

Giles machał dłonią, jakby chciał odegnąć dalsze kłamstwa.

- Taryn, nie daj się ponosić fantazji...

- Pomyli, Giles - nalegała. - Każdy człowiek, który nakłania własnego syna, żeby zgwałcił swoją kuzynkę, i z premedytacją podstawia jej śmiertelną truciznę, po to, żeby mieć pewność, że położy rękę na jej pieniądzach, powinien...

Woolf skoczył do przodu. Zanim pomyślał, co robi, błyskawicznie schwycił Gilesa za gardło. Klaudia wrzeszczała. Gilesowi oczy zaczęły wychodzić z orbit, aż Taryn szarpnęła Woolfa i krzyknęła:

- Woolf, nie! Nie udało mu się!

Spojrzał na nią, złagodniał. Cisnął Gilesa na schody i objął ją, gładząc po drżących plecach.. Patrząc nad jej głową na Gilesa, powiedział zimno:

- Masz szczęście, że ci się nie udało, inaczej już byś nie żył. Skoro tak, będę miał satysfakcję patrzeć, jak umierasz powoli, w męczarniach.

- Nie wierzę ci - nadrabiał miną Giles, próbując wydostać się z zaciśniętych ramion matki.

- Ty ladacznico! - krzyknęła Klaudia, - Masz czelność kłamać, kiedy to pewnie ty sama próbowałaś go uwieść.

Taryn przygryzła wargi; oddychała głęboko.

- Przyszłam tu po to, żeby zastanowić się, co z wami zrobić. Kiedy tu szłam, miałam dla was obojga resztki sympatii, ale teraz zmieniałam zamiary. Ułatwiliście mi podjęcie właściwej decyzji. - Głos jej drżał. - Proszę opuścić ten dom. Macie trzy dni na spakowanie rzeczy osobistych. Dostaniecie transport, a Woolf sprawdzi każdą rzecz, jaką weźmiecie z domu. Nie weźmiecie nic, co należy do rodziny, albo sama wyrzucę was na dwór w tym, co macie na sobie.

Próbowali protestować ale Taryn nie ustąpiła.

- Zabierzcie tę Parsons, nie jest tu mile widziana. Ty, Klaudio, masz pensję od mojego dziadka, w zupełności wystarczającą na zapewnienie utrzymania. Jeśli będziesz gospodarować rozsądnie, a Gilesowi dopisze szczęście w grze, może unikniesz uwięzienia za długi. Giles może pracować.

Giles z niedowierzaniem wrzucił ramionami.

- Macie szczęście, że jestem wspaniałomyślna, bo gdyby to zależało od Woolfa, oboje stanęlibyście przed sądem - zakończyła.

Taryn starczyło odwagi na prawie całą drogę powrotną. Kiedy dojeżdżali do Dworu, zaczęła żałować.

- Woolf, dlaczego czuję się winna? Wiem, że nie ponoszę za nich odpowiedzialności, ale martwię się o to, co mają zrobić.

- Nic dziwnego, Taryn, że czujesz się im potrzebna, ponieważ od dzieciństwa byłaś ich zabezpieczeniem. Oni z ciebie żyli. Małżeństwo z Gilesem miało ów fakt przypieczętować. Zamiast ci dziękować, wbijali do głowy, że to ty jesteś niewdzięcznicą, winna im ni mniej, ni więcej, tylko absolutną niewolę.

- Wiem. Woolf - odrzekła, wzdychając głęboko. - Muszę być silna i mocno stanąć na własnych nogach.

Woolf podprowadził konie pod front Dworu.

- Taryn, bólu dzieciństwa nie da się wymazać całkowicie, lecz jeśli się pobierzemy, możesz użyć także moich nóg. Nie pozwolę, żeby twoi krewni kiedykolwiek znów cię niepokoiili.

Przycisnął ją do siebie i czule pocałował we włosy. Uśmiechnęła się, schowała twarz na jego ramieniu, a po chwili szukała ustami jego warg. Dla obojga była to przyjemna pieśczoła, lecz gdy ich usta zetknęły się, zapłonął między nimi ogień.

Krew pulsowała w jego żyłach coraz silniej. Jego umysł, owładnięty zmysłowym pożądaniem, toczył nierówną walkę z kuszącymi wyobrażeniami, z których każde kończyło się cudowną rozkoszą...

Trzymał się, drżąc z pożądania. Przecież Taryn ledwie doszła do siebie po obrzydliwych przeżyciach rodzinnych, więc nie wolno mu wykorzystywać jej roztrzęsionych nerwów. Siedząc w jaskini rozmyślał nad jej potrzebą niezależności; gdy przekonał się, że ją kocha, obiecał sobie, że będzie uwzględniał jej życzenia.

Z drogiej strony, myślał, jeszcze kilka spotkań takich jak to. a oboje spłoną. Nie miała pojęcia, jak bardzo była uwodzicielska. Ktoś musi pamiętać o następstwach i starać się myśleć jasno.

- Taryn, planowaliśmy małżeństwo w rozsądnym terminie, ale teraz widzę, że lepiej będzie. jeśli tej niedzieli zamkniemy zapowiedzi.

Odsunęła się, żeby na niego spojrzeć. Rozchyliła w zdziwieniu spuchnięte wargi, słuchając wyjaśnień.

- Zapowiedzi obowiązują trzydzieści dni. więc po prostu możemy się pobrać już wkrótce.

- Poza tym - dodał niepewnie, mając nadzieję, że zabrzmiał to jak wyznanie żalu - Asada da spokój nie kończącym się wykładom, jeśli damy mu do zrozumienia, że wszystko idzie jak po maśle. - Uśmiechnął się przymilnie, próbując wciągnąć ją do zabawy. - Może powinienem napuścić go na ciebie. Sama z nim porozmawiasz, przekonasz...

Wahała się, więc sięgnął po ostatni argument.

- Mój ojciec nie może doczekać się wnuków. Jego takie mogę skierować do ciebie.

Udało się. Taryn jęknęła.

- Ty łotrze, ani się waż. Jest tak czarujący, że dam mu je bez walki.

- Bardzo dobrze.

Wyskoczył z powozu i podał jej rękę.

- Pójdę teraz i wyciągnę Asadę z kuchni od Kucharci, bo ojciec chce pokazać nam swój kuter.

Niespełna pół godziny później Woolf i Asada zmierzali w kierunku łódki, która miała zawieźć jeb na kuter. Myśląc o Taryn. Woolf westchnął ciężko, co zaraz podchwycił Japończyk.

- Nie jesteś z dziedziczką szczęśliwy? - zapytał wyraźnie przestraszony.

- Nonsens. Ona potrzebuje trochę czasu, by z rodzinnej niewolnicy stać się żoną

takiego prostaka jak ją.

- Powiedz jej, niech robi tak jak chce. Jest tylko kobietą.

- Na miłość boską, tylko jej tego nie mów - ostrzegł. - Zgodziła się, żeby ostatnie zapowiedzi dać tej niedzieli, ale nie ustaliliśmy jeszcze daty ślubu. - Ku zadowoleniu Woolfa Asada zamyślił się i aż do łódki Estebana szli w milczeniu.

Esteban - Justin promieniał.

- Panowie, witajcie na pokładzie.

- Dzięki... ojczu, za zaproszenie.

Justin uśmiechnął się słysząc tę familijność i oprowadził ich po zgrabnym stateczku; na koniec usadowił ich pod pokładem na rufie, w kabinie kapitańskiej. Pokazał im wygodne innowacje i wskazał fotele.

- Wiesz, Woolf, próbowałem postawić się w twoim położeniu, zrozumieć, przez co przeszedłeś, gdy zniknąłem na tak długo. Posłuchaj teraz ty mojej historii.

- Sir, to nie jest konieczne. Wierzę, że miałeś ważne powody.

- Powody nie mają tu nic do rzeczy, synu, ale, jak to się mówi, sam zobacz.

Woolf skinął głową, oczy Asady rozjaśniły się zaciekawieniem.

- Jak wiesz - zaczął cicho Justin - rok wcześniej straciłem twoją matkę i nadal ją opłakiwałem. Najgorsze były noce, więc dużo spacerowałem. Pewnej nocy pojмали mnie miejscowi szmuglerzy i wywieźli w morze.

- Dokąd? - spytał Asada.

- Morze Śródziemne. - Uśmiechnął się do Asady. - Uratowałem się podobnie jak ty, ale nie dzięki przyjaznym kupcom amerykańskim. Zostaliśmy zaatakowani i wzięci abordażem przez lokalnych korsarzy. Ponieważ byłem wielki, wzięli mnie na swój okręt i powiedzieli, że jestem świeżym mięsem, które sprzedadzą w Algierii.

Woolf wzruszył ramionami; na twarzach Asady i Justina malowała się odraza.

- Wydawało mi się, że na statku przemytników było niedobrze, tymczasem korsarze byli bodaj morskimi fusami ściganymi nawet przez im podobnych. Co gorsza, a może na szczęście, mieli mnóstwo grogu i zwykle pijani, zapomnieli o moim istnieniu. Skutkiem skromnych racji żywnościowych występowały wśród nich różne choroby i większość marynarzy cierpiała, postanowiłem więc zostać lekarzem.

Asada zaśmiał się.

- To, że oni w ogóle zdołali pokonać przemytników, graniczyło z cudem, ponieważ przeważnie podczas każdego wysiłku omdlewali lub nawet marli. Mieli opuchnięte nogi, zgnile dziąsła, spuchnięte wątroby, straszliwe wrzody. Charakterystycznym objawem było to,

że ich rany otwierały się i krwawiły. Boże, co za makabra. Byli podziurawieni szkorbutem jak sita - mówił Justin, potrząsając w zdumieniu głową. - Prześladowało to naszych marynarzy latami. W tym rzecz, otoczeni przez kraje obfitujące w owoce i warzywa, byli ich pozbawieni przez cały okrągły rok.

- Więc ich leczyłeś? - zapytał Asada z niedowierzaniem:

Justin wzruszył ramionami i zaśmiał się.

- Zanim zdążyliśmy się wszyscy zaprzyjaźnić, wiedziałem, kto jest wilkiem, a kto owcą. Ratowałem owce, a co do łotrów, nie przeszkadzałem im w ich pogoni za zasłużoną nagrodą.

- No tak - stwierdził nasycony w swej żądzy krwi Asada.

- I tak wróciłeś do domu? - spytał Woolf.

Justin milczał. Rozważał bolesne wspomnienia, zanim podjął opowieść.

- Wtedy jeszcze nie mogłem myśleć o ucieczce do domu, ponieważ za moją głowę wyznaczono cenę. Tymczasem stałem się właścicielem pewnej liczby statków i zdobyłem wielką fortunę.

Justin klasnął w dłonie i zadumał się.

- Życie przypomina czasem piekło. Zanim dotarłem do Anglii, ty z niej wyjechałeś. - Popatrzył na Woolfa. Głos miał szorstki i czuły. - Przyjechałem tutaj, żeby czekać na ciebie. - Odchrząknął i uśmiechnął się do Asady. - Tak to. panowie, w skrócie wygląda.

- Pewnego dnia usłyszemy resztę - kusił Woolf, ale - zdziwił się i zasmucił widząc, że ojciec kiwnął głową i zamyślił się. - Dlaczego nie wystąpiłeś o tytuł po śmierci Geoffreya? - spytał. - Dlaczego się nie ujawniłeś, kiedy wróciłem?

- Tej nocy, kiedy się tu pojawiłeś, Woolf, miałem taki zamiar, ale nie wiedziałem, jakim się stałeś człowiekiem, czy byłbyś się mnie wstydził. Pomyślałem, że zanim podejmę decyzję, zobaczę, skąd wieją wiatry.

Woolf poczuł się dotknięty.

- Znaliśmy się już kilka tygodni, a ty jeszcze się nie zdecydowałeś.

Justin uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc tak bardzo podobało mi się robienie z tobą interesów, że nie chciałem tego psuć.

- Skoro jednak pozostałeś Estebanem, nie mogłeś wystąpić o tytuł.

- Do diabła. Woolf, najmniej mi zależy na hałasie związanym z byciem lordem Kingsford. Poza tym, nikogo to nie obchodzi tylko ciebie, a ja cieszę się, że nie muszę umierać, żeby widzieć, jak świetnie sobie radzisz. - Uśmiechnął się serdecznie - Trzymaj ten

cały interes, a ja będę się cieszył z bolcu.

Po chwili dodał potulnie.

- Nie tylko o to chodzi, ale jako martwy mam możliwość nadal kierować moimi statkami, za przyzwoleniem Korony, która zgadza się, bym atakował jej wrogów na oceanie. Gdybym nagle ujawnił się jako korsarz, mogłoby to postawić wielu prominentów w kłopotliwej sytuacji, a w twoich kręgach społecznych stałbym się persona non grata. Jestem señorem Estebanem i niech tak już zostanie. Otóż - powiedział szorstko, wstając z fotela - powodem, dla którego zaprosiłem ciebie i Asadę tutaj, jest mały podarunek, który może was ucieszyć. Pomyślałem, że będzie wam miło pożegnać się z Oliverem i Quinnem.

Asada ożywił się.

- Trzeba ich zabić?

- Zastanawiałem się nad tym, Asada - odrzekł Justin - ale ich grzechy są zbyt liczne na to, by dać im łaskę szybkiego stracenia do piekieł.

- No tak - zgodził się Asada, niecierpliwie czekając na dalsze wyjaśnienia.

- Są w luku pod pokładem. Odpłyną wraz z poranną bryzą. Kuter dostarczy ich do statku krajowego, który z kolei przewiezie ich na statek pod flagą Wybrzeży Barbary. - Poprowadził ich po trapie do ładowni.

Quinn i Oliver, przykuci do ściany, poruszyli się, gdy otwarła się pokrywa luku. Oślepiiony światłem Oliver zamrugał i potrząsnął łańcuchem.

- Esteban, jak ty nas traktujesz, do diabła? Jeśli chodzi ci o okup, to dlaczego...

Zamilkł Wytrzeszczając oczy na dwu pozostałych.

- Co, u diabła, robi tu Woolf?

Justin uklonił się Woolfowi i dał mu znak, żeby odpowiedział za nich obu. Woolf z uśmiechem, rozkoszując się chwilą, złożył Oliverowi pogardliwy ukłon, odwrócił się do swoich druhów, uśmiechnął i powiedział:

- Oliver. pozwól, że przedstawię ci mojego ojca. Justina Burnhama.

- Justin? - oczy łajdaka rozszerzyły się w zdziwieniu i jak oszalałe wlepiły w pokrytą bliznami twarz Justina, jakby ujrzał potwora. Zatrząsał się, śmiertelnie przerażony. - Justin Burnham?

Uroczyście, z głęboką satysfakcją w głosie, Justin powiedział:

- Oliverze Chastain, za grzechy, jakich dopuściłeś się przeciw mojemu synowi, skazuję cię na ten sam los, jaki ty przed laty zgotowałeś mnie. Mam na Wybrzeżu Barbary przyjaciół...

Twarz Olivera pokryła się potem. Z całej siły potrząsnął łańcuchami.

- Na miłość boską Justin, nie możesz mi tego zrobić! – Rzucił się do przodu, ale łańcuch targnął nim z powrotem; padł na Quinna.

Zbir warknął, spychając Olivera na bok. Rozległ się długi, przeraźliwy krzyk.

Trzej mężczyźni odwrócili się i wyszli na pokład, w milczeniu kontemplując los obu nędzników. Podeszli do barierki i popatrzyli w morze. Przez chwilę wiatr rozwiewał ich płaszcze. Nic nie mówiąc, instynktownie odwrócili się w stronę brzegu - patrzyli na Heritage.

Po chwili Woolf powrócił do rozmowy.

- Ojczy, wydaje mi się, że zostało jeszcze kilka spraw do ustalenia.

- Tak? - Justin zaciekawił się.

- Jak wiesz, Oliver sfałszował dokumenty terenu, na którym stoi twoja gospoda.

- Co? - ryknął Justin. - Chcesz powiedzieć, że jesteś jej : właścicielem?

- Wystarczy, że wystąpisz o tytuł, a znowu będzie twoja.

- Piekło mnie pochłonie, jeśli tak zrobię, ty arabski domokrażco!

- Z drugiej strony, nadal potrzebuje pieniędzy na inwestycje w handel z Indiami Wschodnimi. Zapłać uczciwą cenę, a dochód podzielimy na trzy, między ciebie, mnie i Asadę. A do tego - dodał po chwili niech jeden z twoich statków przywiezie tu jakąś małą, miłą Japoneczkę dla Asady.

- Woolfesan! - zaprotestował Japończyk.

- Asada, wpadło mi to do głowy dziś rano. Przyznam, że nie daje mi spokoju, no i przypomina twoje plany względem mnie i Taryn. Mira, mała żoneczka - powiedział i zwrócił się do ojca. - Taka. żeby Asada zajął się swoimi sprawami.

Asada milczał, a Woolf wybuchnął śmiechem, do którego przyłączył się Justin - Szczerze podziwiał syna. Oparł się o barierkę, obserwując go.

- Skoro tak, trzeba ustalić jeszcze coś; dotyczy to naszych gości spod pokładu. Powinniśmy uczciwie podzielić pieniądze uzyskane ze sprzedaży tych dwóch łajdaków.

Woolf zakrzusił się, odkaslnął.

- Ojczy, ucierpiałeś tylko z rąk Olivera, podczas gdy mnie krzywdzili obaj. Ja wezmę pieniądze za Quinna, a ty za Olivera. - Usiadł na leżaku i zamknął oczy poddając twarz promieniom słońca. Ojciec zastanawiał się:

- Quinn jest bardzo sprawny fizycznie, może dużo pracować. Z drugiej strony - Justin wahał się - - Oliver nadal jest przystojny. Znam paszę, który lubi...

Asada także znalazł sobie leżak, wystarczająco wygodny do wyciągnięcia nóg. Wyjął wielką chustę i położył się. Zamknął oczy, przykrył twarz białym materiałem i pograżył się w długiej, pokrępowanej drzemce.

Asada wkroczył do kuchni Kucharci i złożył ukłon pełen uszanowania.

- Wasza panienska naraża się na to, że Woolfesan się rozmyśli. Jest uparta i niegrzeczna. Woolfesan nie będzie jej zniewalał.

Kucharcia złapała się za serce.

- Wielkie nieba, co macie na myśli?

- Woolfesan wierzy, że panienska życzy sobie odwlec wesele do czasu, aż będzie pewna, że go kocha. Życzy też sobie być kobietą niezależną. Ba!

- Nigdy nie mówiła tak głupich rzeczy!

- Tak mu mówiłem, ale on przysiągł, że będzie uwzględniał jej życzenia.

Kucharcia usiadła na ławie, wachlując się.

- Dobrze, panie Asada, niech pan się nie martwi. Oni się dogadają. Niech pan czeka i patrzy.

Asada chodził po kuchni tam i z powrotem.

- Nie możemy czekać. Woolfesan wybiera się do Londynu, żeby inwestować, a kiedy to robi, traci poczucie czasu. Może mu to zająć nawet kilka lat.

- Do czorta, nie wierzę.

- Już teraz jej unika, ponieważ się boi, że mógłby ją do czegoś zmusić. Już teraz przyglądają się sobie czujnie, niezdolni do szczerzej rozmowy. A kiedy umysły się rozdzielają, dusze nie pozostają w tyle.

- O Boże, co możemy zrobić? Asada skłonił się uroczyście.

- Mam plan.

W niedzielę rano Taryn udała się na długą przechadzkę po lesie. Rozmyślała o tym, jak wyglądał jej ukochany Woolf, kiedy wczoraj od niej uciekł. Tak: uciekł. Jego pragnienie przystąpienia do rzeczy było wystarczająco realne, jednak ulga na jego obliczu była tak wymowna, że Taryn przeraziła się. Za każdym razem, kiedy zbliżali się do siebie, wycofywał się jak bojaźliwy młokos. Wiedziała, w czym rzecz: żałował, że się oświadczył. Tęsknił za swoją wolnością. Mężczyzna taki jak on, ambitny i energiczny, nigdy nie zadowoli się prostym życiem w Kingsford.

Nawet nie mogła się z nim sprzeczać, ponieważ przestał jej dyktować, co powinna robić: Już by wolała, żeby nią rządził, niż był tylko uprzejmie nie zainteresowany. Nawet zapierające dech pocałunki należały do przeszłości. Im lepiej ją traktował, tym gorzej się czuła.

Na przykład ten jego plan, żeby pojechać do Londynu i zainwestować pieniądze w handel z Indiami Wschodnimi. Kiedy opisywał jej swoje zamiary, jego oczy rozpałała czysta namiętność. Zdecydowana walczyć o swoją miłość, wprosiła się do towarzystwa, nalegając, by wziąć ze sobą Kucharcie i Alicję, które nigdy nie widziały Londynu. Tylko pomyśl, kilka tygodni razem w Londynie. Zgodził się, jękając, lecz zaraz dodał bezdusznie, że byłaby to dobra okazja do spotkania się z doradcą prawnym na temat zapewnienia jej niezależności.

Miała ochotę zerwać się i uciec, ale Kucharcia i Alicja podchwyciły pomysł i ochoczo wykrzykiwały, co chcą zwiedzić. Gdyby nie to, że musiała uporządkować własne sprawy, najchętniej wysłałaby je same z Woolfem.

Oparła się o drzewo, przypominając sobie niezwykłą wizytę Asady sprzed kilku dni. Spojrzał na nią czujnie i poszedł do kuchni rozmawiać z Kucharcia i Alicją. Po pewnym czasie dołączył do nich wikary. Za każdym razem, gdy Taryn wchodziła do kuchni, milki i patrzyli na nią dziwnie.

Domyślała się, o co chodzi.

Woolf zwierzył się Asadzie, że się nią rozczarował i chciał wyjechać. Reszta wiedziała o wszystkim i było im przykro. Później do towarzystwa dołączył jeszcze Spaulding i pani Maloney.

Tego ranka zrezygnowała ze wszystkiego. Spakowała sama swoje torby, wypychając Alicję za drzwi. Wiedziała, że jeśli usłyszy od kogokolwiek choć jedno litościwe słowo, straci szacunek do samej siebie i będzie płakać całą drogę do Londynu.

Westchnęła. Czas iść. Oderwała się od drzewa i ruszyła w stronę Dwora. Jeśli musi cierpieć, postara się cierpieć z uśmiechem, bo nie chciała widzieć, że Woolf martwi się jej stanem. Nie dowie się o niczym. Taryn postanowiła, że będzie zachowywać się tak, jakby jej na nim nie zależało.

Doszła do Dworu i zastała wszystkich w kuchni. Czekali na nią. Nie było tylko wikarego, jak to w niedzielę Asada i Kucharcia krążyli wokół Woolfa, jakby był inwalidą. Za prowadzili ją i Woolfa do jadalni i posadzili przy pięknie zastawionym stole. Oto. pomyślała ze ściśniętym gardłem, jej ostatni posiłek razem z Woolfem.

Dzientelmen w każdym calu - pocałował ją w policzek niczym ciotkę panny młodej i próbował prowadzić konwersację na obojętne tematy. Im więcej mówił, próbując znaleźć temat, jaki by ją zadowolił, tym bardziej była zaniepokojona. Czy naprawdę ostatni faz są razem?

Z bijącym sercem położyła dłoń na jego dłoni. Przeraził się i zabrał rękę.

- Taryn...

Weszła Kucharcia z kawą dla Woolfe i tacą słodkich bułeczek. Odskoczyli od siebie, jak złapani na gorącym uczynku, Taryn czekała, aż Kucharcia wyjdzie.

- Woolf... - zaczęła.

Wszedł Asada i kruche ogniwo pękło jeszcze raz. Poprosili chłodno, by usiadł z nimi. Choć wyglądał na niespokojnego, przyjął zaproszenie i zaraz rozpląnął się w nie znaczących komplementach dla Taryn.

Uśmiechnął się uprzejmie i zwrócił się do niej tak znacząco, jakby wygłaszał rzecz niezmierniej wagi:

- Woolfesan jest wartościowym człowiekiem. Potrafi obronić swoją ziemię i ludzi, a także wychować własnych synów na dzielnych żołnierzy. - Ukłonił się i ciągnął dalej. – Rozsądna kobieta zawładnie takim mężem, zanim on wybierze inną. *Zen wa Isoge*; rób szybko to, co jest dobre.

Woolf, najwyraźniej poruszony faktem, że Asada pełni rolę swata, replikował cicho.

- *Yamai wa kuchi kara*. - Patrząc ostrzegawczo na Japończyka, przetłumaczył przysłowie: - Niektórzy mężczyźni kopią swoje groby zębami.

Asada spojrzał niepewnie na nachmurzoną twarz Woolfa.

- Czas już iść - rzekł.

Taryn bała się, że nie będzie miała okazji porozmawiać z Woolfem jadąc do Londynu powozem pełnym ludzi.

Szli w tyle za resztą. Taryn porwała jego dłoń, Woolf odwzajemnił uścisk i spojrzał na nią dziwnym wzrokiem. Dlaczego straciła ostatnie dni? - zastanawiała się. Dlaczego nie spytała go po prostu, co się stało?

Woolf zaprowadził ją do zreperowanego powozu Hawksleya, który Asada wy dostał z Heritage, a Spaulding i pani Maloney stanęli za powozem. Wtedy Alicja coś sobie przypomniała.

- Ty i Woolf musicie dzisiaj być w kościele.

- Nie, jedźmy dalej - protestowała Taryn. Bała się, że powie to Woolf, lecz on tylko spojrzał na nią ostro i odwrócił się do okna.

- Taryn! - zbesztła ją Kucharcia. - Nie możecie postawić wikarego w tak kłopotliwej sytuacji.

Spojrzeli na Asadę; skinął głową. Woolf wyglądał przez okno, nie reagował.

- Nie pojedę do Londynu, jeśli będziecie się tak brzydko zachowywać - oznajmiła Kucharcia, kiedy pojazd się zatrzymał. Siedziała ostentacyjnie, aż wreszcie Woolf westchnął i powiedział:

- Taryn, zachodzę w głowę, co się z tobą dzieje? - powiedział i wyciągnął ją z powozu.

Weszli do kościoła. Taryn stanęła przestraszona, Chciała się cofnąć, ale za nią stał Asada i popychał ich wszystkich do środka.

Tej niedzieli zgromadzenie było sympatyczniejsze niż tydzień temu, choć liczniejsze. Gracze siedzieli ściśnięci na wynajętych krzesłach, tak więc towarzystwo, które tak jak w zeszłym tygodniu dotarło tu z Brighton, pomieściło się w środku.

Justin siedział w ławie Burnhamów; powitał ich wejście wesółym spojrzeniem. Taryn czuła się idiotycznie stojąc pośrodku kościoła - wszyscy na nią patrzyli. Była pewna, że wielebny Sefton także musi być przerażony, lecz wikary patrzył z ambony w dół z dziwnym blaskiem w oczach. Pewnym siebie głosem zaczął.

- Nadszedł czas na ogłoszenie trzecich zapowiedzi ślubu Taryn Burnham i Woolfa Burnhama, hrabiego Kingsford. Czy ktoś ma zastrzeżenia?

Taryn schroniła twarz na piersi Woolfa.

- Zrób coś - szepnęła.

- Panno Taryn, czy go kochasz? - spytał wyraźnie wikary.

Taryn uniosła głowę i popatrzyła na kapłana; była zła.

- Oczywiście, że go kocham, ale...

- Chcesz wyjść za niego, miłować go i...?

- Tak, chyba tak - powiedziała niezbyt wyraźnie, coraz bardziej zła. Odsunęła się od Woolfa, rozzłoszczona, że jej nie pomógł, tylko stał obok z ustami otwartymi ze zdziwienia.

- Woolfie Burnham, chcesz ją za żonę?

Woolf spojrział na swoją rozgniewaną narzeczoną z namysłem w oczach. Niecierpliwie machnął ręką. by wikary się zaniknął.

- Tak, na wszystkie pytania. A teraz bądź przez chwilę cicho.

Niestropiony nastrojem swojego pana, wikary zaintonował:

- Pozostało mi więc tylko ogłosić was mężem i żoną, co niniejszym czynię.

Z naw bocznych i z tyłu kościoła rozległy się brawa. Damy zebrane blisko ołtarza podniosły chusteczki do oczu.

- Podpisz się w książce - powiedział ktoś, wręczając Taryn pióro. Wzięła je i popatrzyła podejrzliwie na Kucharcię.

- Kucharciu, czy ty próbujesz...

- Przepraszam - powiedziała Kucharcia i spiekła raka. Alicja schowała się za matkę, jeszcze bardziej zaczerwieniona.

- Podpisz i wychodzimy - powiedział Asada nachylając się do ucha Taryn. - Wszyscy patrzą na nas. Później wszystko ci wyjaśnię. - Wziął jej dłoń i położył na książce, podpisała. Wielkie niebo, czyżby Woolf myślał, że brała udział w przygotowaniu tej farsy?

Spojrzała na niego bacznie. Burczał na Asadę, a na nią spoglądał niespokojnie. Gdyby tylko mogli porozmawiać na osobności! Asada przekonał Woolfa do złożenia podpisu i zaraz wszyscy zaczęli tłoczyć się wokół nich - pytali o wesele, podróż poślubną i życzyli im szczęścia w małżeńskim stanie.

Asada utorował im drogę do wyjścia. Przed kościołem podszedł do nich z życzeniami ojciec Woolfe i ucałował Taryn w policzek. Państwo młodzi wsiedli do powozu. Woźnica strzelił z bata. - Powóz ruszył.

- A Kucharcia i Alicja?... - spytała cicho Taryn.

Woolf patrzył przez okno, mrużąc oczy na widok przyjaciół wymachujących radośnie rękami i ściskających się wzajemnie niby zwycięscy konspiratorzy. Odwrócił się do Taryn i... uśmiechnął się radośnie.

- A więc mnie kochasz? Miałem wrażenie, że miałaś co do tego jakieś wątpliwości. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Posadził ją sobie na kolanach, pocałował w czoło.

Przez chwilę opierała się. Zamknęła oczy.

- Pomyśleć, że próbowali wystrychnąć nas na dudków.

- A my zorientowaliśmy się w samą porę? - zapytał niewinnie, całując jej zamknięte oczy, gładząc ją po włosach.

Gdy już miał unieść jej twarz do prawdziwego pocałunku. zaprotestowała nieśmiało:

- Wikary myśli, że jesteśmy małżeństwem.

- Sam się nad tym zastanawiam.

Pochylił usta. Zadrżała, czując ich dotyk. Kiedy wreszcie oderwał się od niej, westchnęła i ku jego wielkiemu zdziwieniu uniosła twarz spragnioną następnego pocałunku. Nie rozmawiali przez dłuższą chwilę.

- To mi się podoba - powiedziała rozmarzona. - Będziemy to robić częściej, kiedy się pobierzemy?

- Przecież wiesz - powiedział - że podpisaliśmy na siebie wyrok. - Rozwiązał jej kapelusik, zdjął go i rzucił na drugą ławkę.

Wydawała się przestraszona.

- O, nie...

- Coś złego się stało? - zapytał.

- Nie, nic. - Westchnęła.

Całował ją, jednocześnie rozpinając pierwszy guzik jej sukienki.

- Nie jest ci zimno? - spytał, zdejmując z niej suknię. - Chcesz mój płaszcz?

- Mhm - przytaknęła.

Patrzyła na jego szerokie plecy. Spróbowała rozwiązać mu krawat.

- Straszny węzeł, Woolf. Jesteś skończonym barbarzyńcą.

Nie zważając na to, co Taryn mówi, dalej rozpinał jej bieliznę.

- Nawet nie marzyłem... - szepnął zachwycony i zadrżał z podniecenia.

Wygięła się pod jego dłonią, jej usta szukały jego ust Jak szalona, w nagłym porywie szarpała guziki jego koszuli. W końcu westchnęła.

- Woolf, jesteśmy w powozie.

- To bardzo duży powóz.

- Ty wiesz, dokąd zdążamy, prawda? - zapytała cichutko.

- Wiem, do dzieci.

Pierworodnego nazwali Hawk, na cześć powozu Hawkleya.